





JOSEPH CONRAD
OPOWIEŚCI
NIEPOKOJĄ
CE

BIBLIOTEKA
ANGIELSKA

TOM
3



WACŁAW CZARSKI & S^{KA}
WARSZAWA
1 9 2 5

<http://rcin.org.pl>

JOSEPH
CONRAD

OPO
WIEŚCI
NIEPO
KOJA
CE

INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 4



WACŁAW CZARSKI & SKA
WARSZAWA

1 9 2 5

<http://rcin.org.pl>



Przekład z angielskiego Heleny Gay
(Idjoci, Powrót) i Anieli Zagórskiej
(przedmowa, Karain, Placówka Postępu,
Laguna). Okładkę i karty tytułowe ry-
sował Tadeusz Gronowski. Odbito
w drukarni p. f. „Jan Cotty” w Warszawie,
Kapucyńska 7. Pierwszy—piąty tysiąc.

498

ADOLFOWI P. KRIEGEROWI
NA PAMIĄTKĘ
DAWNYCH DNI

„BE IT THY COURSE TO
BUSY GIDDY MAIDS WITH
FOREIGN QUARRELS“

SHAKESPEARE

P R Z E D M O W A

Z pięciu nowel zawartych w tym tomie, „Laguna”, ostatnia z kolei, jest najwcześniejszą. Była to pierwsza nowela, jaką kiedykolwiek napisałem i zamyka, że tak powiem, pierwszy okres mojej twórczości—okres malajski—o specjalnym wątku, zaczerpniętym nieraz ze słyszanych przeze mnie opowiadań. Poczęta w tym samym nastroju, który wydał „Fantazję Al-mayera” i „Wygnańca”, wypowiedziana jest tym samym tchem (a raczej resztką tchu, która pozostała mi po ukończeniu „Wygnańca”), objęta tą samą wizją, oddana tą samą metodą—jeśli wogóle zamierzałem wówczas poddawać jakiejś metodzie swoje pisanie, które było dla mnie jak gdyby najnowsza z przygód. Bardzo wątpię, czy miałem taki zamiar. Najpierw dokonuje się dzieła, a potem wyciąga się z niego teorie. To ostatnie zajęcie, bardzo miłe i egotyczne, a przytem nikomu na nic nie przydatne, może doprowadzić równie łatwo do fałszywych jak i do prawdziwych wniosków.

Każdy pozna, że ostatni rozdział „Wygnańca” i początek „Laguny” pisało to samo pióro—mówiąc

w przenośni. W danym wypadku przenośnia jest też dosłowną prawdą. Było to istotnie to samo pióro: pospolita stalówka. Jestem obciążony pewnym brakiem zdolności wzruszeniowych i miło mi stwierdzić, że przynajmniej w jednym wypadku uległem sentymentalnemu porywowi. Przyszło mi na myśl, że ta stalówka była dobrą stalówką, że dzielnie mi się przyśłużyła i włożyłem ją do kieszeni od kamizelki, aby przechować ją jako pamiątkę, na którą będę mógł kiedyś czule spoglądać. Potem owa stalówka ukazywała mi się od czasu do czasu w przeróżnych miejscach, — na dnie małych szufladek, wśród spinek w tekturowych pudełeczkach — aż wreszcie znalazła stały przytułek w dużym drewnianym puharze, zawierającym kilka kluczyków, kawałeczki laku, sznurki, drobne łańcuszki, nieco guzików i tym podobne szczątki, które wykruszają się z ludzkiego życia i osiadają w schowkach tego rodzaju. Widywałem ją od czasu do czasu z uczuciem wyraźnego zadowolenia, aż pewnego dnia spostrzegłem ze zgrozą, że w puharze znajdują się dwie stalówki. Jakim sposobem druga trafiła do puhara zamiast znaleźć się w koszu z papierami albo w kominku — nie mogę zrozumieć; ale oto leżały obok siebie, obie pokryte skorupą zeschniętego atramentu i niemożliwe do rozróżnienia. Sytuacja przedstawiała się rozpaczliwie, postanowiłem więc nie dzielić uczucia między dwie stalówki, a z drugiej strony nie narażać się na obdarzanie sentymentem przybłądy i rzuciłem obie przez okno na kwietnik, co obecnie nasuwa mi refleksję, że taki poetycz-

ny grób wielce jest odpowiedni dla okruchów czyjejs przeszłości.

Ale opowiadanie pozostało. Pojawiło się najpierw w *Cornhill Magazine* jako pierwszy mój występ w piśmie perjodycznym, a żyłem jeszcze dość długo, aby ujrzeć je skarykaturowane w przemyły sposób przez p. Maxa Beerbohma w tomie parodij pod tytułem: „Gwiazdkowy Wieniec“, gdzie znalazłem się w bardzo dobrem towarzystwie. Niezmiernie mi było przyjemnie. Uwierzyłem w swoją publiczną egzystencję. Zawdzięczam wiele „Lagunie“.

Najbliższy mój wysiłek nowelistyczny był wyjazdem; — mam na myśli wyjazd z archipelagu Malajskiego. Bez premedytacji, bez żalu, bez radości i prawie nieświadomie wkroczyłem w zupełnie odmienną atmosferę „Placówki postępu“. Znalazłem tam inny grunt moralny. Zdawało mi się, że potrafię doznać nowych uczuć, ulec nowym podszeptom, że nawet nowy rytm wprowadzę do stylu. Przez chwilę cieszyłem się najczarowniejszem ze złudzeń: wydałem się sobie nowym człowiekiem. Złudzenie to przylgnęło do mnie na czas pewien: — złudzenie - potwór, o kadłubie złożonym nawpół z pewności a nawpół z nadziei, o tęczowym ogonie z marzeń i głowie zmiennej jak elastyczna maska. Dopiero w jakiś czas później przekonałem się, że — podobnie jak i wszyscy ludzie—podlegam prawom nieubłaganej konsekwencji. Nie możemy uciec od samych siebie.

„Placówka postępu“ stanowi lżejszą część łupu, który wywiozłem ze środkowej Afryki, zasadniczą

bowiem jego częścią jest oczywiście „Jądro ciemności”. Inni ludzie znaleźli w Afryce rzeczy zupełnie odmienne i żywią przyjemne przeświadczenie, że to, co stamtąd zabrałem, nie na wieleby się komu przydało. A trzeba jeszcze zaznaczyć, że objętość tego łupu bardzo była mała. Wszystek razem mogłem zmieścić w bocznej kieszeni, starannie go złożwszy. Co się tyczy samej noweli, zbliżona jest do rzeczywistości w głównych zarysach. Niewyczerpana pomysłowość w opowiadaniu istotnych kłamstw wymaga talentu, którego nie posiadam.

Pochodzenie noweli „Idjoci” tak jest wyraźne i oczywiste, że niepodobna mi tu nic o niej powiedzieć. Pobudką do niej było wrażenie bynajmniej nie intelektualne, a czysto wzrokowe: widok owych idjotów. Po długiej przerwie, wyływającej z braku decyzji i przebierania wśród różnych pomysłów — przerwie, która skończyła się z chwilą, gdy zacząłem pisać „Murzyna” — przystąpiłem do trzeciej zrzędu noweli, umieszczonej w tym tomie na pierwszym miejscu: „Karain: wspomnienie”.

Gdy czytałem to po wielu latach, „Karain” zrobił na mnie wrażenie czegoś, co oglądam przez lunetę z dość korzystnego punktu widzenia. W tem opowiadaniu nie powróciłem na archipelag, tylko zbliżyłem się do niego, aby spojrzeć nań raz jeszcze. Przyznaję, że byłem pochłonięty tym odległym widokiem — i to tak dalece, iż nie zauważyłem podobieństwa — a nawet prawie identyczności — motywu tego opowiadania z motywem „Laguny”. Zasadnicza myśl obu no-

wel jest jednak bardzo różna. „Kardin“ upamiętnił mi się głównie przez to, że był pierwszą rzeczą, jaką drukowałem w Blackwoods' Magazine i że stąd wynika osobista moja znajomość z wydawcą tego pisma. P. William Blackwood wyraził się o mej noweli powściągliwie a trafnie, co umiałem należycie ocenić. Wziąłem się zaś do „Karaina“ pod wpływem nagłego popędu — w trzy dni zaledwie po napisaniu ostatniego wiersza „Murzyna“. Trudności następczone przez to opowiadanie zlewają mi się we wspomnieniu z udręką niedokończonego „Powrotu“, ponieważ właśnie wtedy podjąłem znów pracę nad ostatnimi stronami tej noweli; jest to w mem życiu jedyny wypadek, kiedy usiłowałem pisać jak gdyby jednocześnie obiema rękami.

I rzeczywiście mam teraz wewnętrzne poczucie, że „Powrót“ jest niejako produkcją z lewej ręki. Przeglądając niedawno to opowiadanie, doznałem fizycznego wrażenia, że siedzę pod wielkim i kosztownym parasolem, wśród głośnego plusku wścieklej ulewy. Bardzo to było przykre. Mimo ogólnego hałasu słyszałem wyraźnie jak każda kropla bębni o gruby, naciągnięty jedwab. Przeczytawszy do końca, zaniemówiłem na resztę dnia — nietyle ze zdziwienia, co wskutek jakiejś przykrej niepewności. Nie chcę mówić lekceważąco o żadnym ze swoich utworów. Ta moja próba opierała się istotnie na pewnych danych psychologicznych — i warto było ją podjąć, chociażby tylko po to, aby się przekonać do jakich wybryków jestem zdolny w tego rodzaju wirtuozostwie. Muszę

tu wyrazić swoje zdziwienie wobec faktu, że, wbrew całemu analitycznemu aparatowi, jaki w ruch wprawiłem, opowiadanie to polega przeważnie na opisach wrażeń fizycznych — słuchowych i wzrokowych — wywołanych przez stację kolejową, ulicę, kłusującego konia, odbicia w lustrach i t. d. Wrażenia owe podałem w taki sposób, jak gdyby stanowiły cel same w sobie i połączyłem je z wysubtelnionym opisem ponętnej miejskiej siedziby, zamieszkaanej przez ludzi średniego stanu, która to siedziba wywołuje efekt raczej ponury. Zresztą każde miłe słowo o „Powrocie“ (a słowa takie były wypowiedzane w różnych czasach) budzi we mnie najżywszą wdzięczność, gdyż pamiętam dobrze ile znoju, irytacji i rozczarowania kosztowało mnie napisanie tej fantazji.

J. C.

KARAIN: WSPOMNIENIE

I

Znaliśmy go w owych czasach pełnych bujności i swobody, kiedy wystarczało nam to, że byliśmy panami swego życia i majątku. Zdaje się, że obecnie nikt z nas majątku nie posiada, niektórzy zaś przenieśli się lekkomyślnie na tamten świat; ale pewien jestem, że ci nieliczni, którzy pozostają jeszcze przy życiu, zachowali wzrok dość bystry, aby — czytając dzienniki o solidnej reputacji i treści nieco zamglonej — nie pomijać wzmianek o różnych malajskich powstaniach na Wschodnim archipelagu. Blask słońca bije z pośród wierszy tych krótkich notatek — blask słońca i lśnienie morza. Jakoweś dziwne imię budzi wspomnienia; drukowane słowa czuć zlekka dymem naszej atmosfery, lecz bije od nich zarazem subtelny i przenikliwy zapach nadbrzeżnych powiewów, ciągnących pod gwieździstym niebem dawno minionych nocy; ognisko—sygnał błyszczący jak klejnot na wyniosłym czole ciemnej skały; wielkie drzewa — niby wysunięte naprzód placówki olbrzymich lasów — stoją czujnie i cicho nad sennymi rozlewiskami szerokich wód; biały przypływ grzmi o pusty brzeg, pieni się płytka woda między skałami, a zielone wysepki leżą

o cichej, południowej godzinie, rozsypane po morskiej gładzi, jak garść szmaragdów, rzucona na stalową tarczę.

Majaczą mi się i twarze — ciemne, srogie, uśmiechnięte; szczerze i śmiałe twarze ludzi bosych, zbrojnych i cichych. Zapelniali wąski a długi pokład naszego szkunera barbarzyńskim, strojnym tłumem, który mienił się pstremi barwami kraciastych saronków, czerwonych zawojów, białych kaftanów, haftów — rozsiewał błyski pochew, złotych pierścieni, amuletów, naramienników, lanc i rękojeści sadzonych drogiemi kamieniami. Ludzie ci zachowywali się swobodnie a powściągliwie, z oczu patrzyła im stanowczość; i — zda się — słyszemy jeszcze łagodne głosy, które mówią o bitwach, podróżach, ucieczkach; przechwalają się statecznie, żartują ze spokojem; niekiedy sławią w wyszukanych słowach własną odwagę lub naszą hojność, albo z lojalnym zapałem wynoszą pod niebiosa cnoty swojego władcy. Pamiętamy twarze, oczy, głosy, widzimy znów połysk jedwabiu i metali, patrzymy na szemrzące rozkołysanie tej cizby — wspaniałej, świątecznej, wojowniczej; i czujemy, zda się, dotknięcie przyjaznych, brunatnych rąk, które — po krótkim uścisku — kładą się zpowrotem na cyzelowanej rękojeści.

Byli to ludzie Karaina — wierni mu i oddani. Łowili swoje ruchy na jego ustach; czytali swoje myśli w jego oczach; gdy mruknął do nich niedbale o życiu i śmierci, przyjmowali jego słowa w pokorze, jak wyroki przeznaczenia. Wszyscy byli ludźmi wolnymi, a zwracali się do niego, mówiąc: „twój niewolnik“. Z nadejściem władcy uciszały się głosy, jakby go strzegło milczenie; korne poszepty szły za nim. Zwali go swoim wodzem. Był panem trzech osad na wąskiej płaszczyźnie, władcą nieznacznego skrawka ziemi — zdobytego skrawka ziemi — który na-

kszałt księżycowego sierpa leżał zapomniany między pasmem wzgórz a morzem.

Z pokładu naszego szkunera, zakotwiczonego w środku zatoki, Karain wyciągał ramię ku poszarpanym zarysom wzgórz, obejmując teatralnym ruchem całą przestrzeń swej dziedziny. Ten szeroki ruch zdawał się odsuwać wstecz granice jego władztwa, powiększając je naraz do olbrzymich i nieokreślonych rozmiarów; zdawało się nam przez chwilę, że tylko niebo stanowi jego granice. I rzeczywiście: patrząc na to miejsce zamknięte skałami ze strony morza i odgrodzone od lądu stromemi zboczami gór, trudno było uwierzyć w istnienie jakiegokolwiek sąsiedztwa. Był to zakątek cichy, stanowiący całość sam w sobie, nieznan i pełen życia, które tętniło potajemnie, sprawiając niepokojące wrażenie pustki; które w niewytłumaczony sposób zdawało się próżne wszystkiego, co mogłoby pobudzić myśl, wzruszyć serce, przypomnieć złowróżbne następstwo dni. Ten zakątek wydawał nam się krajem bez wspomnień, żalów i nadziei; krajem, gdzie nic nie mogło przetrwać nadejścia nocy i gdzie każdy wschód słońca — niby oddzielny, olśniewający akt stworzenia — oderwany był i od wczoraj i od jutra.

Karain zatoczył ręką łuk w kierunku swojego państwa. „Wszystko to moje!” Stuknął w pokład długą laską; złota jej gałka zabłysła jak spadająca gwiazda; stojący tuż za nim stary Malaj w bogato haftowanym, czarnym kaftanie, jeden jedyny z całej świty nie powiódł oczami za władczym gestem. Nie podniósł nawet powiek. Stał nieruchomo za swym panem z głową spuszczoną, trzymając na prawym ramieniu długą klingę w srebrnej pochwie. Pełnił służbę obojętny na wszystko. Zdawało się, że coś mu ciąży — ale nie brzemię wieku; że ugina się raczej pod ciężarem tajemnicy życia. Karain, ociężyły i pe-

łen wspaniałości, stał w wyniosłej pozie i oddychał spokojnie. Była to nasza pierwsza wizyta; rozglądaliśmy się z ciekawością.

Zatoka wyglądała jak bezdenne jama, pełna jaskrawego światła. Okrągły płat wody odbijał świetliste niebo, a zamykające go brzegi tworzyły matowy pierścień z ziemi, zawieszony w przejrzystej pustce błękitu. Łańcuch wzgórz, fioletowych i nagich, odrzynał się ciężko na niebie; szczyty zdawały się rozpląwać w barwnym drganiu, niby owiane wznoszącą się parą; u stóp stromych zboczy, pokreślonych zielenią wąskich rozpadlin, leżały pola ryżowe, plantacje, żółte piaski. Strumień wił się jak upuszczona nitka. Grupy drzew owocowych znaczyły wioski; smukłe palmy stykały głowy nad niskimi chatami; dachy z suchych liści palmowych jaśniały zdala, za ciemną kolumnadą pni, niby dachy ze złota; barwne postaci przesuwały się, szybko znikając; dym z ognisk tkwił prostopadle nad gąszczami kwitnących krzaków; bambusowe płoty polyskiwały, biegnąc w łamanym linjach między polami. Nagły okrzyk na wybrzeżu dźwięczał żałośnie w oddali i milkł, niby zduszony ulewą światła; lekki podmuch znaczył się błyskawicą ciemności na gładkiej wodzie, owiewał nasze twarze i przepadał. Nic się nie poruszało. Olśniewający blask spływał w świetlistą kotlinę, pełną barw i ciszy.

Tak wyglądała scena, po której stapał Karain, przybrany wspaniale dla odegrania swojej roli, pełen niezrównanego dostojenstwa, wyolbrzymiony przez szczególną, wrodzoną mu siłę, która wzbudzała w ludziach bezsensowne oczekiwanie, że stanie się coś bohaterskiego i buchnie czynem lub pieśnią na wibrujące tło cudownego słońca. Uderzający był—i zagadkowy; nie umieliśmy bowiem zdać sobie sprawy, czy te sztuczne pozory nie kryją jakiejś okropnej pust-

ki. Nie można o nim powiedzieć, aby chodził w masce; za wiele w nim było życia, a maska jest rzeczą bezduszną; lecz występował zasadniczo jako aktor, jako ludzka istota utajona za wyzywającym przebraniem. Najdrobniejsze jego czyny obmyślane były i niespodziane, przemowy poważne, a zdania — pełne złowróźbnych aluzyj i zawile jak arabeski. Traktowano go z uroczystą czcią, którą bezceremonjalny zachód obdarza monarchów tylko na scenie; a przyjmował te głębokie hołdy z niezachwianem dostojenstwem, jakie widuje się jedynie w świetle kinkietów — w skondensowanej i fałszywej atmosferze jaskrawego tragizmu. Trudno było pamiętać kim on jest rzeczywiście: naczelnikiem drobnego plemienia w zatraconym kącie Mindanao, gdzie mogliśmy ze względem bezpieczeństwa łamać prawo, zabraniające dostarczania krajowcom broni palnej i amunicji. Co nastąpiłoby, gdyby która z zamierających hiszpańskich kanonierek, tknięta prądem galwanicznym, ożyła nagle do czynnego życia — kwestja ta przestała nas obchodzić z chwilą, gdy znaleźliśmy się wewnątrz zatoki — tak dalece państwo Karaina zdawało się leżeć poza obrębem wścibskiego świata; a przytem mieliśmy w owych czasach dość żywą wyobraźnię i zapatrywaliśmy się z pewnego rodzaju wesołą obojętnością na perspektywę, że powieszą nas gdzieś chyłkiem, nie narażając się na dyplomatyczne interwencje. Co się zaś tyczy Karaina, mogło go spotkać tylko to, co spotyka nas wszystkich — przegrana i śmierć; odznaczał się jednak pewną szczególną właściwością: otaczała go zawsze złuda niezawodnego powodzenia. Wydawał się zbyt wspaniały, zbyt potrzebny — stanowił zanadto niezbędny warunek istnienia swego państwa i ludu, aby mogło go coś unicestwić — chyba tylko trzęsienie ziemi. Był wcieleniem swej rasy, swego kraju, żywiołu namięt-

nego życia i tropikalnej natury. Posiadał jej bujną siłę, jej czar; i — podobnie jak i ona — krył w sobie zaród niebezpieczeństwa.

Po wielu kolejnych odwiedzinach poznaliśmy dokładnie scenę, na której występował — fioletowe zakole wzgórz, smukłe drzewa pochylone nad chatami, żółte piaski, płynną zieleń wąwozów. Wszystko to miało surowy i olśniewający koloryt malowanej dekoracji, jej celowość prawie przesadną i podejrzaną nieruchomość; a scena ta stanowiła tak idealne tło dla zdumiewającego widowiska, jakim był Karain, że reszta świata zdawała się wyłączona nazawsze ze wspaniałego przedstawienia. Nic nie mogło istnieć poza tem. Odnosiło się wrażenie, że ziemia odsuwa się, wirując, coraz dalej, rzuciwszy w przestrzeń tę kruszynę swej powierzchni. Karain wydawał się odcięty od wszystkiego—prócz słońca—a nawet i słońce było jakby tylko dla niego stworzone. Gdy raz zapytałem, co się znajduje po drugiej stronie wzgórz, odrzekł ze znaczącym uśmiechem: „Przyjaciele i wrogowie—liczni wrogowie; inaczej dlaczegożbym kupował wasze strzelby i wasz proch?” Takim był zawsze — odmierzał słowa ze wzorowym taktem, stosując się wiernie do pewników i tajemnic swego otoczenia. „Przyjaciele i wrogowie” — nic poza tem. Pojęcie nieuchwytnie i szerokie. Ziemia toczyła się zaiste coraz dalej, usunąwszy się z pod jego kraju, i oto pozostał z garścią swojego ludu, otoczony cichym zamętem — jak gdyby jego państewko było oazą w świecie swarliwych cieni. I rzeczywiście, żaden dźwięk z zewnątrz nie przedostawał się za łańcuch wzgórz. „Przyjaciele i wrogowie!” Mógł być dodać: „i wspomnienia” — przynajmniej o ile chodziło o niego samego — lecz nie uczynił tego wówczas. Dowiedzieliśmy się o tem później, ale już po ukończeniu codziennego przedstawienia — za kulisami, że się tak wyrażę, i po zga-

szeniu światła. A tymczasem roztaczał na scenie swój barbarzyński majestat.

Przed jakimi dziesięciu laty Karain poprowadził na zdobycie zatoki swój lud, garść zebranych przygodnie wędrownych Bugisów — a teraz pod jego dostojną pieczę poddani zapomnieli o przeszłości i zbyli się wszelkiej troski o przyszłość. Obdarzał ich mądrością, radą, nagrodą, karą, życiem lub śmiercią, zachowując zawsze niezachwianą pogodę w mowie i wyglądzie. Znał się na nawadnianiu pól i sztuce wojennej, na broni i budowaniu statków. Umiał zataić swoje uczucia; miał więcej wytrwałości, potrafił pływać dłużej i lepiej sterować łodzią niż którykolwiek z jego poddanych; a strzelał celniej i prowadził układy bardziej zawile od wszystkich ludzi z jego rasy, jakich zdarzyło mi się spotkać. Był to morski awanturnik, wygnaniec, władca — i mój serdeczny przyjaciel. Życzę mu nagłej śmierci wśród walki, śmierci w blasku słonecznym, albowiem zakosztował władzy i wyrzutów sumienia, a żaden człowiek nie może więcej od życia wymagać. Dzień po dniu zjawiał się przed nami, niezachwianie wierny scenicznej perspektywie, a o zachodzie pochłaniała go noc, jak spuszczone kurtyna. Porysowane wzgórze zamieniały się w czarne cienie, stercząco wysoko na czystym niebie; nad niemi błyszczący bezład gwiazd podobny był do obłąkanego zamętu, uciszonego jednym gestem; wszelkie dźwięki milkły, ludzie usypiali, kształty się rozpływały — i pozostawała tylko istota wszechświata — przedziwna otchłań mroku i świetlistych migotań.

II

Dopiero nocą mówił z nami otwarcie, zapominając o wymaganiach scenicznej etykiety. Za dnia

rozprawialiśmy uroczyście o interesach. Na początku naszej znajomości dzieliła go ode mnie jego wspaniałość, moje nikczemne podejrzenia i sceniczny krajobraz, który wdzierał się do realnego życia i przesłaniał je fantastycznością barw i kształtów. Liczna świta tłoczyła się wokoło Karaina; nad jego głową szerokie ostrza włócznie tworzyły najeżoną aureolę z żelaza; odgradzał go od ludzkości połysk broni, lśnienie jedwabi, podniecony i korny gwar zapalczywych głosów. Przed zachodem słońca zegnał nas ceremonialnie i odjeżdżał pod czerwonym parasolem, otoczony orszakiem dwudziestu łodzi. Wszystkie wiosła błyskały jednocześnie, zanurzając się z potężnym pluskiem, który rozbrzmiewał głośnie echem we wspaniałym amfiteatrze wzgórz. Szeroki strumień olśniewającej piany włókł się za flotyllą. Łodzie wydawały się bardzo czarne wśród białego syku wody; głowy w zawojach chyliły się wtył i naprzód; mnóstwo ramion w czerwonych i żółtych rękawach wznosiło się i opadało jednym ruchem; włóczniecy stojący w tyle łodzi mieli barwne sarongi i ramiona błyszczące jak u brązowych posągów; strofy pieśni, skandowanych półgłosem przez wiosłarzy, kończyły się w miarowych odstępach żalonym krzykiem. Orszak malał w oddali, urywała się pieśń; wysiadali i roili się na brzegu w długich cieniach padających od zachodnich wzgórz. Promienie słońca ociągały się jeszcze lgnąc do purpurowych szczytów; widzieliśmy wyraźnie Karaina, wiodącego orszak ku swemu częstokołowi. Szedł z gołą głową, wielki i ociężały, wyprzedzając o dobry kawał luźno rozsypaną świtę i podpierał się miarowo hebanową laską, sięgającą mu wyżej głowy. Mrok gęstniał szybko; pochodnie błyskały od czasu do czasu za krzakami; raz czy dwa razy rozległy się przeciągłe nawoływania w wieczornej ciszy i wreszcie noc zaciągała gładką zasłonę na wybrzeże, światła i głosy.

Potem, gdy zabieraliśmy się już do spoczynku, wartownik szkunera okrzykiwał daleki plusk wiosła w gwiaździstym mroku zatoki; jakiś głos odpowiadał mu ostrożnie, a nasz serang, wtykając głowę przez otwarty luk świetlny, oznajmiał bez zdziwienia: „To radza przyjsć. On już tu być”. Karain ukazywał się bez szmeru na progu małej kabiny. Wydawał się wówczas uosobieniem prostoty — odziany w biel, z zawojem na głowie; za całą broń miał tylko kriss o zwyczajnej rogowej rękojeści, przyczem zasłaniał go uprzejmie fałdą saronga nim jeszcze próg przestąpił. Za jego plecami widniała zawsze zniszczona i ponura twarz starego Malaja noszącego miecz — twarz pokryta tak gęstymi zmarszczkami, że zdawała się patrzeć skroś oczka cienkiej, ciemnej siatki. Karain nie ruszał się nigdzie bez tego zauszniaka, który stał tuż za nim albo przysiadał na piętach. Radza nie lubił czuć za sobą otwartej przestrzeni. A nawet więcej niż nie lubił; zdawało się poprostu, że się lęka — że niepokoi go to, co się dzieje za jego plecami. Nie mogliśmy tego zrozumieć wobec jawnej i zapamiętałej wierności, jaka go otaczała. Znajdował się przecież sam w pośrodku oddanych mu ludzi; nie czyhały na niego ani sędziowskie zasadzki, ani braterskie ambicje, a jednak niejeden z naszych gości zapewniał, że władca nie znosi samotności. Mówili nam: „Nawet kiedy je albo śpi, jest przy nim zawsze na straży człowiek, który posiada broń i siłę”. I rzeczywiście zawsze mu ktoś towarzyszył — ale nasi informatorzy nie mieli wyobrażenia ani o broni, ani o sile tego strażnika, które były zaiste ciemne i straszliwe. Przekonaliśmy się o tem, ale dopiero później, słuchając pewnego opowiadania.

Zauważyliśmy tymczasem, że nawet podczas najważniejszych rozmów Karain wzdrygał się często i, przerywając swoje wywody, sięgał wtył nagłym ruchem, aby przekonać się, czy stary Malaj jest za

ním. A stary Malaj, tajemniczy i znużony, był zawsze na stanowisku. Dzielił pożywienie władcy, jego spoczynek i jego myśli; znał jego plany, strzegł jego tajemnic i — niewzruszony wobec wzburzenia swego pana, nie drgnąwszy nawet, szeptał mu kojąco nad głową jakieś nieuchwytnie słowa.

Dopiero gdy Karain znalazł się na szkunerze, otoczony białemi twarzami, wśród nieznanym sobie dźwięków i przedmiotów, zdawał się zapominać o dziwnym niepokoju, który wił się jak czarna nić wśród wspaniałości i pompy jego publicznego życia. Nocą zachowywali się wobec niego w swobodny i niewymuszony sposób, nie posuwając się jednak aż do klepania go po plecach, istnieją bowiem poufałości, których należy się wystrzegać w stosunku do Malaja. Oświadczył nam, że podczas tych wizyt jest tylko człowiekiem prywatnym, który przybywa w odwiedziny do ludzi równych sobie urodzeniem. Zdaje się, że miał nas aż do końca za tajnych wysłanników rządu, popierających zapomocą nielegalnego handlu jakiś plan wysoce dyplomatyczny. Nasze zaprzeczenia i protesty były bezskuteczne. Uśmiechał się tylko uprzejmie a dyskretnie i zapytywał o królowę. Każda wizyta rozpoczynała się od tego pytania; żądny był wszelkich szczegółów o niej; czarował go urok władczyni, której berło rzucało cień, sięgający z zachodu przez ziemie i morza — aż hen daleko poza piędź ziemi zdobytą przez Karaina. Wymyślał coraz to nowe pytania; nigdy nie był syty wiadomości dotyczących się monarchini, a mówił o niej z podziwem i rycerską czcią—z pewnym rodzajem tkliwości i grozy. Dowiedzieliśmy się później, że był synem kobiety, która przed wielu laty rządziła małym państwem bugiskiem i wpadliśmy na domysł, że widać pamięć o matce — a wspominał ją zawsze z zachwytem — stapiała się niejako w jego umyśle z wyobrażeniem,

które usiłował sobie wytworzyć o dalekiej królowej, zwanej przez niego Wielką, Niezwyciężoną, Pobożną i Szczęśliwą. — Musieliśmy wkońcu wymyślać różne szczegóły, aby nasycić jego natrętną ciekawość; należy to wybaczyć naszej lojalności, gdyż usiłowaliśmy dostroić informacje do wzniosłego i wspaniałego ideału, jaki sobie Karain wytworzył. Rozmawialiśmy bez końca. Noc przesuwawała się nad nami, nad cichym szkunerem, nad śpiącym łodem i nad bezsennem morzem, które grzmiało wśród skał nazewnątrz zatoki. Wioślarze Karaina — dwaj zaufani ludzie — spali w łodzi u stóp okrętowej drabiny. Stary zausznik, zwolniony ze swego obowiązku, drzemał na piętach, oparłszy się plecami o odrzwia; a Karain siedział rozparty w drewnianym fotelu pod zlekka rozkołysaną lampą — z cygarem w ciemnych palcach — przed szklanką pełną limonjady. Bawił go syk ulatniającego się gazu; pociągnąwszy jeden lub dwa łyki, czekał aż się limonjada wyszumi, poczem z dwornym ruchem ręki prosił o świeżą butelkę. Dziesiątkował nasz skromny zapas, lecz gościliśmy go chętnie, bo rozgadawszy się, opowiadał bardzo interesująco. Musiał być ongi wielkim bugiskim dandysem, gdyż nawet w owym czasie (a znaliśmy go już w wieku późniejszym) — nieskazitelna czystość cechowała zawsze wspaniały jego strój, a włosy barwił na kolor jasnobronzowy. Spokojne dostojeństwo jego obejścia zamieniało źle oświetloną kajutę na salę posłuchań. Mówił o sprawach polityki na archipelagu z bystrością pełną ironji i melancholji. Napodróżował się mnóstwo, wiele przeszedł — spiskował, walczył. Znał tuziemcze dwory, osady europejskie, lasy, morze i — jak sam się wyrażał — rozmawiał swego czasu z wielu sławnymi ludźmi. Lubił ze mną gawędzić, ponieważ znałem niejednego z owych potentatów; zdawał się przypuszczać ze wspaniałą pewnością siebie, że

umiem ocenić jego własną wielkość i orjentuję się, o ile on sam stoi wyżej od innych znakomitości. Ale chętniej jeszcze rozmawiał o swoim kraju rodzinnym — małym państewku bugiskiem, leżącym na wyspie Celebes. Ponieważ byłem tam na jakiś czas przedtem, rozpytywał mnie usilnie o szczegóły. Gdy podczas rozmowy wypływały imiona różnych ludzi, mówił o tym lub owym: „Pływałem z nim w zawody, gdy byliśmy chłopcami“; albo: „Polowaliśmy razem — władał pętlą i włócznią równie dobrze jak i ja“. Niekiedy toczył niespokojnie wielkimi, sennymi oczami; marszczył brwi, albo uśmiechał się, albo zamysślał i, patrząc przed siebie w milczeniu, kiwał zlekka głową ku jakiejś nieodżałowanej wizji z lat minionych.

Matka jego rządziła ongi niewielkiem, nawpół niezależnem państewkiem na wybrzeżu zatoki Boni. Opowiadał o niej z dumą. Była to kobieta pełna zdecydowania w sprawach stanu, tudzież własnego serca. Po śmierci pierwszego męża, niezastraszona hałaśliwą opozycją swych wodzów, poślubiła bogatego kupca z plemienia Korinchi, człowieka o niskiem pochodzeniu. Karain był jej synem z drugiego małżeństwa, lecz niefortunna ta okoliczność nie miała śnać nic wspólnego z jego wygnaniem. Przyczyn tego wygnania wcale nam nie wyjawiał, choć raz wymknęło mu się z westchnieniem: „Ha! kraj mój nie poczuje już nigdy ciężaru moich kroków“. Ale opowiadał chętnie dzieje swych wędrowek i opisał nam szczegółowo zdobyście zatoki. Napomknąwszy o plemieniu mieszkającym za pasmem wzgórz, rzekł raz cicho i łagodnie z niedbałym ruchem ręki: „Przyszli przez góry, aby walczyć z nami; ale ci, którzy się stąd wydostali, nie powrócili już nigdy“. Zamyślił się na chwilę, uśmiechając się do siebie. „Bardzo niewielu się wydostało“—dodał z pogodną dumą. Kochał wspomnienia swych powodzeń;

żywił radosny zapał do czynu; gdy opowiadał, wygląd jego był wojowniczy, rycerski i wzniosły. Nic dziwnego, że lud go wielbił. Widzieliśmy raz, jak szedł w blasku dnia między chatami osady. Gromadki kobiet stojących we drzwiach oglądały się za nim z cichym szczebiotem i błyszczącymi oczami; zbrojni ludzie ustępowali mu z drogi, prostując się w postawach pełnych czci; inni podchodzili zboku, zginając karki, aby przemówić doń pokornie; stara kobieta, stojąca w ciemnej framudze drzwi, wyciągnęła chude ramię i zawołała: „Błogosławiona twoja głowa!” Jakiś człowiek o ognistych oczach wychylił przez niskie ogrodzenie plantacji mokrą od potu twarz i piersi przeorane dwiema bliznami. Krzyknął zdyszczanym głosem wślad za nim: „Boże, daj zwycięstwo naszemu władcy!” Karain szedł prędko, stawiając długie, pewne kroki i odpowiadał na syjące się zewsząd powitania szybkimi, przenikliwymi spojrzeniami. Dzieci biegły naprzód wśród chat i wyglądały lekliwie z za węgłów; młodzi chłopcy trzymali się na jednej linii z władcą, przemykając się między krzewami, a oczy ich błyszczały wśród ciemnych liści. Stary zausznik, dzierżąc srebrną pochwę na ramieniu, sunął prędko tuż za Karainem z głową spuszczoną i oczami wbitemi w ziemię. I przeszli szybko, skupieni wśród ogólnego poruszenia, niby dwaj ludzie, dążący spiesznie przez pustkowie.

W sali narad wojennych otaczali Karaina poważni zbrojni dowódcy, starzy zaś wojownicy w bawełnianych szatach przysiadali na piętach w dwa długie rzędy, z rękami zwisającymi beczynnym z kolan. Pod strzechą wspartą na gładkich kolumnach — z których każda kosztowała życie smukłą, młodą palmę — woń kwitnących żywopłotów przepływała ciepłą falą. Słońce zniżało się. Na otwarty dziedziniec wchodziłi suplikanci, wnosząc już w oddali złączo-

ne ręce ponad schylone głowy i gnąc się nisko w jasnym potoku światła. Młode dziewczęta z kwiatami na kolanach siedziały pod wielkiem drzewem, w cieniu szeroko rozpostartych konarów. Niebieski dym ciągnął od ognisk i powlekał przejrzystą mgłą spadziste dachy chat o połyskliwych ścianach plecionych z trzciny; wokół nich biegly słupy z grubo ciosanego drzewa, podpierające pochyły okap. Karain sprawował sądy w cieniu drzew; tronując na wysokiem siedzisku, wydawał rozkazy, udzielał rad lub napomnień. Gwar pochlebnych głosów wzrastał się od czasu do czasu, a beczynni włócznicy, — którzy stali wsparci niedbale o słupy, przypatrując się dziewczętom — odwracali z wolna głowy. Żaden mąż nie żył pod osłoną takiej czci, zaufania i grozy. A jednak pochylał się chwilami i nasłuchiwał — niby dalekiego jakiegoś rozdźwięku; czekał — zda się — że usłyszy czyjś cichy głos lub szelest lekkich kroków; to znów porywał się nawpół z krzesła, jak gdyby ktoś poufale dotknął jego ramienia. Rzucił wtył trwożne spojrzenie; stary zausznik szeptał mu do ucha nieuchwytnie słowa, a wodzowie odwracali oczy — bo oto stary czarownik, człowiek rozkazujący widmom i zsyłający złe duchy na nieprzyjaciół, przemawia do władcy. Wkrąg ciszy zalegającej dziedziniec szumiały zlekka drzewa; cichy śmiech dziewcząt bawiących się kwiatami tryskał kaskadą radosnych dźwięków. Na szczytach wysokich drzew długie pęki barwionego włosienia mieniły się w podmuchach wiatru przejrzystą purpurą, a strumień o kryształowej, raczej wodzie, płynący za jaskrawem kwieciami żywopłotów, toczył się niewidzialny i rozgłośny pod zwiśającą trawą wybrzeża, szemrząc coś namiętnie i łagodnie.

Po zachodzie słońca widać było zdala — poprzez pola i zatokę — grupy pochodni gorejących

pod wysokim dachem szopy przeznaczonej na narady. Dymiące, czerwone płomienie chwiały się na wysokich żerdziach; ognisty blask przebiegał po twarzach, lgnął do gładkich pni palm, krzesał jasne iskry z metalowych półmisków, stojących na cienkich matach. Ten nieznany awanturnik uctował jak król. Małe grupki ludzi obsiadały ciasnym kołem drewniane misy; brunatne ręce krążyły nad śnieżnymi stosami ryżu. Karain, siedząc nieco nauboczu na prostej ławie, wspierał na dłoni spuszczoną głowę, a obok niego jakiś młodzieniec improwizował rapsod, sławiący jego mądrość i odwagę. Pieśniarz kiwał się rytmicznie, tocząc rozgorzałym wzrokiem; stare kobiety dreptały wokoło z półmiskami, a biesiadnicy siedzący na piętach podnosili głowy, aby wsluchiwać się z powagą, nie zaprzestając jedzenia. Pieśń triumfu rozbrzmiewała w nocnym powietrzu; strofy płynęły ponure i ogniste, jak myśli pustelnika. Uciszył je gestem: „Dosyć!” W oddali chichotał puszczyk, rozkoszujący się głębokim mrokiem w gąszczu listowia; nad głowami biegały po dachu jaszczurki, nawołując się łagodnie; suche liście w strzesze szeleściły; gwar zmieszanych głosów potęgował się nagle. Karain, powiódłszy wkrąg trwożnym spojrzeniem, jak człowiek zbudzony w nagłym poczuciu niebezpieczeństwa, rzucał się wtył i pod wzrokiem staro czarownika uspakajał się stopniowo, podejmując znów z szeroko rozwartymi oczyma wątlą nić swoich marzeń. Wszyscy wokoło śledzili zmianę w usposobieniu pana; gwar ożywionej rozmowy przycichał jak fala na płytkim brzegu. Władca zamyślony! I ponad szmer znizonych głosów wybijał się tylko lekki szcęk broni, jakieś pojedyncze, głośniejsze słowo, wyraźne i samotne, lub też poważne brzęknięcie wielkiej miedzianej tacy.

III

Odwiedzaliśmy go przez dwa lata w krótkich odstępach czasu. Polubiliśmy go, nabraliśmy do niego zaufania, podziwialiśmy go prawie. Spiskował i przygotowywał wojnę, wykazując tyle cierpliwości i przezorności, taką świadomość celu i wytrwałość, o jakie nie posądziłbym go nigdy, zważywszy na jego rasę. Wydawał się nieustraszony wobec jutra i zdradzał w planach bystrość, ograniczoną jedynie przez głęboką swoją ignorancję w stosunku do pozostałego świata. Staraliśmy się go oświecić, ale na próżno; nie był w stanie pojąć, jak nieodpartymi są siły, którym się przeciwstawiał; nic nie mogło ostudzić zapалу, z jakim gotował się do walki o swoje prymitywne ideały. Nie rozumiał nas i odpowiadał argumentami, które doprowadzały do rozpaczycie dziecinną swą przebiegłością. Ciasnota jego pojęć była nieuleczalna. Czasem błyskała w nim mroczna, żarząca się wściekłość — ponure a niejasne poczucie doznanej krzywdy — i skupiona żądza gwałtu, niebezpieczna u Malaja. Szaleństwo porywało go jak natchnienie. Pewnego razu, gdy rozmawialiśmy długo w noc w kampongu, skoczył nagle na równe nogi. Wielkie, jasne ognisko paliło się w gaju; światła i cienie tańczyły między drzewami; wśród cichej nocy migały nietoperze, wylatując z pod gałęzi, jak roztrzepotane płatki zgęszczonego mroku. Karain porwał miecz z rąk starego zauszniaka, wyciągnął z pochwy, aż świsnęło w powietrzu i wbił ostrze w ziemię. Nad cienką, prostą klingą srebrna rękojeść, oswobodzona z uwięzi, słaśniała się przed Karainem jak coś żywego. Cofnął się o krok i głuchym głosem przemówił dziko do wibrującej stali: „Jeśli jest cnota w ogniu, w żelazie,

w ręce, która cię wykuła, w słowach nad tobą wyrzeczonych, w pragnieniu mego serca i w mądrości twoich twórców — odniesiemy razem zwycięstwo!" — Wyciągnął miecz z ziemi i popatrzył wzdłuż ostrza. „Bierz!" rzekł przez ramię do starego zauszniaka. A ów, siedząc bez ruchu na piętach, obtarł ostrze rogami saronga, wetknął zpowrotem broń do pochwy, i w dalszym ciągu piastował ją na kolanach, nie spojrzawszy w górę ani razu. Karain uspokoił się nagle i zasiadł napowrót z godnością. Od tej chwili daliśmy pokój perswazjom, pozostawiając go na drodze wiodącej ku chwalebnej porażce. Wszystko, co można było dla niego zrobić, polegało tylko na jednym: pilnowaliśmy, aby proch był dobry i strzelby zdatne do użytku, choć stare.

Ale gra stała się wkońcu zbyt ryzykowna i chociaż my sami, prowadząc ją tak często, niewiele robiliśmy sobie z niebezpieczeństwa, pewni wielce szanowni ludzie, siedzący zacisznie po biurach, rozstrzygnęli za nas, że ryzyko jest za wielkie, i że odbędziemy już tylko jedną jedyną wyprawę. Rozpuściwszy, jak zwykle, wiele mylnych pogłosek co do celu naszej podróży, wymknęliśmy się spokojnie i po krótkiej przeprawie wjechaliśmy do zatoki. Był wczesny ranek i zanim jeszcze kotwica dna sięgnęła, szkuner został otoczony przez łódki.

Pierwszą rzeczą, którą usłyszeliśmy, była wiadomość, że tajemniczy zauszniak Karaina umarł przed kilku dniami. Nie przypisywaliśmy tej nowinie wielkiego znaczenia. Zapewne, trudno było wyobrazić sobie Karaina bez nieodstępnego towarzysza, ale człowiek ów był stary, nigdy do żadnego z nas słowa nie przemówił — nie słyszeliśmy chyba wcale dźwięku jego głosu; i przyzwyczailiśmy się patrzeć nań, jak na coś pozbawionego życia — jako na część przepychu, wśród którego żył nasz przyjaciel — jak na miecz, który za

nim noszono, lub czerwony parasol z frendzlami, pojawiający się w czasie uroczystych objazdów. Karain nie odwiedził nas popołudniu, jak to czynił zazwyczaj. Przed zachodem słońca przesłał nam pozdrowienie i dar, złożony z owoców i jarzyn. Nasz przyjaciel płacił nam jak bankier, a gościł nas jak król. Oczekiwaliśmy go do północy. Na rufie pod płóciennym dachem brodaty Jackson brząkał na starej gitarze i śpiewał ohydny akcentem stare pieśni hiszpańskie; zaś młody Hollis i ja, rozciągnięci na pokładzie, graliśmy w szachy przy świetle latarki. Karain nie pojawił się jednak. Następnego dnia byliśmy zajęci wyładowaniem towaru i dowiedzieliśmy się, że radza jest niezdrów. Oczekiwane przez nas zaproszenie nie nadeszło. Przesłaliśmy przyjazne pozdrowienia, lecz bojąc się przeszkodzić jakimś tajemnym obradom, nie opuściliśmy statku. Na trzeci dzień wczesnym rankiem wyładowaliśmy już wszystek proch i karabiny, a także i sześciofuntową mosiężną armatkę z łożyskiem, którą zakupiliśmy wspólnie na dar dla naszego przyjaciela. Popołudniu uczyniło się parno. Strzępiaste brzegi czarnych chmur wyglądały z za pagórków; niewidzialne burze krążyły naokół, warcząc jak dzikie bestje. Przygotowaliśmy szkuner do odjazdu, aby odpłynąć następnego ranka o świcie. Dzień cały prażyło zatokę bezlitosne słońce, okrutne i blade, rozżarzone do białości. Na lądzie panowała martwość. Wybrzeże było puste, osady zdawały się wyludnione, dalekie drzewa stały w nieruchomych kępach, jak namalowane; biały dym z niewidzialnych ognisk snuł się nisko u brzegu, niby opadająca mgła. Nad wieczorem trzech zaufanych ludzi Karaina, przybranych w najpiękniejsze stroje i uzbrojonych od stóp do głowy, przybyło w czółnie, wioząc skrzynkę z dolarami. Posępni byli i przybici; mówili nam, że przez pięć dni nie widzieli swojego radzy. Nikt go nie wi-

dział! Uregulowaliśmy wszystkie rachunki, poczem wysłannicy Karaina, podawszy nam kolejno ręce w głębokiem milczeniu, zesзли jeden po drugim do łodzi i ruszyli ku brzegowi. Siedzieli blisko siebie w jaskrawych strojach, zwiesiwszy głowy; złote hafty kaftanów błyszcząły olśniewająco, gdy oddalali się, sunąc po gładkiej wodzie; żaden z nich nie obejrzał się ani razu. Przed zachodem warczące chmury zdobyły szturmem pasmo wzgórz i zsunęły się, kotłując, po wewnętrznych zboczach. Wszystko zniknęło: czarna, wirująca mgła wypełniła zatokę, a w środku niej szkuner kołysał się tam i sam w zmiennych podmuchach wiatru. Pojedynczy wystrzał piorunu zagrział z siłą, która—zdało się—rozniesie w kawałki pierścień wysokich wzgórz; ciepły potop spłynął na ziemię. Wiatr zamarł. Sapaliśmy z gorąca w dusznej kabinie; z twarzy lał się nam pot; zatoka syczała, jak gotująca się woda; ulewny deszcz zlatywał w prostopadłych kolumnach, ciężkich jak ołów; chlustał o pokład, lał się z rei, bulgotał, szlochał, pluskał, szemrał w ślepym mroku. Lampka paliła się ciemno. Hollis, obnażony do pasa, leżał bez ruchu na skrzyżni, z zamkniętymi oczami, niby obdarty trup; u jego głowy Jackson brząkał na gitarze i podśpiewywał wśród westchnień ponurą dumkę o beznadziejnej miłości i oczach jak gwiazdy. Wtem usłyszeliśmy na pokładzie przerażone głosy, krzyczące wśród deszczu, śpieszne kroki rozległy się nad naszymi głowami i Karain ukazał się nagle we drzwiach kabiny. Nagie jego piersi i twarz połyskiwały w świetle; przemoczony sarong oblepiał mu nogi; w lewej ręce trzymał kriss w pochwie, a kosmyki mokrych włosów, wymykając się z pod czerwonego turbana, zwisały mu na oczy i policzki. Przesadził próg jednym susem, ogładając się przez ramię jak człowiek ścigany. Hollis odwrócił się prędko na bok i otworzył oczy. Jackson

przycisnął wielką dłoń do wibrujących strun i brzęk zamarł. Wstałem z krzesła.

— Nie słyszeliśmy okrzyknięcia waszej łodzi! — zawołałem.

— Łodzi?... Ależ ten człowiek dostał się tu wpław — wycedził Hollis na swojej skrzyni. — Spójrzcie na niego!

Patrzyliśmy w milczeniu na Karaina, a on stał z obłąkanymi oczami, dysząc ciężko. Woda ciekła z niego, zbierała się w ciemną kałużę i biegła ukośnie przez podłogę kabiny. Usłyszeliśmy na pokładzie głos Jacksona, który wyszedł, aby spędzić naszych malajskich majtków ze schodków wiodących do kabiny; kłął i groził wśród ciężkiego plusku ulewy. Wielkie wzburzenie panowało na pokładzie; wartownicy oszaleli z przestachu na widok ciemnej postaci wskakującej przez burtę — jakby wprost z morskiej otchłani — i zaalarmowali całą załogę.

Wreszcie Jackson wrócił z pokładu gniewny i obasypany kroplami deszczu, błyszczącymi na brodzie i włosach, a Hollis, jako najmłodszy z nas, przybrał pozę pełną niedbałej wyższości i rzekł, nie poruszając się wcale:

— Dajcie mu suchy sarong — ten mój — wisi tam w łazience.

Karain położył na stole kriss, rękojeścią ku sobie, i wykrztusił kilka słów zduszonym głosem.

— Co takiego? — spytał Hollis, który nic nie usłyszał.

— Usprawiedliwia się, że wszedł z bronią w rękę — rzekłem oszołomiony.

— Cóż to za ceremonjalny facet... Powiedz, że mu wybaczymy, jako naszemu przyjacielowi... I to jeszcze w taką noc — cedził Hollis. — Cóż się stało?

Karain wsunął przez głowę suchy sarong, mokry opuścił na ziemię i wystąpił z niego. Wskazałem mu

drewniany fotel — jego fotel. Usiadł na nim wyprostowany. „Ha!” wyrzekł silnym głosem; krótki dreszcz przebiegł szerokie jego barki. Spojrzał niespokojnie przez ramię, zwrócił się do nas, jakby chcąc coś powiedzieć, ale wytrzeszczył tylko dziwne, jakby oślepie oczy i obejrzał się znowu. Jackson wrzasnął: „Hej tam, bacznosc na pokładzie!” Usłyszał słaby odzew i wyciągniętą nogą zatrzaskał drzwi kabiny.

— Teraz już wszystko w porządku — oświadczył.

Wargi Karaina drgnęły zlekka. Jaskrawa błyskawica zapaliła nagle wprost niego dwa okrągłe okienka, które błysnęły jak para okrutnych, fosforyzujących oczu. Wydało się nam przez chwilę, że płomień lampy rozsypał się w brunatny proch, zaś lustro nad kredensem wyskoczyło z za pleców Karaina, niby gładki płat siniego światła. Huk piorunu zbliżył się i zawisł nad nami; szkuner drżał cały, a wielki głos miotał wciąż swe straszne groźby, oddalając się w przestwór. Przez krótką chwilę wściekły deszcz szorował o pokład. Karain powiódł zwolna wzrokiem od twarzy do twarzy i cisza stała się tak głęboka, że usłyszeliśmy wyraźnie oba chronometry, tykające w mojej kabynie — jeden za drugim — z niesłabnącym pośpiechem.

Wszyscy trzej, dziwnie wytrąceni z równowagi, nie byliśmy w stanie zdjąć oczów z Karaina. Stał się zagadkowy, wzruszył nas swoją tajemnicą, która wygnała go w noc i burzę i zmusiła do szukania ucieczki w kajucie szkunera. Nikt z nas nie wątpił, że patrzymy na zbiega, mimo całej diwaczności takiego przypuszczenia. Miał twarz wynędzniałą, jakby nie spał całymi tygodniami; schudł, jakby od kilku dni nic nie jadł. Policzki jego zapadły się, oczy wgłębiły; mięśnie piersi i ramion drgały zlekka, jak po wyczerpującej walce. Prawda, że ciężką miał przepra-

wę aż do szkunera, ale z twarzy jego wyzierało znużenie innego rodzaju — gniewna i trwożna udręka, jak po zmaganiu się z myślą, z pojęciem — z czemś nieuchwytnym, nie dającym ani chwili wytchnienia — z cieniem, z niczem — niezwyrodnionem i nieśmiertelnem, które żeruje na naszym życiu. Znaliliśmy owo coś równie dobrze, jak gdyby krzyknął nam jego nazwę. Pierś Karaina rozszerzała się raz po raz; zdawało się, że nie może opanować uderzeń serca. Miał przez chwilę władzę właściwą opętanym — władzę budzenia ciekawości, bólu, politowania i przerażająco bliskiego odczucia rzeczy niewidzialnych, rzeczy mrocznych i niemych, które otaczają ludzką samotność. Oczy jego błędziły czas jakiś bez celu i zatrzymały się wreszcie. Rzekł z wysiłkiem:

— Uciekłem!... Przeskoczyłem częstokół, jak zbieg po klęsce! Biegłem w ciemnościach. Woda była czarna. Zostawiłem go wołającego na brzegu czarnej wody... Zostawiłem go stojącego samotnie na brzegu. Płynąłem... wołał za mną... płynąłem...

Drżał od stóp do głowy, siedząc bardzo prosto i patrząc przed siebie. Kogo zostawił? Kto go wołał? Nic nie wiedzieliśmy. Nie mogliśmy zrozumieć o co chodzi. Powiedziałem na chybił - trafił:

— Opanuj się!

Dźwięk mego głosu zdawał się go krzepić; zesztyniał nagle, żadnej zresztą na mnie nie zwracając uwagi. Przez chwilę nasłuchiwał, czy jakby czekał na coś, potem znów mówił dalej:

— On tu przyjść nie może — dlatego uciekłem do was. Do was, ludzie o białych twarzach, którzy gardzicie niewidzialnymi głosami. On nie może znieść waszej niewiary i waszej siły.

Zamilkł. Po chwili usłyszeliśmy cichy okrzyk:

— Ach! jakże silni są ludzie bez wiary!

— Niema tu nikogo prócz ciebie, radzo, i nas trzech — rzekł spokojnie Hollis, który leżał wciąż nieruchomo z głową wspartą na łokciu.

— Wiem — rzekł Karain. — Nie gonił tu za mną nigdy. Przecież mądry człowiek zawsze mi towarzyszył. Ale odkąd zmarł stary mędrzec, który znał moją niedolę, słyszałem tamten głos każdej nocy. Zamknąłem się na wiele dni w ciemnościach. Dochodziły mnie strapione szepty kobiet, szum wiatru i bieżącej wody, szcęk broni w ręku wiernych mężów, ich kroki — i jego głos!... Blisko... tuż! W samo ucho! Poczujęm go dziś koło siebie... oddech jego owionął mi szyję. Wyskoczyłem na dwór bez krzyku. Wszyscy naokoło spali spokojnie. Pobiegnęłam ku morzu. Leciał u mego boku bez najłżejszego szmeru, szepcząc, szepcząc dawne słowa—szepcząc mi do ucha dawnym głosem. Wbiegnęłam w morze; popłynąłem ku wam z krisssem w zębach. Ja, zbrojny mąż, uciekłem przed tchnieniem — do was. Weźcie mnie do waszego kraju! Stary mędrzec umarł, a z nim przepadła moc jego słów i zaklęć. I nikomu nie mogę nic powiedzieć. Nikomu. Niema tu nikogo, ktoby był na to dość wierny i dość mądry — na to aby wiedzieć! Tylko przy was, niewiernych, nieszczęście moje rozplywa się, jak mgła pod okiem dnia.

Zwrócił się ku mnie.

— Pójdę za tobą! — krzyknął, hamując głos. — Za tobą, który znasz tyłu z pomiędzy nas. Chcę rzucić ten kraj — mój lud... i jego — tam!

Wyciągnął drżący palec, wskazując na chybił trafił gdzieś poza siebie. Ciężko nam było znieść widok tej obnażonej niedoli. Hollis patrzył w niego z uwagą. Zapytałem łagodnie:

— Gdzie jest niebezpieczeństwo?

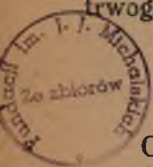
— Wszędzie poza tem miejscem — odrzekł ponuro. — Gdziekolwiek tylko się znajdę. On czeka na

mnie na ścieżkach, pod drzewami, przy łożu, gdy kładę się na spoczynek — wszędzie — tylko nie tutaj.

Powiódł wzrokiem po małej kabinie — po malowanych belkach i przybrudzonej politurze przepieczętowań; obejrzał wszystko naokoło, jakby odwołując się do obcości i lichoty tego otoczenia, do nieporządknej zbieraniny nieznanych przedmiotów, co należą do zagadkowego życia, pełnego wysiłku, mocy, zabiegów, niewiary — do potężnego życia białych ludzi, które toczy się twardo i nieodparcie na krawędzi zewnętrznego mroku. Wyciągnął ramiona, jakby chciał objąć to życie wraz z nami. Czekaliśmy. Wiatr i deszcz ustały; cisza nocna wokół szkunera była tak głucha jakby nas otaczał martwy świat, złożony w grobie z chmur na wieczny spoczynek. Spodziewaliśmy się, że Karain zacznie mówić. Od chęci zwierzenia się drgały mu wargi. Są ludzie, którzy twierdzą, że Malaj nie odezwie się szczerze do białego człowieka. To błąd. Żaden człowiek nie przemówi do swego pana; lecz do wędrowca i przyjaciela, który nie przybywa, aby pouczać, albo rządzić, który niczego nie wymaga i zgadza się na wszystko—wobec takiego przyjaciela padają szczerze słowa u ognisk obżo- wych, we wspólnej samotności morza, w pobrzeżnych osadach, w miejscach wypoczynku otoczonych lasami—słowa nie zważające na rasę czy kolor skóry. Jedno serce mówi — drugie serce słucha; a ziemia, morze, niebo, przelotny wiatr lub liść chwiejący się na gałęzi słuchają także błażej opowieści o brzemieniu życia.

Przemówił wreszcie. Niepodobna oddać wrażenia, jakie wywarły na nas jego dzieje. Jest to wrażenie niezniszczalne, choć żyje tylko we wspomnieniu, a głębia jego i wyrazistość nie może być objawiona tym, co go nie zaznali — tak jak niepodobna podzielić się z nikim wzruszeniem we śnie przeżytem.

Trzeba było widzieć wrodzoną wspaniałość Karaina, trzeba było znać go przedtem — i patrzeć na niego w owej chwili. Chwiejny półcień małej kajutki; na zewnątrz głucha cisza, skroś którą dochodziło tylko pluskanie wody o boki szkunera; blada twarz Hollisa o spokojnych, ciemnych oczach; energiczna głowa Jacksona, ujęta w dwie wielkie dłonie i długa, żółta jego broda, spływająca na struny gitary zostawionej na stole; wyprostowana i nieruchoma poza Karaina, jego głos — wszystko to wywierało wrażenie, którego zapomnieć niepodobna. Siedział naprzeciw nas po drugiej stronie stołu. Ciemna głowa i brązowy tors widniały nad matową taflą drzewa, lśniące i nieruchome, jak odlane z metalu. Tylko usta poruszały się, a oczy żarzyły, gasły, jaśniały znów lub patrzyły ponuro w przestrzeń. Słowa jego płynęły wprost z uderzonego serca. Snuły się cicho, niby smutny szmer bieżącej wody; czasem brzmiały rozgłośnie, jak łoskot wojennego gongu — albo wlokły się powoli jak znużeni wędrowcy — albo gnały naprzód zdjęte trwoga.



IV

Oto mniej więcej co nam opowiedział:

— Było to po owych wielkich zaburzeniach, kiedy przymierze czterech państw Wajo zostało zerwane. Walczyliśmy między sobą, a Holendrzy śledzili nas zdaleka, czekając, aż nasze siły się wyczerpią. Potem ujrzelśmy dym ich statków wojennych przy ujściu naszych rzek, a wielcy ich mężowie przybyli w łodziach pełnych żołnierzy, aby mówić nam o protekcji i pokoju. Odpowiedzieliśmy ostrożnie i mądrze, gdyż wioski nasze były spalone, częstokoły słabe, lud wyczerpany a broń stępią. Przybyli i odjechali; wiele

było gadaniny, ale po ich odjeździe wszystko wyglądało jak dawniej; widzieliśmy tylko obce statki krążące u naszych wybrzeży i kupcy holenderscy zjawili się niebawem pod rękojmą bezpieczeństwa. Mój brat był władcą i jednym z tych, którzy dali ową rękojmę. Byłem wówczas młody, walczyłem podczas zaburzeń, a Pata Matara walczył u mego boku. Dziełiliśmy głód, niebezpieczeństwo, zmęczenie i triumfy. Oczy jego chwyciły szybko grożące mi ciosy, a moje ramię dwukrotnie ocaliło mu życie. Tak chciało jego przeznaczenie. Był moim przyjacielem. A słynał pośród nas i należał do tych, którzy otaczali mego brata — władcę. Przemawiał podczas obrad; odwaga jego była wielka; podlegało mu wiele osad leżących wokoło rozległego jeziora, które znajduje się w środku naszego kraju, jak serce znajduje się w środku ludzkiego ciała. Gdy wnoszono do kampongu miecz zwiastujący jego przybycie, w gaju owocowym szeptały rozciekawione dziewczęta, bogaci mężowie naradzali się w cieniu i przygotowywano ucztę wśród śpiewów i rozradowania. Cieszył się łaską władcy i miłością ubogich. Kochał wojnę, polowanie, wdzięki kobiet. Posiadał klejnoty, szczęśliwą broń i ludzkie przywiązanie. Był to mąż srogi; i nie miałem przyjaciela poza nim.

Dowodziłem wówczas strażą czuwającą u częstokołu, zbudowanego przy ujściu rzeki, i w imieniu mego brata pobierałem myto od przejeżdżających czółen. Pewnego dnia zobaczyłem holenderskiego kupca kierującego się w górę rzeki. Miał z sobą trzy łodzie; nie zażądałem od niego myta, ponieważ dym holenderskich statków unosił się nad horyzontem i byliśmy jeszcze za słabi, aby zapomnieć o traktatach. Pojechał w górę rzeki pod rękojmą bezpieczeństwa, a brat mój udzielił mu opieki. Holender oświadczył, że przybywa, aby z nami handlować.

Słuchał naszych głosów, gdyż jesteśmy ludźmi, którzy przemawiają otwarcie i bez strachu; liczył nasze włócznie, oglądał drzewa, bieżące wody, trawę nadbrzeżną, stoki naszych wzgórz. Udał się do kraju Matary i tam pozwolono mu wybudować dom. Handlował i sadił rośliny. Lekceważył nasze radości, nasze myśli i nasze troski. Twarz jego była czerwona, włosy jak ogień, oczy blade jak mgła nadržeczna; ruchy miał ciężkie i mówił grubym głosem; śmiał się głośno jak głupiec i dwornie przemawiać nie umiał. Był to wielki, szyderyczy mężczyzna, który patrzył w twarze kobiet i kładł rękę na ramieniu wolnych ludzi, jak wysoko urodzony władca. Znosiliśmy go cierpliwie. Czas mijał.

Stało się potem, że siostra Pata Matary uciekła z kampongu i zamieszkała w domu Holendra. Była to pani wielka i samowolna; widziałem raz, jak niewolnicy nieśli ją na plecach wysoko ponad tłumem. Twarz miała odkrytą i słyszałem jak wszyscy mężczyźni mówili, że piękna jest niezmiernie, że na jej widok milknie rozum a zachwyty serce porywa. Ucieczka jej przeraziła wszystkich. Twarz Matary poczerniała od hańby, gdyż wiedział, że obiecano jego siostrę innemu mężczyźnie. Matara poszedł do domu Holendra i rzekł: „Wydadaj mi ją na śmierć — to córka wielkiego rodu“. Biały człowiek odmówił i zamknął się w domu, a służba jego wartowała dniem i nocą z nabitemi strzelbami. Matara pienił się z wściekłości. Brat mój zwołał naradę. Ale holenderskie statki krążyły w pobliżu i warowały chciwie u naszych wybrzeży. Więc brat mój rzekł: „Jeśli on teraz zginie, kraj za tę krew zapłaci. Poniechajmy go, póki nie staniemy się silniejsi i póki statki nie odjadą“. Matara był mądry, więc czekał i śledził Holendra. Lecz biały lękał się o jej życie i odjechał.

Zostawił swój dom, swoje plantacje i swój doby-

tek! Odjechał, zbrojny i groźny, i rzucił wszystko — dla niej! Porwała jego serce. Z za częstokołu widziałem, jak puścił się na morze w wielkiej łodzi. Siedział na rufie ze skrzyżowanymi nogami i trzymał oburącz strzelbę, a lufa błyszczała ukośnie przed jego wielką, czerwoną twarzą. Szeroka rzeka słała się pod nim — równa, gładka, połyskliwa, jak srebrzysta równina; zaś statek, wydający się z brzegu bardzo krótki i bardzo czarny, sunął po srebrnej równi w dal, ku błękitowi morza.

Matara, stojąc u mego boku, po trzykroć krzyknęła jej imię wśród bolesnych złorzeczeń. Wzruszył moje serce. Imię zabrzmiało trzy razy; i trzy razy ujrzałem oczyma duszy zamkniętą pod pokładem kobietę z rozpuszczonymi włosami, odchodzącą od swego kraju i swego plemienia. Zły byłem — i smutny. Dlaczego? I wnet zacząłem też krzyczeć zniewagi i przekleństwa. Matara rzekła: „Teraz, kiedy opuścili nasz kraj, życie ich do mnie należy. Pójdę za nimi, i uderzę, i cenę krwi spłacę sam”. Wielki wiatr wiał ku zachodzącemu słońcu przez pustą rzekę. Krzyknąłem: „Pójdę u twego boku!” Pochylił głowę na znak zgody. Tak chciało jego przeznaczenie. Słońce zaszło, a drzewa nad naszymi głowami poruszały gałęzmi z wielkim szumem.

Trzeciego dnia opuściliśmy kraj na prao handlowem.

Naprzeciw wyszło nam morze — szerokie, bezdrożne i nieme. Płynący statek śladu nie zostawia. Skierowaliśmy się ku południowi. Był księżyc w pełni; i patrzyliśmy na niego, mówiąc: „Gdy zabłyśnie następny księżyc, oświetli nam drogę powrotną; a oni będą już martwi”. Od tego czasu upłynęło lat piętnaście. Wiele księżyców dojrzało i zwiędło, a ja kraju mego już nie zobaczyłem. Wzięliśmy się na południe; dopędziliśmy wiele statków; zbadaliśmy brzegi i za-

toki; ujrzeliliśmy kraniec naszego wybrzeża i naszej wyspy — stromy przylądek nad niespokojną cieśniną, kędy snują się cienie rozbitych okrętów i topielcy krzyczą po nocach. Teraz już szerokie morze otaczało nas zewsząd. Ujrzeliliśmy wielką górę palącą się pośród wody; ujrzeliliśmy tysiące wysepek rozsypanych jak okruchy żelaza wystrzelone z wielkiej armaty; ujrzeliliśmy wielkie wybrzeże, najeżone górami i przylądkami, rozciągnięte szeroko w słońcu z zachodu na wschód. To była Jawa. Powiedzieliśmy sobie: „Oni są tam; czas ich nadchodzi i powrócimy wnet, albo umrzemy wolni od hańby“.

Wylądowaliśmy. Czyż jest w tym kraju co dobrego? Ścieżki biegną proste, i twarde, i pokryte kurzem. Kamienne kampongi, pełne białych twarzy, otoczone są rodzajnymi polami, lecz każdy człowiek, którego napotkasz, jest niewolnikiem. Radzowie żyją pod ostrzem cudzoziemskiego miecza. Wstępowaliśmy na góry, przebywaliśmy doliny; o zachodzie wchodziliśmy do wsi. Pytaliśmy każdego: „Widzieliście takiego białego człowieka?“ Niektórzy wytrzeszczali oczy, inni śmieli się; kobiety dawały nam czasem posiłek z trwożą i szacunkiem, jak gdybyśmy byli szaleńcami z Bożego dopustu; ale niektórzy nie rozumie li naszego języka, inni klęli nas — albo, ziewając, pytali z pogardą o przyczynę naszych poszukiwań. Raz, gdy ruszaliśmy w dalszą drogę, jakiś starzec krzyknął za nami: „Dajcie temu pokój!“

Wędrowaliśmy dalej. Kryjąc broń, ustępowaliśmy pokornie z drogi jeźdźcom; zginaliśmy się nisko na dziedzińcach władców, którzy nie byli lepsi od niewolników. Błądziliśmy nieraz polem i dżunglą. Pewnej nocy w lesie spletanym lianami trafiliśmy na miejsce, gdzie stare mury leżały zwalone wśród drzew, a dziwne kamienne bóstwa — rzeźbione wizerunki djabłów o wielu rękach i nogach, o ciałach ople-

cionych wężami, o głowach dwudziestu — bóstwa dzierzące tysiąc mieczów — zdawały budzić się do życia i grozić nam w świetle ogniska. Nic nas nie przerażało. A wędrując drogami, i u każdego ogniska, i na każdym noclegu, mówiliśmy zawsze o niej i o nim. Czas ich nadchodził. Nie mówiliśmy o niczem innym. Nie mówiliśmy o głodzie, pragnieniu, znużeniu i upadających sercach. Mówiliśmy o niej i o nim? Nie! Tylko o niej. I myśleliśmy o nich — o niej! Matara zapamiętywał się ponuro przy ognisku. A ja siedziałem i myślałem, i myślałem — aż nagle stawała mi znów przed oczami postać kobiety pięknej, i młodej, i wspaniałej, i dumnej, i tkliwej, która rzuciła swój kraj i swoje plemię. Matara mówił: „Kiedy ich odnajdziemy, zabijemy ją naprzód, aby zmyć hańbę — a potem mężczyzna zginąć musi”. Odpowiadałem: „Tak być powinno; to twoja zemsta”. Patrzył we mnie długo wielkimi, zapadłymi oczami.

Wróciliśmy na wybrzeże. Nogi nasze krwawiły, ciała wychudły. Sypialiśmy w łąchmanach, w cieniu kamiennych ogrodzeń; brudni i wynędzniali, czailiśmy się przy bramach wiodących na dziedzińce białych ludzi. Włochate psy ujadły na nas, a ludzie krzyczeli zdaleka: „Precz stąd!” Nisko urodzeni nędznicy, którzy pilnują ulic wśród kamiennych kampongów, pytali nas, kim jesteśmy. Kłamaliśmy, płaszczyliśmy się z uśmiechem i nienawiścią w sercu i snuliśmy się wciąż to tu, to tam, wypatrując ich obojga — jego, białego mężczyzny z włosami jak płomień i jej — kobiety, która złamała wiarę i za to umrzeć musi. Szukaliśmy ciągle. Wkońcu zdawało mi się, że widzę jej twarz w twarzy każdej napotkanej kobiety. Biegliśmy szybko — Nie! — Niekiedy Matara szeptał: „Widzę go tam!” i czekaliśmy zaczenia. Mężczyzna zbliżał się... To nie był on — ci Holendrzy wszyscy są do siebie podobni. Cierpieliśmy

mękę zawodu. We śnie widywałem jej twarz i radowałem się, i smuciłem... Dlaczego?... Zdawało mi się często, że słyszę jakiś bliski szept. Odwracałem się szybko. Nie było jej! I gdy wlekliśmy się mozolnie od kamiennego miasta do kamiennego miasta, wydawało mi się nieraz, że słyszę obok siebie lekkie kroki. Przyszedł czas, gdy słyszałem je zawsze — i byłem szczęśliwy. I myślałem, oszołomiony i wyczerpany, chodząc po słonecznym żarze twardymi ścieżkami białych ludzi — myślałem: ona jest z nami! Matara stał się ponury. Bywaliśmy często głodni.

— Sprzedaliśmy rzeźbione pochwy naszych krisów — pochwy z kości słoniowej, o złotych brzegach. Sprzedaliśmy rękojeści zdobne drogiemi kamieniami. Lecz zatrzymaliśmy ostrza — na nich. Ostrza, które zadają ciosy tylko śmiertelne — zatrzymaliśmy ostrza na nią... Dlaczego? Była przecież zawsze u mego boku... Cierpieliśmy głód. Żebraliśmy. Wreszcie opuściliśmy Jawę.

Udaliśmy się na zachód, udaliśmy się na wschód. Widzieliśmy wiele krajów, tłumy obcych twarzy; ludzi, którzy mieszkają na drzewach i ludzi, którzy jedzą swoich umarłych starców. Wycinaliśmy rotan w lesie za garść ryżu; zarabialiśmy na życie, zamiatając pokłady na wielkich okrętach i słuchając przekleństw rzucanych na nasze głowy. Zapracowywaliśmy się po wsiach; wędrowaliśmy morzami z plemieniem Bajow, które ojczyzny nie posiada. Walczyliśmy za pieniądze; pracowaliśmy dla ludzi z plemienia Goram, którzy nas oszukali; i na rozkaz gburowatych białych twarzy nurkowaliśmy, szukając pereł w jałowych zatokach, usianych czarnemi skałami, na piaszczystem, bezludnem wybrzeżu. A wszędzie czatowaliśmy, słuchaliśmy, wypytywaliśmy się. Pytaliśmy kupców, rozbójników, białych ludzi. Słyszeliśmy kpiny, szyderstwo, pogrożki — słowa pełne ciekawości

i słowa pełne pogardy. Nie znaleźliśmy spoczynku; nie myśleliśmy nigdy o domu, bo nasze dzieło nie było dokonane. Minął rok, potem drugi. Przestałem liczyć noce, miesiące, lata. Czuwałem nad Matarą. Ostatnia garść ryżu była zawsze dla niego; jeśli zabrakło wody, on wypijał ostatek; przykrywałem go, kiedy drżał z zimna; a gdy gorąca niemoc na niego przyszła, przesiedziałem bezsennie wiele nocy, wachlując mu twarz. Był to mąż srogi i mój przyjaciel. Mówił o niej z wściekłością za dnia, ze smutkiem w nocy: wspominał ją w zdrowiu i chorobie. Nie mówiłem mu nic; ale widziałem ją każdego dnia — zawsze! Z początku widziałem tylko jej głowę, niby głowę kobiety idącej wybrzeżem w niskiej mgłę nadrzecznej. Potem siadywała przy naszym ognisku. Widziałem ją! Patrzyłem na nią! Miała tkliwe oczy i czarowne oblicze. Szeptalem do niej w ciemnościach. Matarą odzywał się czasem sennie: „Do kogo mówisz? Kto tam jest?” Odpowiadałem szybko: „Nikt”... To było kłamstwo! Nie opuszczała mnie nigdy. Dzieliła ciepło naszego ogniska, siedziała na mojem posłaniu z liści, płynęła za mną morzem... Widziałem ją!... Mówię wam, że widziałem długie, czarne włosy rozsypane po fali srebrzonej miesięcznym światłem; widziałem, jak zagarniała wodę nagimi ramionami, płynąc obok szybkiego prao. Była piękna, była wierna, i wśród ciszy obcych krajów mówiła do mnie szeptem w języku mego plemienia. Nikt jej nie widział; nikt jej nie słyszał: była tylko moja! W świetle dziennem szła przede mną mozolnymi ścieżkami, kołysząc się zlekka; postać jej była prosta i gibka jak pień smukłego drzewa; pięty jej były obłe i gładkie jak skorupki jaj; wabiła mnie krągłem ramieniem. Nocą patrzyła mi w twarz. I była smutna! Jej oczy spoglądały czule i trwożnie; głos brzmiał miękko i błagalnie. Szepnąłem raz: „Nie umrzesz!” — Uśmiechnęła się... i od-

tańd uśmiechała się zawsze!... Widok jej dawał mi odwagę do zniesienia trudów i znoju; były to czasy ciężkie, lecz ona koła moją troskę. Wędrowaliśmy cierpliwie, wciąż szukając. Poznaliśmy rozczarowania i zwodne nadzieje; poznaliśmy niewolę, chorobę, pragnienie, nędzę, rozpacz... Dosyć! — Znaleźliśmy ich!

Wykrzyknął ostatnie słowa i urwał. Twarz jego była niewzruszona, tak jak i cała postać; wyglądał na człowieka pogrążonego w transie. Hollis usiadł nagle i oparł się łokciami o stół. Jackson poruszył się, trącając łokciem gitarę. Żalony brzęk nappełnił kabinę zmaconem drganiem i zamarł powoli. A Karain zaczął znów mówić. Hamowana dzikość jego tonu zdawała się wzbierać jak głos przenikający z zewnątrz, jak dźwięk niewymówiony, choć słyszany; ten głos przepęłnił kajutę i ogarnął gwałtownym, głuchym szmerem nieruchomą postać siedzącą w fotelu.

— Wyruszyliśmy do Atjeh, gdzie toczyła się wojna, lecz statek osiadł na mieliźnie i musieliśmy wylądować w Delli. Zarobiliśmy przedtem trochę pieniędzy i kupiliśmy strzelbę od kupców z Selangory, jedną jedyną strzelbę, która dawała ognia od iskry skrzeseanej przez kamień. Niósł ją Matara. Wylądowaliśmy; mieszkało tam wielu białych ludzi, którzy uprawiali tytuń na zdobytych równinach — a Matara... Ale mniejsza z tem. Zobaczył go!... Tego Holendra... nareszcie!... Podpełziliśmy i zaczęliśmy go śledzić. Śledziliśmy go dwie noce i jeden dzień. Miał dom — duży dom na polance w pośrodku swoich pól; kwiaty i krzewy rosły naokoło; wąskie ścieżki z żółtej ziemi bieły wśród strzyżonej trawy, a gęste żywopłoty nie dawały ludziom przystępu. Trzeciej nocy przyszliliśmy uzbrojeni i legliśmy za żywopłotem.

Bujna rosa zdawała się wsiąkać w nasze ciała

i mroziła nam szpik w kościach. Trawa, gałęzie, liście pokryte kroplami wody szare były w świetle księżyca. Matara, zwinięty w kłębek, drżał przez sen. Zęby szczękały mi tak głośno, że bałem się, aby ten hałas nie zbudził całej okolicy. Gdzieś daleko stróże pilnujący domów białych ludzi kołatali drewnianymi kołatkami i hukali w ciemnościach. I — jak każdej nocy — ujrzałem ją u swego boku. Już się nie uśmiechała!... Ogień męki palił się w mych piersiach, a ona szeptała ze współczuciem i litością, i słodyczą — jak to kobiety potrafią. Kołata ból mojej duszy; nachyliła nade mną twarz — twarz kobiety, która porywa serca mężczyzn i pozbawia ich rozumu. Była tylko moja i nikt jej nie mógł widzieć — nikt z żyjących. Gwiazdy przeświecały przez jej łono, przez rozpuszczone włosy. Zmógł mnie żal, i tkliwość, i smutek. Matara spał... Czy i ja spałem?... Matara potrząsał moim ramieniem, a ogień słońca suszył trawę, liście, zarośla. Był dzień. Strzępy białej mgły wisiały wśród gałęzi.

Czy to była noc, czy też dzień? Znowu nic nie widziałem; aż wreszcie Matara zaczął szybko dyszeć, leżąc w trawie — i wtedy ją zobaczyłem. Zobaczyłem ich oboje. Wyszli przed dom. Usiadła na ławce pod murem, a gałęzie ciężkie od kwiatów pięły się wysoko nad jej głową, zwisały nad włosami. Trzymała na kolanach szkatułkę i patrzyła, licząc ile jej pereł przybyło. Holender stał tuż obok i spoglądał na nią. Uśmiechnął się do niej; białe jego zęby błysnęły; włosy nad wargami wyglądały jak dwa skręcone płomienie. Był wielki, i tłusty, i wesoły, i nieulekły. Matara wziął szczyptę świeżego prochu z zagłębienia dłoni, zdrapał panewkę paznokciem wielkiego palca i oddał mi strzelbę. Mnie! Wziąłem ją... O losie!

— Szepnął mi, leżąc na brzuchu: „Podpełznę blisko i rzucę się na nią... musi umrzeć z mojej ręki. Ty wezmiesz na cel tego tłustego wieprza. Niech zo-

baczy jak zmywam swoją hańbę z oblicza ziemi — a potem... tyś mój przyjaciel — zabij pewnym strzałem". — Nie rzekłem nic. Nie było powietrza w mej piersi — nie było powietrza na świecie. Matara znikł nagle. Zakołysała się trawa; potem krzak zaszeleścił. Podniosła głowę. Ujrzałem ją! Poczyszycielkę bezsen-nych nocy i dni mozolnych; towarzyszkę niespokoj-nych lat! Ujrzałem ją... Patrzyła wprost na miejsce, gdzie leżałem skulony. Była taka, jaką widywałem ją latami: wierną towarzyszką u mego boku. Patrzy-ła smutnemi oczami i miała uśmiech na wargach. Pa-trzyła na mnie... uśmiechała się! Ach, gdybym jej nie był obiecał, że nie umrze!

— Choć znajdowała się daleko, czułem ją obok siebie. Ręce jej pieściły mnie, a głos szeptał nade-mną, wkoło mnie: „Kto będzie twoją towarzyszką? Kto cię pocieszy, jeśli umrę?” Spostrzegłem, że kwit-nący gąszcz na lewo od niej drgnął zlekka... Matara był gotów... Krzyknąłem głośno: „Wracaj!”

— Zerwała się; kasetka spadła; perły rozlały się strumieniem u jej stóp. Wielki Holender toczył groź-nemi oczami w blasku słonecznym. Strzelba podnio-sła się do mego ramienia. Klęczałem i czułem się nie-złomny — niezłomniejszy od drzew, skał, gór. Ale przed długą, nieruchomą lufą — pola, dom, ziemia i niebo chwiały się tam i sam — jak cienie w lesie w wietrzny dzień. Matara wypadł z gąszczu; płatki poszarpanych kwiatów wzbily się przed nim wysoko, jak pędzone burzą. Posłyszałem krzyk kobiety; ujrza-łem, jak rzuca się z rozpostartemi ramionami przed białego człowieka. Była kobietą mego plemienia i krwi szlachtetnej. One są takie! Posłyszałem jej krzyk pełen niepokoju i trwogi — i wszystko naraz stanęło jak wryte. Pola, dom, ziemia, niebo stanęły — a Matara skoczył na nią z podniesioną ręką. Po-ciągnąłem za cyngiel, ujrzałem iskrę, wystrzału nie

usłyszałem; dym owiał mi twarz i zobaczyłem Mata-
rę, padającego głową naprzód. Leży z rozkrzyżowa-
nymi ramionami u jej nóg. Ha! Pewny strzał! Blask
słońca zaciężył mi na plecach zimnem dotkliwszem
od chłodu źródlanej wody. Pewny strzał... Rzuciłem
strzelbę. Tych dwoje stało nad martwym człowiekiem
jak gdyby ich coś urzekło. Krzyknąłem do niej: „Żyj
i pamiętaj!” Potem błądziłem czas jakiś w zimnym
mroku.

— Usłyszałem za sobą głośnie krzyki, tupot wie-
lu nóg; obcy ludzie mnie otoczyli, krzyczeli mi
w twarz bezładne słowa, popychali mnie, ciągnęli,
podtrzymywali... Stałem przed wielkim Holen-
drem; patrzył we mnie jak wyzbyty z rozumu. Chciał
zrozumieć, co się stało, mówił prędko, wspominał
o wdzięczności, ofiarowywał mi jedzenie, przytułek,
złoto — zadawał wiele pytań. Roześmiałem mu się
w twarz i rzekłem: „Jestem podróżnym z plemienia
Korinchi; idę tamtą drogą z Peraku i nie wiem nic
o zabitym. Przechodząc tędy, usłyszałem strzał, a wy,
ludzie bez głowy, wypadliście i wciągnęliście mnie tu-
taj”. Holender podniósł w górę ramiona, dziwił się, nie
chciał wierzyć, nie mógł zrozumieć, wykrzykiwał coś
w swoim języku! A ona objęła go za szyję i przez ra-
mię patrzyła na mnie rozszerzonymi oczami. Uśmie-
chałem się i patrzyłem na nią; uśmiechałem się i cze-
kałem, aby usłyszeć dźwięk jej głosu. Biały zapytał
nagle: „Czy go znasz?” — Słuchałem — życie moje
było w mych uszach! Popatrzyła na mnie długo, po-
patrzyła na mnie nieugiętym wzrokiem i rzekła gło-
śno: „Nie! nigdy go przedtem nie widziałam”. Co!
Nigdy przedtem? Już zapomniała? Czy to możliwe!
Zapomniała już — po tylu latach... tylu latach wę-
drówek, obcowania, trosk, czułych słów... Już zapom-
niała!... Wyrwałem się z rąk, które mnie chciały za-
trzymać i odszedłem bez słowa... Pozwolili mi odejść.

— Zmęczony byłem. Czy spałem? Nie wiem. Pamiętam, że szedłem szeroką ścieżką pod jasnym światłem gwiazd; a ten obcy kraj wydał mi się taki wielki, pola ryżowe takie rozległe, że gdy spojrzałem wokoło, zakręciło mi się w głowie z lęku przed przestrzenią. Potem zobaczyłem las. Zaciężyło mi radosne światło gwiazd. Skręciłem w bok ze ścieżki i wszedłem do lasu, który był bardzo ciemny i bardzo smutny.

V

Karain mówił coraz ciszej i ciszej, jak gdyby się od nas oddalał, aż wreszcie ostatnie jego słowa zabrzmiały słabo, lecz wyraźnie, niby krzyknięte w pogodny dzień z bardzo wielkiej odległości. Nie poruszał się wcale. Utkwił wzrok w ścianie za głową Hollisa, który siedział naprzeciw niego, również jak i on nieruchomy. Jackson odwrócił się bokiem i oparł łokieć o stół, ocinając ręką oczy. A ja patrzyłem, zdumiony i poruszony; patrzyłem na tego człowieka, wiernego swej wizji, oszukanego przez marzenie, odepchniętego przez złudę; człowieka, który szukał ratunku u nas, niewierzących, ratunku — przed myślą. Zapadło głębokie milczenie, pełne — zda się — bezszelestnych widziadeł, rzeczy żałosnych, mrocznych i niemych; niewidzialna ich obecność sprawiła, że ulgą i opieką wydało mi się głośnie, tętniące tykanie dwóch okrętowych chronometrów, znaczących sekundy czasu w Greenwich. Karain patrzył przed siebie kamiennym wzrokiem. Spoglądałem na jego sztywną postać i myślałem o tułaczce tego człowieka, o tajemniczej Odyssei zemsty, o wszystkich ludziach, którzy błądzą wśród złudzeń, o złudzeniach równie niespokojnych jak i ludzie; o złudzeniach wierności i złu-

dzeniach wiarołomstwa; o złudzeniach, które dają radość, dają smutek, dają ból, dają spokój; o nieodpartyach złudzeniach, oblekających życie i śmierć w pogodę, wzniosłość, mękę lub ohydę.

Rozległ się cichy głos; głos, który wypływał, zda się, z zewnątrz, z uspiętego świata, i przenikał do kabiny, w krąg światła rzucony przez lampę. To Karain mówił dalej.

— Mieszkałem w lesie. Ona już nie przyszła. Nigdy! Ani razu. Byłem sam. Zapomniała o mnie. To i dobrze. Nie potrzebowałem jej; nie potrzebowałem nikogo. Znalazłem opuszczoną chatę na polance. Nikt tam nie zaglądał. Czasami słyszałem woddali głosy ludzi idących ścieżką. Spałem; wypoczywałem; był tam dziki ryż, woda w strumieniu — i spokój! Co noc siedziałem samotnie przed chatą u niewielkiego ogniska. Wiele nocy przeszło nad moją głową.

— Aż jednego wieczoru, gdy posiłem się i siedziałem przy ognisku, patrząc w ziemię, zacząłem wspominać swoje wędrówki. Nagle podniosłem głowę. Nie usłyszałem żadnego dźwięku, szelestu, ni kroków — a jednak podniosłem głowę. Jakiś człowiek szedł ku mnie przez polankę. Czekałem. Zbliżył się bez pozdrowienia i przykucnął w świetle ogniska. Potem zwrócił się do mnie. Był to Matara. Patrzył we mnie dziko wielkimi, zapadłymi oczami. Noc była zimna; ciepło zamarło w ognisku, a Matara wciąż we mnie patrzył. Powstałem i odszedłem, zostawiając go u ognia, w którym ciepło zamarło.

— Szedłem całą noc, cały dzień, a wieczorem rozpałem wielki ogień i usiadłem, aby czekać na niego. Nie przyszedł w krąg światła. Słyszałem, jak krążył wśród krzaków, to tu, to tam, — i szeptał, szeptał. Zrozumiałem wreszcie jego słowa — słyszałem je już i dawniej: „Tyś mój przyjaciel. Zabij pewnym strzałem“.

— Znosiłem to, póki mogłem wytrzymać, wreszcie rzuciłem się do uciezki — tak jak i dziś w nocy, gdy przeskoczyłem ostrokół i popłynąłem do was. Biegłem i biegłem, jak dziecko porzucone samotnie zdala od chat. A on leciał bez szelestu przy moim boku i szeptał, szeptał — niewidzialny i obecny. Szukałem teraz ludzi — pragnąłem mieć ludzi dokoła siebie! Ludzi, którzy nie umarli! I znów wędrowaliśmy we dwóch. Szukałem niebezpieczeństw, walk i śmierci. Biłem się w wojnie Atjeh, a waleczny lud dziwił się odwadze cudzoziemca. Ale było nas dwóch; on odpierał ciosy... Dlaczego? Pragnąłem spokoju, a nie życia. I nikt go nie widział; nikt o niczem nie wiedział — nie śmiałem powiedzieć nikomu. Czasem opuszczał mnie, ale nie na długo; powracał i szeptał znów, albo wpatrywał się we mnie. Dziwna trwoża szarpała mi serce, lecz umrzeć nie mogłem. Wówczas to spotkałem starego człowieka.

— Znaliście go wszyscy. Ludzie nazywali go moim czarownikiem, albo sługą noszącym za mną miecz; ale on był dla mnie ojcem, matką, opieką, ratunkiem i spokojem... Kiedym go spotkał po raz pierwszy, wracał z pielgrzymki i usłyszałem, jak śpiewał modlitwę o zachodzie. Udał się do świętego miejsca z synem, żoną syna i jego malutkiem dzieciątkiem, a w drodze powrotnej z łaski Najwyższego umarli wszyscy troje; mąż w sile wieku, młoda matka, dzieciątko — wszyscy pomarli; i starzec wrócił do swego kraju sam jeden. Był to pielgrzym pogodny i nabożny, bardzo mądry i bardzo samotny. Powiedziałem mu wszystko. Przebywaliśmy razem czas jakiś. Mówił nade mną słowa współczucia, mądrości, modlitwy. Strzegł mnie przed cieniem umarłego. Błagałem go o czar, któryby mnie przed niebezpieczeństwem osłonił. Przez długi czas odmawiał, wreszcie dał mi go z uśmiechem i westchnieniem. Miał widać

władzę nad duchem silniejszym niż duch mego zmarłego przyjaciela — i odzyskałem znów spokój, ale odtąd nie mogłem usiedzieć w miejscu, pokochałem zamęt i niebezpieczeństwo. Starzec nigdy mnie nie opuszczał. Podróżowaliśmy razem. Wielcy mężowie witali nas radośnie; mądrość jego i moja odwaga wspomniane są dotychczas tam, gdzie zapomniano o waszej sile, o biali ludzie! Służyliśmy sułtanowi Sulu. Walczyliśmy przeciwko Hiszpanom. Zazналиśmy zwycięstw, nadziei, porażek, smutku, krwi, łez kobiecych... I naco to wszystko?... Uciekliśmy. Zebraлиśmy wędrowców należących do wojennej rasy i przybyliśmy tu, aby znów walczyć. Resztę już wiecie. Jestem władcą zdobytego kraju, kochankiem wojny i niebezpieczeństw, bojownikiem i spiskowcem. Lecz starzec nie żyje i zmarły wziął mnie znów w niewolę. Niemasz tego, który odpędzał żaloszne i mściwe widziadło, — który uciszał martwy głos! Moc jego czaru umarła z nim razem. I znów poznałem trwoję; i znowu słyszę szept: „Zabij! zabij! zabij!“... Czy nie dosyć już zabijałem?

Pierwszy raz w ciągu tej nocy twarz Karaina zadrgała nagle szaleństwem i wściekłością. Chwiejne jego spojrzenia błędziły tu i tam, jak zalęknione ptaki podczas burzy. Zerwał się i krzyknął:

— Na duchy, które piją krew; na duchy, które żalą się nocą; na wszystkie duchy wściekłości, nieszczęścia i zagłady, przysięgam — przyjdzie dzień, kiedy uderzę w serce każdego, kogo napotkam!...

Wyglądał tak niebezpiecznie, że zerwaliśmy się wszyscy trzej na równe nogi, a Hollis pchnął ręką kriss, który zleciał ze stołu. Zdaje mi się, że krzyknęliśmy jednocześnie. Przestrach trwał krótko; w następnej chwili Karain siedział znów spokojnie na fotelu, a trzej biali stali nad nim w nieco głupich pozach. Było nam trochę wstyd. Jackson podniósł kriss

i, rzuciwszy na mnie badawcze spojrzenie, oddał go Karainowi. Ten odebrał broń z wyniosłym skinieniem głowy i wetknął za sarong, przyczem z drobiazgową starannością nadał krissowi ściśle pokojowe położenie. Spojrzał ku nam w górę z surowym uśmiechem. Byliśmy zmieszani i pogiębieni. Hollis siadł bokiem na stole, objął dłonią podbródek i w milczącej zadumie spoglądał badawczo na Karaina. Odezwałem się wreszcie.

— Musisz pozostać ze swoim ludem. Jesteś mu niezbędny. I przecież istnieje zapomnienie. Nawet umarli przestają czasem mówić.

— Czy jestem kobietą, aby zapomnieć o długich latach, zanim powieka zdąży dwa razy się opuścić? — wykrzyknął z gorzką urazą. Zaskoczyły mnie jego słowa. To było wprost zdumiewające. Jego życie — ten okrutny miraż miłości i spokoju — wydawało mu się tak realne i niezaprzeczone — jak każdemu świętemu, filozofowi, czy też półgłówkowi z pomiędzy nas wydaje się realnem i niezaprzeczonem jego własne życie. Hollis mruknął:

— Nie uspokoicie go waszemi komunałami.

Karain zwrócił się do mnie:

— Znasz nas, tuanie. Żyłeś z nami. Dlaczego? Tego nie wiemy; ale rozumiesz nasze smutki i nasze myśli. Żyłeś z moim ludem i rozumiesz nasze pragnienia i nasze obawy. Pójdę z tobą. Do twego kraju — do twego ludu. Do twego ludu, który żyje w niewierze; dla którego dzień jest dniem, a noc nocą i niczem więcej — ponieważ rozumiecie tylko to, co widzicie oczami, a wszystkim innem pogardzacie. Do waszego kraju niewiary, gdzie umarli nie przemawiają, gdzie każdy człowiek jest mądry, i swobodny, i spokojny.

— Świetnie powiedziane — mruknął Hollis z przebłykiem uśmiechu.

Karain zwiesił głowę:

— Umiem pracować, i walczyć — i być wier-
nym — szepnął znużonym głosem — ale nie potra-
fię wrócić do niego, który czeka na mnie tam na
wybrzeżu. Nie potrafię! Weźcie mnie z sobą... Albo
też dajcie mi waszą siłę, waszą niewiarę... Zadajcie
mi jakiś czar!

Zdawał się wyczerpany do ostateczności.

— Tak, zabrać go do domu — rzekł Hollis bar-
dzo cicho, jak gdyby odpowiadał samemu sobie. —
To byłby także sposób. Wprawdzie i po salonach
chodzą duchy i rozprawiają uprzejmie z panami
i paniami, ale wzgardziłyby napewno nagiem ludz-
kiem stworzeniem, takim jak nasz książe przyja-
ciel... Nagiem... Obdarłem! należałoby właściwie po-
wiedzieć. Przykro mi za niego. Naturalnie, że nie-
podobna go zabrać. A koniec temu wszystkiemu bę-
dzie taki — ciągnął, patrząc na nas — koniec będzie
taki, że pewnego pięknego dnia Karain oszaleje
wśród swoich wiernych poddanych i wyśle, ilu się da,
ad patres, zanim zdobędą się na wiarołomstwo i zde-
cydują się go zabić.

Skinąłem głową. Uważałem za więcej niż praw-
dopodobne, że taki koniec przyjdzie na Karaina. By-
ło jasne, że dręczące myśli doprowadziły go do osta-
tecznego kresu ludzkiej wytrzymałości i niewiele już
brakowało, aby wpadł w specjalny rodzaj szaleństwa
właściwy jego rasie. Wytchnienie, jakie miał za życia
starego pielgrzyma, sprawiło, że powrotu męczarni
znieść już nie mógł. To było jasne.

Podniósł nagle głowę; wydawało się nam przez
chwilę, że się był zdrzemnął.

— Dajcie mi opiekę — albo dajcie mi waszą
siłę! — zawołał. — Jakiś czar... jakąś broń!

I znów broda opadła mu na piersi. Popatrzy-
liśmy na niego, potem spojrzeliśmy po sobie z po-
dejrzliwością i lękiem, jak ludzie, którzy natknęli się

niespodzianie na jakieś tajemnicze nieszczęście. Oddał się w nasze ręce; powierzył nam swoje błędy i swoją mękę, swoje życie i swój spokój; i nie wiedzieliśmy, co począć z tem zagadnieniem, które wyłoniło się z mroku. My — trzej biali ludzie patrzący na tego Malaja — nie umieliśmy znaleźć ani jednego odpowiedniego słowa — jeśli istniało doprawdy słowo mogące rozwiązać tę sytuację. Zatopiliśmy się w myślach, a serca nasze upadły. Wydało się nam, że wszyscy trzej zostaliśmy wezwani do samych wrót piekielnego państwa, aby zawyrokować o losie wędrowca, który opuścił nagle świat pełen słońca i złudzeń.

— Na Jowisza, niezłe ma wyobrażenie o naszej potędze — szepnął beznadziejnie Hollis. I znów zapadła cisza, mącona słabym pluskiem wody i nieustannem tykaniem chronometrów. Jackson skrzyżował nagie ramiona i oparł się plecami o przepierzenie kabiny. Stał z głową nieco schyloną pod belką, podtrzymującą sufit; jasna broda rozpościerała się wspaniale na jego piersi; wyglądał jak nieporadny i łagodny olbrzym. W kajucie zapanował ponury nastrój; powietrze nasiąkało zwolna okrutnym chłodem bezsilności i gniewnym, bezlitosnym egoizmem; zaczęliśmy się buntować przeciw niezrozumiałej formie cierpienia narzucającego się natrętnie. Nie wiadomo było co począć; zaczęliśmy gorzko odczuwać konieczność pozbycia się Karaina.

Hollis myślał i myślał, wreszcie roześmiał się i mruknął: „Siła... opieka... czary”. Zsunął się ze stołu i wyszedł, wcale na nas nie spojrzawszy. Wyglądało to na podłą dezercję. Zamieniliśmy z Jacksonem oburzone spojrzenia. Słyszeliśmy jak Hollis przetrząsa rzeczy w swojej kajucie, nie większej od gołębiego gniazda. Czyżby ten smyk doprawdy kładł się już do łóżka? Karain westchnął. Sytuacja była nie do zniesienia!

Lecz Hollis pojawił się znowu, trzymając oburącz małą, skórzaną szkatułkę. Postawił ją ostrożnie na stole, spojrzął na nas i odetchnął przytem w dziwny sposób, jakby na chwilę zaniemówił, albo jakby miał moralne wątpliwości, czy wolno mu ową szkatułkę pokazać. Ale bezczelna i niezawodna mądrość młodości dała mu w mig porębną odwagę. Rzekł, otwierając szkatułkę małym kluczykiem:

— No, chłopcy, zróbcie jak najbardziej uroczyste miny.

Prawdopodobnie wyglądaliśmy tylko na zaskoczonych i ogłupiałych, bo spojrzął przez ramię i rzekł gniewnie.

— To nie są żarty! chcę coś dla niego zrobić. Wyglądajcież poważnie. Cóż u licha!... Czy nie stać was na trochę kłamstwa... dla dobra przyjaciela!

Karain zdawał się nie zwracać na nas uwagi, lecz gdy Hollis podniósł wieko szkatułki, oczy jego pobiegły ku niej — tak jak i nasze. Purpurowy atłas, którym szkatułka była wysłana, rozgorzał jaskrawą, barwną plamą w ponurej atmosferze; zjawił się wyraźny cel dla wzroku, przyciągający oczy.

VI

Hollis patrzył z uśmiechem w głąb szkatułki. Odbił niedawno wycieczkę do kraju przez kanał. Nie było go przez sześć miesięcy i zjawił się w sam czas, aby wyruszyć na tę ostatnią wyprawę. Nigdy przedtem nie widzieliśmy tej szkatułki. Hollis trzymał nad nią rękę i mówił do nas ironicznym tonem, ale twarz jego stała się poważna, jak gdyby wymawiał potężne zaklęcie nad przedmiotami leżącymi w szkatulce.

— Każdego z nas — mówił, urywając co chwila, przyczem pauzy dotkliwsze były od słów — każdego z nas — zgodzicie się z tem chyba — przesładowało wspomnienie o jakiejś kobiecie... A co się dotyczy przyjaciół... przyjaciół rzuconych mimochodem... ech! spytajcie siebie sami...

Urwał. Karain patrzył z natężeniem w szkatułkę. Głośny hałas rozległ się na górze pod pokładem. Jackson rzekł z powagą:

— Nie bądźże takim podłym cynikiem.

— Ach ty prostoduszny człowieku! — rzekł posępnie Hollis. — Dowiesz się zaraz... Przecież ten Malaj był naszym przyjacielem...

Powtórzył kilka razy w zamyśleniu: — Malaj... przyjacielem. Malaj, przyjacielem — jak gdyby przeciwstawiał te słowa i ważył, poczem ciągnął już prędzej:

— Porządny chłop, gentleman w swoim rodzaju. Nie możemy — że tak powiem — odwrócić się plecami od jego zwierzeń i ufności, jaką w nas pokłada. Ci Malaje poddają się łatwo wrażeniom; szalenie są nerwowi, jak wiecie — a więc...

Zwrócił się raptem do mnie:

— Ty go znasz najlepiej — odezwał się rzeczowym tonem. — Czy uważasz, że jest fanatykiem? to znaczy się — czy bardzo ściśle trzyma się swoich wierzeń?

— Nie zdaje mi się — wyjąkałem.

— Rzecz w tem, że tu chodzi o wizerunek... wyryty portret — mruknął zagadkowo i zwrócił się znów do szkatułki. Zanurzył w niej palce. Wargi Karaina rozchyliły się, a oczy błyszczały. Patrzyliśmy w głąb szkatułki.

Było tam parę zwitków bawełny, papierek igieł, kawałek jedwabnej wstążki granatowego koloru, gabinetowa fotografia, na którą Hollis spojrział ukrad-

kiem, nim ją—odwróconą—na stole położył. Zdążyłem spostrzec, że była to fotografia młodej panny. Wśród mnóstwa różnych drobiazgów leżał tam pęk kwiatów, wąska biała rękawiczka o wielu guzikach, cienka paczka listów starannie związanych. Amulety białych ludzi! Czary i talizmany! Czary, które krzepią ducha, które miazdzą bez litości; czary, których moc wyrывa westchnienie z piersi młodzieńca, a na twarz starca sprowadza uśmiech. Potężne amulety, co przyciągają radosne marzenia i myśli pełne żalu; co kruszą twarde serca, a miękkie hartują na niezłomną stal. Dary niebios — ziemskie drobiazgi...

Hollis szperał w szkatułce.

I wydało mi się przez tę chwilę oczekiwania, że kabina szkunera zapełnia się niewidzialnem, żyjącem tętnem lekkich oddechów. Wszystkie duchy wygnane z niewiernego zachodu przez ludzi, którzy twierdzą, że posiadli mądrość, i swobodę, i spokój — wszystkie bezdomne duchy niewiernego świata pojawiły się nagle wokół Hollisa, schylonego nad szkatułką; wszystkie wygnane i czarowne duchy kochanych ongi kobiet; wszystkie piękne i tkliwe duchy ideałów — zachowanych w pamięci, zapomnianych, umiłowanych, znieawidzonych; wszystkie odepchnięte i pełne wyrzutu duchy przyjaciół — podziwianych, uwielbianych, darzonych ufnością, spotwarzonych, zdradzonych, zabranych przez śmierć—wszystkie te duchy przybyły z niegościnnych okolic ziemi, aby stłoczyć się w mrocznej kajucie, jak gdyby ta kajuta była jedyną ich ostoją na szerokim świecie opanowanym przez zwątpienie — jedynem źródłem wiary i zadosyćuczynienia... Minęła sekunda — i wszystko zniknęło. Tylko Hollis stał naprzeciw nas, a w palcach jego błyszczał jakiś drobny przedmiot. Wyglądało to na pieniążek.

— Znalazłem nareszcie — rzekł.

Podniósł przedmiot do góry. Była to sześciopien-sowa moneta z roku jubileuszowego — pozłacana, z dziurką przebitą u brzegu. Hollis spojrzął na Karaina.

— Oto czar dla naszego przyjaciela — rzekł do nas. — Rzecz sama przez się niezmiernej potęgi, jak wiecie — pieniądz — a wyobraźnia Karaina już pracuje. Ten włóczęga pełen jest lojalności; oby tylko jego purytanizm nie zląkł się wizerunku...

Nie odrzekliśmy nic. Nie wiedzieliśmy, czy to ma nas zgorszyć, czy rozśmieszyć, czy przynieść nam ulgę. Hollis, zbliżywszy się do Karaina, który stał jak gdyby strwożony, podniósł monetę i przemówił po malajsku.

— Oto wizerunek wielkiej królowej i najpotężniejsza za wszystkich rzeczy znanych białym ludziom — rzekł uroczyście.

Karain zakrył dłonią rękojeść krissa na znak czci i utkwiał wzrok w głowie ozdobionej koroną.

— Niezwyciężona, Pobożna — szepnął.

— Potężniejsza jest niż Sulejman Mądry, który, jak wiesz, rozkazywał duchom — ciągnął Hollis poważnie. — Ja ci to daję.

Trzymał monetę na wyciągniętej dłoni i, patrząc na nas w zamyśleniu, odezwał się po angielsku:

— Ona także rozkazuje duchowi swego narodu: potężnemu, sumiennemu, bezwzględnemu, nieposkromionemu djabłu... który czyni wiele dobrego — nie chcący... wiele dobrego... od czasu do czasu... i nie ścierpiałby żadnych awantur — choćby ze strony najzaciejszego ducha — o taką drobnostkę jak strzał naszego przyjaciela. No, dalejże, nie wyglądajcie jak rażeni piorunem. Pomóżcie mi wzbudzić w nim wiarę — od tego wszystko zależy.

— Ludzie jego będą się gorszyć — mruknąłem.

Hollis spojrział przeciągle na Karaina, który przedstawiał w tej chwili obraz cichego podniecenia. Stał sztywno z głową wtył odrzuconą; toczył dziko błyszczącymi oczyma; rozdęte jego nozdrza drgały.

— A niech tam — rzekł wreszcie Hollis — to zacny chłop. Dam mu coś, czego będę doprawdy żałował.

Wyjął wstążkę ze szkatułki, uśmiechnął się do niej wzgardliwie i wyciął nożyczkami kawałek skóry z dłoni rękawiczki.

— Zrobię mu amulet; wiecie, taki, jak to chłopci noszą we Włoszech.

Zaszył pieniądz w delikatną skórę, przymocował do wstążki, związał jej końce. Robił to z wielkim pośpiechem. Karain patrzył cały czas na jego palce.

— No więc — rzekł Hollis i przystąpił do Karaina. Patrzyli sobie zbliżeni w oczy. Wyteżony wzrok Karaina zagubił się w spojrzeniu Hollisa, który spoglądał władczo i rozkazująco pociemniałymi nagle oczami. Stanowili jaskrawy kontrast; jeden stał nieruchomo jak brązowy posąg, drugi — olśniewająco biały — wznosił powoli ramiona, których potężne mięśnie grały pod skórą błyszczącą jak atlas. Jackson przysunął się bliżej z miną człowieka, który wspiera kolegę w ciężkim położeniu. Rzekłem z naciskiem, wskazując na Hollisa:

— Młody jest, ale mądry. Wierz mu!

Karain pochylił głowę; Hollis zarzucił mu lekko na szyję granatową wstążkę i odstąpił wtył.

— Zapomnij i żyj w pokoju! — zawołałem.

Karain zdawał się budzić ze snu. „Hal“ wymówił i otrząsnął się, jakby zrzucając jakiś ciężar. Rozejrzał się pewnym wzrokiem. Na pokładzie ktoś ściągnął z luku zasłonę i fala światła wpadła do kajuty. Był już ranek.

— Czas na pokład — rzekł Jackson.

Hollis wciągnął kurtkę i ruszyliśmy, prowadzeni przez Karaina.

Słońce weszło już za wzgórzami i długie ich cienie kładły się na zatokę wśród perłowego światła. Powietrze było przezroczyste i chłodne. Wskazałem na krętą linię żółtych piasków.

— Niema go tam — rzekłem dobitnie do Karaina. — Już nie czeka. Odszedł nazawsze.

Pocisk jasnych, gorących promieni wpadł do zatoki przez szparę między dwoma szczytami i woda — jak zaczarowana — zajaśniała nagle skrzącym się blaskiem.

— Nie! Nie czeka — rzekł Karain, popatrzawszy długo na brzeg. Nie słyszę go — ciągnął powoli. — Nie!

Zwrócił się do nas:

— Odszedł nazawsze! — zawołał.

Przytakiwaliśmy energicznie, raz po raz, bez najmniejszych skrępułów. Chodziło przedewszystkiem o to, aby wyrzeć na nim potężne wrażenie, aby odczuł zupełne bezpieczeństwo — koniec wszelkiej udreki. Robiliśmy co było w naszej mocy i mam nadzieję, że ujawniliśmy dość silnie naszą wiarę w potęgę Hollisowego czaru i że udało się nam usunąć tę kwestję poza obręb wszelkiej wątpliwości. W cichem powietrzu głosy nasze brzmiały radośnie naokoło Karaina, a nad jego głową niebo, przejrzyste i niepokalane, rozpięło delikatny błękit od brzegu do brzegu i dalej ponad zatoką, jakby chciało otoczyć pieszczotą swego blasku wodę, ziemię i tego człowieka.

Kotwica była podniesiona, żagle wisiały nieruchomo i pół tuzina wielkich łodzi dążyło w naszą stronę, aby nas wyholować z zatoki. Wioślarze z pierwszej łodzi, która podpłynęła pod szkuner, podnieśli

głowy i zobaczyli swego władcę stojącego między nami. Rozległ się cichy szmer zdumienia — potem okrzyk powitalny.

Karain opuścił nas i — zda się — znalazł się odrazu wśród wspaniałego przepychu swojej sceny, spowity w złudę niezawodnego powodzenia. Stał przez chwilę wyprostowany, z nogą na kładce, z dłonią na rękojeści krissa, w pozie wojennej; i, uwolniony od lęku przed zewnętrznym mrokiem, podniósł głowę wysoko, ogarniając pogodnym spojrzeniem zdobytą przez siebie pięćdziesiąt ziem. Oddalone łodzie podjęły okrzyk powitalny, wielka wrzawa potoczyła się po wodzie; wzgórze rozbrzmiały echem, jakby odrzucając z powrotem życzenia długich lat życia i zwycięstw.

Zstąpił do czołna; skoro tylko odbił od szkenera, uczciliśmy go trzema okrzykami. Zabrzmiały słabo i statecznie w porównaniu z dzikim tumultem, wznieconym przez wiernych poddanych, ale nie stać nas było na nic innego. Karain stanął w łodzi, podniósł oba ramiona i wskazał na niezawodny amulet. Wzniesiliśmy ponowny okrzyk, a Malaje patrzyli w zdumieniu, niezmiernie zaintrygowani i poruszeni. Ciekaw jestem, co sobie myśleli; co Karain myślał; ...co czytelnik myśli?

Holowano nas powoli. Widzieliśmy, jak Karain wysiadł i patrzył z brzegu za nami. Jakaś postać zbliżyła się do niego jawnie i pokornie — bynajmniej nie jak duch rozżalony. Zobaczyliśmy też innych ludzi biegnących ku niemu. Może spostrzeżono jego nieobecność? W każdym razie poruszenie było wielkie. Koło Karaina zebrała się szybko gromada ludzi, a on kroczył wzdłuż piaszczystego wybrzeża, w otoczeniu rosnącej wciąż świty, trzymając się prawie na jednej linii ze szkunerem. Mogliśmy przez szkła rozróżnić granatową wstążkę u jego szyi i białą plamkę

na brązowych piersiach. Zatoka się budziła. Dym z ognisk porannych unosił się w lekkich skrętach nad głowami palm; ludzie krążyli między chatami; stado bawołów galopowało ciężko po zielonem zboczu; smukłe postaci chłopców wywijających kijami ukazały się w wysokiej trawie, czarne i skaczące; barwny szereg kobiet z bambusowemi naczyniami na głowie sunął giętko na tle rzadkiego gaju drzew owocowych. Karain zatrzymał się wpośród swych ludzi i skinął ku nam ręką; potem odłączył się od wspaniałego orszaku, podszedł nad sam kraj wody i skinął ku nam powtórnie. Szkuner wydostał się na pełne morze, przesunawszy się między dwoma stromemi przyładkami zamykającemi zatokę — i w tejże chwili Karain zniknął z naszego życia nazawsze.

Lecz pamięć o nim nie zagięła. W kilka lat później spotkałem na Strandzie Jacksona. Wspanialszy był niż kiedykolwiek. Górował wysoko nad tłumem. Broda jego była złota, twarz czerwona, oczy niebieskie; na głowie miał szerokoskrzydły kapelusz, ale brakowało mu kołnierza i kamizelki; wyglądał porywająco! wrócił dopiero co do domu — wysiadł na ląd tego samego dnia! Nasze spotkanie utworzyło wir w prądzie ludzkości. Śpieszący się ludzie wpadali na nas, potem obchodzili nas wkoło i wreszcie odwracali się raz jeszcze, aby spojrzeć na tego olbrzyma. Usiłowaliśmy wtłoczyć siedem lat życia w siedem wykrzykników, poczem, nagle zaspokojeni, ruszyliśmy statecznie jeden obok drugiego, udzielając sobie najświeższych nowin. Jackson rozejrzał się jak człowiek szukający znaków wodnych na morzu i stanął przed wystawą Blanda. Miał zawsze namiętność do broni palnej, zatrzymał się więc i przyglądał rzędowi sztucerów, doskonałych i srogich, wyciągniętych w szereg za taflą tkwiącą w czarnej ramie. Stałem obok niego. Zapytał nagle —

— Czy pamiętasz Karaina?

Skinałem głową.

— Przypomniało mi go to wszystko — ciągnął z twarzą tuż przy szkle... i widziałem jak drugi Jackson, potężny i brodaty, patrzy w niego z natężeniem z pomiędzy ciemnych i gładkich rur, które umieją leczyć tyle złudzeń.

— Tak; to mi go przypomniało — ciągnął powoli. — Czytałem dziś rano dzienniki; walczą tam znowu. Karain tkwi w tem napewno. Już on potrafi dopiec tym caballeros. No, szczęście mu Boże, biedakowi! Był doprawdy zdumiewający.

Szliśmy dalej.

— Ciekawy jestem, czy też czar okazał się skuteczny — pamiętasz, naturalnie, czar Hollisa. Jeśli był skuteczny, to nie zmarnowano nigdy sześciu pensów z lepszym skutkiem. Biedak! Czy też pozbył się na dobre tego swojego przyjaciela? Mam nadzieję, że tak... Czy wiesz, zdaje mi się czasem, że — —

Stanąłem i popatrzyłem na niego.

— Widzisz... Chodzi mi o to, czy... ta historia — rozumiesz?... Czy to mu się doprawdy wydarzyło?... Jak myślisz?...

— Mój drogi — zawołałem — byłeś za długo poza krajem. Cóż za pytanie! Spójrz tylko na to wszystko.

Wodnisty blask zajaśniał na zachodzie i zagaśł między dwoma rzędami murów; łamane zbiorowisko dachów, kominy, złote litery rozpełzłe po frontach domów i ciemny połysk okien — wszystko trwało zrezygnowane i markotne pod zstępującym mrokiem. Cała długość ulicy, głębokiej, jak studnia, i wąskiej, jak korytarz, pełna była ciemnego i nieustannego ruchu. Do uszu bił gwałtowny szelest i tupot szybkich kroków, przy wtórze głuchego i rozległego szmeru —

szmeru o słabem tętnie, złożonego jak gdyby z gorączkowych oddechów, bijących serc, zdyszanych głosów. Niezliczone oczy spoglądały przed siebie, nogi poruszały się śpiesznie, płynęły bladawe twarze, kołysały się ramiona. A ponad tem wszystkiem wąski, poszarpany pas nieba przesłoniętego dymem wił się między wysokimi dachami, rozpostarty i nieruchomy, jak zbrukany sztandar powiewający nad zbiegowiskiem motłochu.

— Ta-a-a-k — rzekł Jackson w zamyśleniu.

Wielkie szprychy dwukołowych dorożek obracały się zwolna u skraju chodników; bladolicy młodzian włókł się znużony u boku swojej laski, a poły jego płaszcz trzepotały się niemrawo w pobliżu pięt; konie stapały otóżnie po śliskim bruku, podrzucając łbami; dwie młode panienki o błyszczących oczach przeszły, żywo rozmawiając; piękny, stary pan o czerwonej twarzy kroczył miarowo i głąskał białego węża; sznur wysokich żółtych reklam z niebieskimi literami zbliżał się chwiejnie i powoli, niby dziwaczne szczątki rozbitego okrętu, płynące po rzece z kapeluszy.

— Ta-a-a-k — powtórzył Jackson. Jego niebieskie oczy spoglądały na wszystkie strony, pogardliwe, rozbawione i twarde, jak oczy chłopca. Niezgrabny łańcuch czerwonych, żółtych i zielonych omnibusów toczył się, kołysząc, potworny i jaskrawy; dwoje obszarpanych dzieci przebiegło drogę; grupka brudnych mężczyzn z czerwonymi chustkami na gołych szyjach czyhała na boku, rozgadana plugawie; stary człowiek w łachmanach stał w błocie z twarzą pełną rozpacz, wrzeszcząc przeraźliwie tytuł jakiegoś dziennika; a w oddali, wśród ruchliwych łbów końskich, tępego połysku upręży i tłoku lśniących karet, widniał ciemny policjant w hełmie, wyciągający sztywne ramię u skrzyżowania ulic.

— Tak; widzę to wszystko—rzekł powoli Jackson. — Mam to przed oczami; słyszę jak dyszy, biegnie, toczy się; potężne jest i żywe; zmiażdżyłoby cię, gdybyś się nie pilnował; a jednak — niech mnie powieszą, jeśli to dla mnie równie jest realne jak... jak tamto drugie... to znaczy — historia Karaina.

Myślę, że Jackson stanowczo za długo przebywał poza domem.

I D J O C I

Jechaliśmy drogą z Treguier do Kervanda. Po między żywopłotami zarastającymi szczyty wałów po obu stronach drogi, mknęliśmy ostrym kłusem; wreszcie u stóp stromego wzgórzka pod Ploumar koń zwolnił biegu, a furman ciężko zeskoczył z kozła. Śmigał batem i wstępował pod górę, stąpając niezdarnie obok powozu z ręką na stopniu i oczyma utkwionymi w ziemię. Po chwili podniósł głowę, wskazał końcem bata w górę drogi i rzekł:

— Idjota. —

Słońce prażyło niemiłosiernie falistą powierzchnię gruntu. Na wyniosłościach rosły kępki nędznych drzewin o gałęziach tak wysoko strzelających w niebo, że wyglądały jak na szczudłach. Małe pólka, podgradzane żywopłotami i kamionkami, biegnącymi zygzakiem po pochyłościach, leżały jak prostokątne płyty jaskrawo zielone i żółte, podobne do niezdarnych maźnięć naiwnego malowidła, krajobraz zaś cały przecinał na pół biały szlak drogi, snującej się w dal długimi skrętami, jak rzeka pyłu, wlokąca się ze wzgórz w drodze ku morzu.

— Jest, — odezwał się znów woźnica.

Wpółśród długiej trawy, obrastającej drogę po brzegach, jakaś twarz przesunęła się koło nas na po-

ziomie kół powoli toczącego się powozu. Ta głupkowata twarz była czerwona, a kulista krótko ostrzyżona głowa zdawała się leżeć sama jedna podbródkiem w kurzu. Tułów ginał w krzakach, gęsto zarastających dno głębokiego rowu.

Była to twarz chłopca. Sądząc z jej rozmiarów, mógł mieć lat szesnaście — może mniej, może więcej. O takich stworzeniach czas zapomina — żyją nietknięte przez lata, dopóki śmierć nie przygarnie ich na współczujące łono, wierna śmierć, która wśród pracy nie zapomina o najlichszym ze swych dzieci.

— O, jest i drugi, — rzekł chłop z pewnym odcieniem zadowolenia, jakby spostrzegł coś oczekiwanego.

Był i drugi. Ten stał prawie pośrodku drogi w skwarze słonecznym na skraju własnego krótkiego cienia. Stał z rękami wsuniętymi w rękawy długiej kapoty i głową wtuloną w ramiona, skurczony wpośród powodzi żaru słonecznego. Zdaleka wyglądał jak ktoś bardzo zmarznięty.

— To są bliźniaki, — objaśnił woźnica.

Idjota, suwając nogami, ustąpił dwa kroki z drogi i spojrział na nas przez ramię, gdyśmy się prawie otarli o niego. Było to spojrzenie oczu niewidzących a wytrzeszczonych, jakby urzeczonych oczu. Nie odwrócił się jednak, aby popatrzeć za nami. Prawdopodobnie obraz przesunął się przed oczyma tej istoty, nie zostawiwszy ani śladu na jej wypaczonym mózgu. Gdy wjechaliśmy na szczyt wzgórza, spojrziałem ponad budą. Stał na tem samym miejscu, gdzie go zostawiliśmy.

Woźnica wsiadł na koziół, cmoknął i poczęliśmy zjeżdżać w dół. Hamulec od czasu do czasu zgrzytał przeraźliwie. Znalazłszy się na dole, furman rozluźnił hałaśliwy mechanizm i rzekł, robiąc półobrotu na koźle:

— Z czasem zobaczymy ich więcej.

— Więcej idjotów? Iluż ich tu jest?—zapytałem.

— Jest ich czworo — dzieci gospodarza z pod Ploumar... Rodzice już pomarli, — dodał po chwili. Babka jest na gospodarstwie. We dnie tłuką się po tej drodze, a pod wieczór wracają do domu z bydłem... To ładne gospodarstwo.

Zobaczyliśmy tych dwoje drugich: chłopca i dziewczynkę, tak jak furman zapowiedział. Ubrani byli zupełnie jednakowo w luźne odzienie z czemś w rodzaju spódnicy. Ułomny duch, ożywiający te istoty, pobudził je do wycia na nasz widok ze szczytu nasypu, na którym przewracały się wpośród badyli janowca. Krótco ostrzyżone czarne ich głowy sterczały z jaskrawo żółtej ściany niezliczonych drobnych kwiatków. Twarze posiniały im od krzyku; krzyk brzmiał bezbarwnie i nieczysto, jak mechaniczne naśladownicwo starczego głosu i urwał się nagle, gdy zawróciliśmy w boczną drogę.

Widywałem ich niejednokrotnie podczas moich wędrówek po okolicy. Żyli na tej drodze, błakając się po niej tu i owdzie, zależnie od impulsów potwornego obłądu. Byli obrazą dla światła słonecznego, wyrzutem dla pustych niebios, skazą na dzikim pejzażu pełnym skupionej i celowej żywotnej mocy. Zczasem dzieje ich rodziców ukształtowały się przedemną z niedbałych odpowiedzi na moje pytania, z obojętnych słów zasłyszanych w zajezdach przydrożnych lub na drodze, nawiedzanej przez idjotów. Część opowiedział mi wychudzony stary sceptyk, gdyśmy się nieraz wlekli nogą za nogą po piaskach obok dwukołowego wózka, naładowanego ociekającymi wodorostami. Kiedyindziej znów ktoś inny potwierdził i dopełniał opowieść, aż stanęła przedemną straszliwa a prosta, jakimi są zwykle rewelacje niewiomych nikomu mąk, szarpiących dusze pogrążone w ciemnocie.

Kiedy Jean - Pierre Bacadou wrócił do domu po odbyciu służby wojskowej, zastał rodziców bardzo postarzałych. Spostrzegł z boleścią, że robota na folwarku nie była wykonywana, jak należy. Ojciec nie miał już dawnej energii. Pracujące ręce nie czuły nad sobą pańskiego oka. Jean Pierre zmartwił się, zauważwszy, że kupa nawozu na podwórzu przed jedynym wejściem do domu nie była tak duża jak zwykle. Płoty porozwalały się, a na bydle znać było zaniedbanie. W domu matka prawie ciągle przykuta była do łóżka, a w kuchni niekarcone dziewczęta gadały głośno od rana do nocy. Powiedział sobie: „Trzeba temu zaradzić”. Rozmówił się z ojcem pewnego wieczora, kiedy promienie zachodzącego słońca, wpadające na podwórze przez luki między zabudowaniami gospodarskimi, przecinały czarny cień świetlnymi smugami. Ponad kupą nawozu unosiły się opalowe woniejące opary, a szukające żeru kury przestawały co chwila grzebać i zerkały okrągłym okiem na dwu mężczyzn, obu chudych i wysokich, rozmawiających z sobą ochrypłym głosem. Stary, pokręcony przez reumatyzm i pochylony przez lata pracy, i młodszy, kościsty i prosty, rozmawiali bez gestów, w obojętny chłopski sposób, z powagą i powoli. Lecz zanim słońce zaszło, ojciec ustąpił wobec rozsądnych argumentów syna. — Nie za sobą przemawiam, a za ziemią, — nalegał Jean - Pierre. — Żal patrzeć, jak się marnuje. Ja się nie niecierpliwie. — Stary, oparty na kij, kiwał głową. — Rozumiem, rozumiem, — wyszeptał. — Może i masz słuszość. Rób, jak chcesz. Matka będzie rada.

Matka była zadowolona z synowej. Jean-Pierre zajechał dziarsko na podwórze dwukołowym wózkiem na resorach. Siwy koń rwał ciężkim galopem i skoki dyszła rzucały nowożeńców, siedzących obok siebie, w tył i naprzód, ruchem miarowym i nagłym. Zdystan-

sowani goście weselni ciągnęli drogą grupami i parami. Mężczyźni stąpali ciężko, machając próżnemi rękoma. Ubrani byli z miejska w żakiety skrojone z niezdarnym szykiem, czarne sztywne kapelusze i olbrzymie wyglansowane buty. Kobiety w czarnych skromnych sukniach, białych czepkach i wyblakłych szalach, złożonych w trójkąt na plecach, lekko stąpały u ich boku. Na przedzie skrzypce śpiewały przenikliwym dyszkantem i kobza sapała i beczała, muzykant zaś podskakiwał z uroczystą powagą, wyrzucając wysoko ciężkie saboty. Smężna procesja sączyła się z jednej wąskiej dróżki w drugą, poprzez światło i cień, między polami i żywopłotami, płosząc małe ptaszki, których chmary zrywały się na prawo i na lewo. Na podwórzu zagrody Bacadou ciemna wstęga rozsunęła się w tłum mężczyzn i kobiet, pchających się we drzwi z okrzykami i życzeniami. Obiad weselny pamiętano przez kilka miesięcy. Był to wspaniały festyn w ogrodzie. Na drugi dzień znajdowano bogatych gospodarzy, cieszących się nieskazitelną opinią, śpiących po rowach wzdłuż drogi do Treguier — nawet jeszcze i po południu. Cała okolica uczestniczyła w szczęściu Jean - Pierre'a. Nie upił się i wraz ze swą cichą żoną usuwał się z drogi, pozwalając ojcu i matce odbierać należne im honory i podziękowania. Nazajutrz jednak ujął wszystko w mocne garści i starzy poczuli, że nadszedł wreszcie na nich cień — zwiastun śmierci. Świat należy do młodych.

Gdy bliźniaki przyszły na świat, w domu było dużo miejsca, bo matka Jean - Pierre'a przeniosła się na mieszkanie pod ciężki kamień na cmentarzu w Ploumar. Tego to dnia po raz pierwszy od ślubu syna Bacadou starszy, zapomniany przez rozgdakane stado obcych bab, tłoczących się w kuchni, opuścił rankiem miejsce swe przy kominie i poszedł do pustej

obory, posepnie potrząsając siwemi lokami. Bardzo pięknie, że są wnuki, ale on potrzebuje mieć swój talerz zupy w południe. Gdy mu pokazano niemowlęta, przypatrzył się im uważnie i mruknął coś niby: „Za dużo”. Niepodobna powiedzieć, czy miał na myśli za wiele szczęścia, czy też poprostu zrobił uwagę co do liczby potomków. Wyglądał na obrażonego — o ile jego stara drewniana twarz mogła cośkolwiek wyrażać; a potem długi czas można go było widzieć prawie o każdej porze dnia jak siedział u wrót z nosem nad kolanami, z fajką w dziąsłach, zadasany i zły. Raz odezwał się do syna z ciężkiem westchnieniem, robiąc aluzję do przybyszów.

— Pokłóca się o ziemię. — Nie kłopotz się o to, ojcze, — odrzekł Jean - Pierre obojętnie i przeszedł zgięty we dwoje, ciągnąc oporną krowę na postronku przerzuconym przez ramię.

Był szczęśliwy — i Zuzanna, jego żona, także. Nie była to subtelna radość, z którą wita się przybyszów, przewidując dla nich boje, a może i zwycięstwo. Za lat czternaście obydwaj chłopcy będą już wyręką; a potem Jean - Pierre wyobrażał sobie dwu tegich synów, kroczących z zagona na zagon, odbierających należną daninę od ukochanej i rodzajnej ziemi.

Zuzanna też była rada, bo nie chciała, aby mówiono o niej, że jest nieszczęśliwa, a nikt nie mógł już tego powiedzieć, skoro miała dzieci. Oboje, i ona i mąż, widzieli trochę szerszego świata; on podczas służby wojskowej, ona zaś spędziła blisko rok w Paryżu u bretońskiej rodziny, lecz zanadto tęskniła, aby pozostać dłużej w rozłące z pagórkowatą zieloną krainą, oprawną w pierścień skał i piasków, gdzie przyszła na świat. Myślała sobie, że może dobrze byłoby, aby jeden z chłopców został księdzem, ale nie wspominała o tem mężowi, który był republikaninem i nienawidził księży; nazywał ich „krukami”. Chrzci-

ny odbyły się wspaniale. Cała gmina zjechała się na nie, bo Bacadou byli bogaci, wpływowi i od czasu do czasu nie żalowali wydatku. Dziadek dostał nową kapotę.

W kilka miesięcy potem, pewnego wieczoru, kiedy kuchnia była już zamieciona i drzwi zaryglowane, Jean - Pierre, patrząc na kołyskę zapytał żonę: — Co tym dzieciom jest? — I, jakgdyby te spokojnie wypowiedziane słowa były zwiastunami nieszczęścia, Zuzanna odpowiedziała na nie głośnym lamentem, który doleciał aż do chlewów po drugiej stronie podwórza; świnie (a Bacadou mieli najpiękniejsze świnie w okolicy) zaniepokoiły się i zaczęły kwiczeć żałośnie w ciemności. Małżonek, utkwivszy wzrok w ścianie, żuł dalej powoli chleb z masłem nad dymiącą miską zupy. Wrócił z targu, gdzie nie po raz pierwszy zauważył szeptu poza swemi plecami. W drodze powrotnej obracał wciąż w myśli zasłyszane słowa: — Niepełna rozumu! Obydwaj... Nigdy żadnej pociechy! — No, może, może. Zobaczy. Zapyta żonę. Oto jej odpowiedź! Odczuł ją jak uderzenie pięścią w piersi, ale powiedział tylko:—Utocz mi cydru. Pić mi się chce!—

Nie przestawała lamentować z pustym dzbankiem w ręce. Wtedy wstał, podniósł świecę i powoli podszedł do kołyski. Spali. Przypatrzył im się z boku, połknął pogryziony kęs, ciężkim krokiem wrócił na miejsce i usiadł przed miską. Kiedy żona powróciła, nie podniósł oczu, lecz przełknął hałaśliwie kilka łyżek zupy i odezwał się posepnie: — Kiedy śpią, są tacy sami jak dzieci innych ludzi. —

Padła na najbliższy stółek i trzęsa się od bezgłośnych szlochów, niezdolna wymówić ani słowa. Skończył kolację i pozostał rozparty beczynnym na krześle, błędząc oczyma po czarnych belkach pułapu. Stojąca przed nim świeca paliła się płomieniem czerwonym i prostym, śląc w górę wąską smugę kop-

ciu. Światło leżało na zgrubiałej opalanej skórze jego szyi, zapadnięte policzki stanowiły dwie czarne plamy; wyglądał tak tępo i żałośnie, jakby z trudnością zbierał rozpiezchnięte myśli. Wreszcie zdobył się na wysiłek i rzekł:

— Musimy coś zrobić... poradzimy się ludzi. Nie płacz. Nie wszystkie będą takie... z pewnością! Teraz trzeba iść spać. —

Po urodzeniu się trzeciego dziecka, również chłopca, Jean - Piere wziął się do roboty pełen wzmożonej nadziei. Wargi jego zdawały się być węższe, mocniej zaciśnięte niż poprzednio, jakby w obawie, aby ziemia, którą uprawiał, nie usłyszała głosu nadziei szemrzącego mu w piersiach. Obserwował dziecko, stukając sabotami, gdy podchodził do kołyski i zaglądał do niej wzdłuż ramienia z tą obojętnością, która stanowi jakby ułomność natury chłopskiej. Jako ta ziemia, której rozkazują, a której służą zarazem, ludzie ci, powolni w spojrzeniu i mowie, nie okazują wewnętrznego ognia, tak że wreszcie w stosunku do nich jak w stosunku do ziemi powstaje pytanie, co stanowi jądro ich natury: żar, zdolny do wybuchu, potęga tajemna a straszliwa — czy też nic prócz bryły, masy rodzajnej, a bezwładnej, zimnej i nieczulej, gotowej do wydania roślin podtrzymujących życie lub zadających śmierć.

Oczy matki czuwały inaczej, wyteżone uszy inaczej słuchały. Pod wysoko przybitymi półkami, na których leżały ogromne poćcie słoniny, ciało jej pracowało przy wielkim kominie, gdy pilnowała garnka kołyszącego się na żelaznych hakach, lub szorowała długi stół, przy którym najemnicy usiądą zaraz do kolacji, lecz myśl pozostawała przy kołysce, czuwając dzień i noc, żywiąc nadzieję i cierpiąc. To dziecko, jak i tamte dzieci, nie uśmiechnęło się nigdy, nie wyciągało do niej rączek, nie przemówiło nigdy; nigdy

duże czarne jego oczy nie wyraziły, że ją poznają; umiały tylko zapatrzyć się nieruchomo w każdy błyszczący punkt, lecz nie spostrzegały jasności promienia słonecznego, ślizgającego się po podłodze. Gdy mężczyźni byli przy pracy, Zuzanna spędzała długie dni pomiędzy trojgiem swych dzieci idjotów i zdzienniałym dziadkiem, który siedział ponury, kanciany i nieruchomy z nogami przy ciepłym popiele kamina. Bezsilny starzec zdawał się podejrzewać, że wnukom coś jest. Jedyny raz tylko pobudzony czy to przez przywiązanie, czy też przez poczucie przyzwoitości, spróbował poniańczyć najmłodszego. Podniósł chłopca z podłogi, cmokał do niego i usiłował huścić go na swych kościstych kolanach. Potem mętłoni oczyma przyjrzał się zbliska twarzy dziecka i ostrożnie posadził je z powrotem na podłodze. I siedział tak, skrzyżowawszy chude golenie, kiwał głową w stronę pary, wymykającej się z garnka i spoglądał przed siebie starczym zatroskanym wzrokiem.

Niema zgryzota zamieszkała w chacie Bacadou, dzieląc z nimi chleb powszedni, a ksiądz z parafji Ploumar miał sobie czego wieszować. Udał się do bogatego obywatela, margrabiego de Chavanes, aby wywnętrzyć się zapomocą uroczystych komunałów pełnych radosnego namaszczenia na temat niezbadanych dróg Opatrzności. W półmroku przestronnego salonu człowieczek ten, podobny do czarnej poduszki, siedział z kapeluszem na kolanach, gestykulując tłustą ręką, pochylony w stronę kanapy, na której wśród wdzięcznych linii jasnej paryskiej toalety powabnie omdlewająca margrabina słuchała go napoły znudzona, napoły rozbawiona. Był triumfujący i pokorny, pełen dumy i zgrozy. Stała się rzecz nieprawdopodobna. Jean-Pierre Bacadou, zażarty republikanin, był ubiegłej niedzieli na mszy i sam zaproponował, że przyjmie na kwaterę księży misjonarzy podczas najbliższej uro-

czystości w Ploumar! Był to triumf kościoła i dobrej sprawy. — Postanowiłem sobie zaraz pójść powiedzieć o tem panu margrabiemu, wiem jak dba o dobro kraju, — oznajmił ksiądz, ocierając twarz. Otrzymał zaproszenie pozostania na obiedzie.

Państwo de Chavanes wracali tegoż wieczora po odprowadzeniu gości do głównych wrót parkowych i rozrzęśli tę sprawę, krocząc powoli wśród poświaty miesięcznej i ciągnąc za sobą długie cienie przez kasztanową aleję. Margrabia, rojalista naturalnie, był merem gminy, obejmującej Ploumar, wioski rozrzucone po wybrzeżu i skaliste wysepki, któremi ustrzępiona była żółta płaszczyna piasków.

Czuł, że stanowisko jego było niepewne, gdyż w tej części kraju dominował żywioł republikański. Obecnie nawrócenie Jean-Pierre'a umocniło margrabiego. Czuł duże zadowolenie.

— Nie masz pojęcia, jaki wpływ mają ci ludzie, — tłumaczył żonie. — Obecnie nie boję się już o przyszłe wybory do gminy, napewno wybiorą mnie ponownie.—Karolu, ty masz nienasyconą ambicję, — zawołała wesoło margrabina.—Ależ, ma chère amie,— z powagą dowodził małżonek,—jest rzeczą największej wagi, aby odpowiedni człowiek został merem w tym roku ze względu na wybory do Izby. Jeżeli myślisz, że mnie to bawi... —

Jean - Pierre ustąpił teściowej. Pani Levaille była to kobieta znająca się na interesach, znana i poważana w promieniu conajmniej mil piętnastu. Przysadzista i gruba kręciła się po okolicy piechotą lub na wózku którego ze znajomych, w ciągłym ruchu pomimo swych pięćdziesięciu ośmiu lat, w nieustającym pościgu za interesami. Miała domy we wszystkich wsiach, eksploatowała łomy granitu, wysyłała ładunki kamienia statkami kursującymi wzdłuż wybrzeża—handlowała nawet z wospami na Kanale. Twarz

miała pełną, oczy szeroko rozstawione, wymowę przekonywującą: rozumowała ze statecznym i niezwalczonym uporem starej kobiety, która wie, czego chce. Rzadko kiedy przespala dwie noce z rzędu w tym samym domu, a najlepszym źródłem wiadomości o niej były karczmy przydrożne. Albo tylko co tu była, albo wstąpi o szóstej; albo ktoś nowoprzybyły widział się z nią tego ranka, lub miał spotkać się z nią wieczorem. Poza karczmami, co królują na drogach, najczęściej odwiedzała kościoły. Liberałowie posyłali dzieci do świętych przybytków, aby sprawdziły, czy pani Leveille jest i zawiadomiły ją, że taki a taki czeka na nią na drodze i chce rozmówić się z nią — o kartoflach, mące, kamieniu lub domach; ona wówczas skracała modlitwy i, wychodząc na słońce, mrużyła oczy i żegnała się, gotowa do roztrząsania interesów z rozważą i namysłem przy stole w karczmie, stojącej naprzeciwko. W ostatnich czasach spędzała u zięcia po parę dni, łagodnie i ze spokojem wytaczając argumenty przeciw trosce i nieszczęściu. Jean - Pierre czuł, że nie argumenty a fakty wydzierają mu z piersi przekonania, któremi nasiąkł w pułku. Rozmyślał nad nimi, chodząc po polu. Było ich troje! Troje! Wszystkie jednakie. Dlaczego? Nie wszystkich spotykały takie nieszczęścia, a ludziom, o których słyszał kiedykolwiek, nie wydarzyły się nigdy. Jedno — jeszcze ujdzie. Ale troje? Wszyscy trzej. Na zawsze do niczego, tylko do karmienia, póki on żyje... A co się stanie z nimi po jego śmierci? Trzeba o tem pomyśleć. Poświęci swoje przekonania. Pewnego dnia odezwał się do żony: —

— Zobaczymy, co twój Bóg dla nas zrobi. Zakup kilka mszy. —

Zuzanna uściskała męża. Stał wyprostowany, nie przygiął się, a potem obrócił się na pięcie i wyszedł. Później jednak, gdy czarna sutanna przestąpiła jego

próg, nie zaprotestował, sam nawet poczęstował księdza cydrem. Potulnie wysłuchał przemowy, poszedł na mszę pomiędzy dwiema kobietami i spełnił na Wielkanoc to, co ksiądz nazywał „obowiązkiem religijnym”.

Tego ranka miał uczucie człowieka, który sprzedał swoją duszę. Po południu pobił się straszliwie z dawnym przyjacielem i sąsiadem, który odezwał się, że księży górą i zjedzą teraz zjadacza księży. Wrócił do domu rozczochrany i pokrwawiony i, natknąwszy się przypadkiem na dzieci (zwykle usuwano je z drogi), wymyślał i klął, tłukąc pięściami w stół. Pani Leveille siedziała niewzruszenie pogodna. Zapewniła córkę, że to minie, i, zabrawszy gruby parasol, pożegnała się pospiesznie, aby dopilnować ładowania skunera granitem z własnych łomów.

Jakoś w rok później urodziła się dziewczynka. Dziewczynka. Jean - Pierre dowiedział się o tem na polu i tak poruszyła go ta wiadomość, że usiadł na murku granicznym i przesiedział tak do wieczora, zamiast pójść do domu chociaż go wołano. Dziewczyzna! Zdawało mu się, że go ktoś oszukał. Po powrocie do domu pogodził się jednak w części z losem. Można ją będzie wydać za jakiego porządnego człowieka, nie za niedołęgę, lecz chłopca z głową i dobrymi garściami. No, a następny może będzie chłopak. Naturalnie ci będą normalni. Nowa ufność jego nie znała żadnych zwątpień. Zły urok prysnął. Do żony przemówił wesoło. Ona także była pełna nadziei. Trzech księży było na chrzcinach, a pani Leveille była chrzestną. Okazało się, że dziewczynka była także idjotką.

Wówczas na jarmarkach zaczęto widywać Jean-Pierre'a targującego się do upadłego kłótliwie i chciwie, potem pijanego na umór, a milczącego ponuro, a potem powracającego cwałem jak na wesele, ale

z twarzą posępną, jak na pogrzebie. Czasem nalegał, aby żona mu towarzyszyła. Wyjeżdżali wczesnym rankiem, trzęsąc się na wąskim siedzeniu nad bezradną świnią, która ze związanymi nogami kwiczała melancholijnie za każdym wstrząśnieniem. Rano droga odbywała się w milczeniu, ale wieczorem, wracając do domu, Jean - Pierre pijany mamrotał szkaradnie i wymyślał tej przeklętej babie, która nie umiała rodzić dzieci po ludzku. Zuzanna, utrzymując równowagę w trzęsącym wózku, udawała, że nie słyszy. Raz, kiedy przejeżdżali przez Ploumar, Jean - Pierre, powodowany niewytłumaczonym pijackim impulsem, ściągnął raptownie konia i stanął przed kościołem. Księżyc płynął wśród lekkich białych obłoków. Płyty grobowe połyskiwały blado w ruchomych cieniach, rzucanych przez drzewa cmentarne, nawet wioskowe psy spały. Tylko słowiki czuwały, rozsnuwając czar śpiewu ponad milczeniem grobów. Jean - Pierre grubiańsko zwrócił się do żony. —

— Jak ci się zdaje, co tam jest?

Wskazał batem na wieżę, na której w świetle księżycowem ogromna tarcza zegara jaśniała wysoko, niby blada twarz bez oczu — i, wysiadając ostrożnie, przewrócił się odrazu pod koła. Zerwał się i stopień po stopniu wspiał się do żelaznej bramy cmentarnej. Przyłożył twarz do sztachet i krzyknął bełkotliwie:

-- Hej, wy tam! Wyjdźcie - no! —

— Jean! Wracaj! Wracaj! — błagała żona przyciszonym głosem.

Nie zwracał na nią uwagi i zdawał się trwać w oczekiwaniu. Pieśni słowicze uderzały ze wszystkich stron o wysokie mury kościelne i odbite spływały pomiędzy kamienne krzyże i płaskie szare płyty z wyrytymi słowami nadziei i bólu.

— Hej! Wychodźcie! — krzyknął Jean - Pierre głośno.

Słowiki zamilkły.

— Nikt nie wychodzi? — nie przestawał pytać Jean - Pierre. — Niema nikogo. Łgarstwo tych kruków. Nic innego. Nikogo nigdzie niema. Kpię sobie z tego. Allez! Hop! —

Wstrząsnął bramą z całej siły, a żelazne pręty zabrzczały przeraźliwie, niby łańcuch wleczony po kamiennych stopniach. Jakiś pies w pobliżu szczeknął urywanie. Jean - Pierre wrócił, potykając się i za trzecim zamachem znalazł się na wózku. Zuzanna siedziała bardzo spokojna i cicha. Przemówił do niej z surowością pijanego:

— Widzisz, nikogo niema. Zakpili sobie ze mnie. Malheur! Ktoś mi za to zapłaci. Wyłoję batem pierwszego, którego zobaczę koło domu... po czarnym grzbiecie... Wyłoję. Nie chcę go u siebie... pomaga tylko ścierwnikom ograbiać biedny naród. Jestem mężczyzną... Zobaczymy, czy nie mogę mieć dzieci, jak inni ludzie... poczekaj... Nie wszystkie będą... będą... zobaczymy... —

Z poza palców, któremi zakryła twarz, Zuzanna wybuchnęła okrzykiem:

— Nie mów tak, Jean, nie mów tak, mój mężu!

Palnął ją na odlew wierzchem ręki i zepchnął na dno wózka, gdzie skuliła się załóżnie, podrzucana za każdym szarpnięciem. Puścił konia cwałem i, zwrawszy się na nogi, wywijał batem i potrzasał lejcamy ponad siwym, który rwał galopem, aż mu ciężka uprząż skakała na szerokim zadzie. Wieś okoliczna rozbrzmiała hałaśliwie gniewnem ujadaniem psów zagrodowych, towarzyszącem turkotowi kół na całej drodze. Kilku zapóźnionych przechodniów ledwo zdążyło zejść do rowu. U własnych wrót zawadził o słup i grzmotnął się z wózka głową naprzód. Koń powoli szedł sobie ku drzwiom. Na przeraźliwy krzyk Zuzanny wybiegli parobcy. Myślała, że nie żyje, ale

on tylko usnął tam, gdzie padł i ludzi swych, którzy pospieszyli mu z pomocą, zwymyślał za to, że mu spać przeszkadzają.

Nadeszła jesień. Chmurne niebo zwisło nad czarnymi konturami wzgórz, a opadające liście wirowały pod nagimi drzewami, póki wiatr, westchnąwszy głęboko, nie ułożył ich na spoczynek w zagłębieniach opustoszałych dolin. I od rana do nocy wzrok spotykał wszędzie dokoła czarne obnażone gałęzie, sękaty i powyginane, jakby pokręcone od bólu, kołyszące się smętnie pomiędzy mokremi chmurami a ociekającą ziemią. Strumienie jasne i spokojne podczas lata rzucały się teraz zmaczone i wściekłe na kamienie, zagradzające im drogę do morza z samobójczą furją szaleńca. Od widnokregu do widnokregu szeroka droga, prowadząca ku piaskom, snuła się pomiędzy wzgórzami, połyskując pustymi skręty, niby niespławna rzeka błota.

Jean - Pierre wędrował z pola na pole, ruszając się, jak wysoki czarny cień wśród mżącego deszczu, lub krocząc samotnie po szczytach wyniosłości na tle szarej opony chmur, jakby szedł po krawędzi wszechświata. Patrzył na tę czarną ziemię, niemą a pełną obietnic, na tę tajemniczą ziemię, spełniającą swą życiodajną pracę wśród śmiertelnej ciszy pod zasnutem zgryzotą niebem. I zdało mu się, iż dla człowieka gorzej niż bezdzietnego rodzajna ziemia nie miała żadnych obietnic, że wymykała mu się, urągała mu, chmurzyła się na niego, jak obłoki ponure i rozpędzone nad jego głową. Samotny stał w obliczu swych pól i odczuwał niższość człowieka, który przemija, wobec bryły, która trwa. Miałże zaniechać nadziei, iż będzie miał kiedyś u swego boku syna, któryby spoglądał okiem władcy na odwrócone skiby? Człowieka, któryby myślał tak samo, jak on, czuł tak samo; człowieka, który byłby częścią jego, a jednak pozostał,

aby jak władca mieć pod stopą swą tę ziemię, kiedy on sam odejdzie! Przyszli mu na myśl dalecy krewni i taka wściekłość go zdjęła, że aż zaczął w głos ich przeklinać. Oni! Nigdy! Zawrócił ku domowi, kierując się w stronę swego domostwa, którego dach był widoczny pomiędzy splątanymi szkielecikami drzew. Gdy przekładał nogę przez przełaz, stado kraczących ptaków siadło z wolna na polu, opadło za jego plecami bez szelestu, wibrując jak płatki sadzy.

Tego dnia pani Levaille poszła wcześniej po południu do domu, który miała koło Kervanion. Miała zapłacić kilku robotnikom, pracującym w tamtejszych kamieniołomach, a poszła wcześniej, bo w tym małym domku mieścił się sklep, gdzie robotnicy mogli wydać zarobek bez kłopotu, nie chodząc do miasta. Dom stał samotny, pośród skał. Błotnista i kamienista dróżka kończyła się u drzwi. Wiatr z morza, wyrwawszy się z ponad odmętu fal, wpadał na brzeg nad łomami i miotał się z wściekłym wyciem na niewzruszone zwały czarnych głazów, niezłomnie odpierających straszliwe ataki niewidzialnego wroga na utkwione w nich wysokie krótkoramienne krzyże. Wśród rozhukanych wichrów domostwo stało w ciszy potęgującej głos i denerwującej, jak spokój ośrodka huraganu. W burzliwe noce podczas odpływu, zatoka Fougère o pięćdziesiąt stóp poniżej domu wydawała się niezmierną czarną otchłanią, z której wznosiły się westchnienia i pomruki, jakgdyby piaski na dnie jej ożyły i słały skargi. W czas przypływu powracające wody przypuszczały szturm do zrębów skał, nabiegając krótkimi falami, które wybuchały mdłym światłem i słupami bryzgów, spływających wgłęb ładu i przeżerających do cna trawę na pastwiskach.

Mroki szły ze wzgórz, rozplływały się po wybrzeżu, gasiły czerwony żar zachodu i sunęły ku morzu

w ślad za ustępującą falą. Wiatr ścichł pod zachód, pozostawwszy morze rozszalałe i spustoszone niebios. Niebo ponad domem zdawało się przesłonięte draperją z czarnego łachmana, podpiętą gdzieś ognistemi szpilkami. Pani Leveille, przedziergnięta na ten wieczór w służącą własnych robotników, starała się namówić ich do odejścia. — Taka stara baba, jak ja, powinna być już w łóżku o tej porze, — powtarzała dobrodusznie. Kamieniarze pili i żądali dolewki. Krzyczeli przy stole, jakby nawoływali się w polu. Na jednym rogu czterech grało w karty, stukając o drzewo twardemi knykciami i klnąc przy każdym wyjściu. Jeden siedział zapatrzony bezmyślnie i nucił zwrotkę jakiejś piosenki, którą powtarzał bez końca. Dwu innych w kącie wiodło poufną a zazartą sprzeczkę o kobietę, patrząc sobie zbliska w oczy, jakby pragnęli wydrzeć je sobie nawzajem, kłócąc się świszczącym szeptem, którego przytłumione jadowite dźwięki dyskretnie zapowiadały gwałt i morderstwo. Powietrze duszne i ciężkie krajać było można nożem. Trzy świece, oświetlające długi pokój, tliły się czerwono i posepnie, jak iskry dogasające w popiele.

Lekki szcęk żelaznej klamki był o tej późnej godzinie tak nieoczekiwany i zatrważający jak huk pioruna. Pani Leveille postawiła butelkę, którą trzymała nad kieliszkiem, gracze obrócili głowy, umilkła sprzeczka prowadzona szeptem, tylko śpiewak, rzucawszy okiem na drzwi, nucił dalej z obojętną twarzą. We drzwiach stanęła Zuzanna, weszła, zatrzasnęła je i oparłszy się o nie plecami, wyrzekła cicho: —

— Matko! —

Pani Leveille, ujmując znów butelkę, rzekła spokojnie:—A jesteś, moje dziecko. Jak ty wyglądasz!— Szyjka butelki szcęknęła przy zetknięciu z wrębem kieliszka, bo stara kobieta wystraszyła się i przez

myśl jej przeszło, że zagroda się pali. Nie przyszła jej do głowy żadna inna przyczyna pojawienia się córki.

Zuzanna, przemoknięta i zablocona, powiodła wzrokiem przez całą długość pokoju ku mężczyznom w najdalszym jego końcu. Matka zapytała: —

— Co się stało? Boże, zachowaj nas od nie-szczęścia!

Zuzanna poruszyła wargami, ale żaden dźwięk z nich nie wyszedł. Pani Levaille podeszła do córki, ujęła za ramię, spojrzała jej w twarz.

— Na miłość Boską,—rzekła drżącym głosem,— co się stało? Przewróciłaś się w błoto... Dlaczego przyszłaś?... Gdzie Jean? —

Mężczyźni wstali ze swych miejsc i podchodzili powoli, przypatrując się ze zdziwieniem. Pani Levaille szarpnęła córkę od drzwi i pchnęła ją na krzesło pod ścianą. Potem z wściekłością zwróciła się do mężczyzn.

— Dostyc tego! Wynoście się! Zamykam! —

Jeden z nich, patrząc na Zuzannę, bezwładnie siedzącą na krześle, zauważył: — Ona jest nawpół żywa. —

Pani Levaille rozwarła drzwi.

— Precz! Marsz! — krzyknęła, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Jeden za drugim wsiąkali w ciemność, śmiejąc się głupkowato. Na dworze dwaj Lothariosowie wszczęli wrzawę, pozostali starali się ich uciszyć, mówiąc wszyscy naraz. Hałas oddalał się wraz z odchodzącymi robotnikami, którzy zbici w ciasną gromadę szli, potykając się i sprzecząc bez żadnego sensu.

— Mów, Zuzanno! Co się stało? Powiedz-że! — błagała pani Levaille, jak tylko drzwi się zamknęły.

Zuzanna wyrzekła parę niezrozumiałych wyrazów, bezmyślnie wpatrzona w stół. Stara kobieta za-

łamała ręce nad głową, opuściła je i stała, patrząc na córkę zrozpaczonym wzrokiem. Mąż jej miał „źle w głowie“ na parę lat przed śmiercią, obecnie więc zaczęła podejrzewać, iż córka dostała obłąkania. Zapytała z naleganiem: —

— Czy Jean wie, gdzie jesteś? Gdzie jest Jean?

Zuzanna odparła z wysiłkiem: —

— Wie... nie żyje. —

— Co? — krzyknęła stara. Podeszła bliżej i wlepiwszy wzrok w córkę, powtórzyła trzykrotnie: — Co ty mówisz? Co ty mówisz? Co ty mówisz? —

Zuzanna siedziała z suchemi oczyma w kamiennym bezruchu przed panią Levaille, która przypatrywała się jej, czując, jak zwolna niewytlumaczona trwoża poczyna przesycać milczenie, zalegające do mostwo.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało, tylko czuła, że jedna króciutka chwilka postawiła ją twarzą w twarz z czemś nieoczekiwanem i nieodwołalnym. Nie przyszło jej nawet do głowy żądać wyjaśnień. Myślała: wypadek — straszny wypadek — dostał uderzenia do głowy — spadł przez otwór w strychu... Stała oszołomiona i oniemiała, mrugając staremi oczyma.

Nagle Zuzanna przemówiła. —

— Zabiłam go. —

Przez chwilę matka stała nieruchoma, prawie nie oddychając, lecz z twarzą opanowaną. W następnej sekundzie wybuchnęła krzykiem. —

— Nieszczęśliwa warjatko... łeb ci utną...

Wyobrażała sobie żandarmów, wchodzących do domu i mówiących do niej: — Przychodzimy po córkę pani, proszę ją wydać, — żandarmów z surowemi, twardemi twarzami ludzi obowiązku. Znała dobrze brygadjera — stary przyjaciel, poufały, a pełen szacunku, który rzucał serdeczne: — Za zdrowie pani, —

podnosząc do ust kieliszek koniaku ze specjalnej butelki, chowanej przez nią dla przyjaciół. A teraz!... Traciła głowę. Rzuciła się w jedną stronę, potem w drugą, jakby w poszukiwaniu czegoś niezbędnego— wreszcie stanęła jak wryta pośrodku izby i z krzykiem zwróciła się do córki: —

— Dlaczego? Powiedz! Powiedz! Dlaczego? —

Zuzanna nagle jakby ocknęła się z dziwnej apatji.

— Czy myślisz, że jestem z kamienia? — krzyknęła w odpowiedzi, podchodząc ku matce.

— Nie, to niemożliwe... — rzekła pani Leveille tonem głębokiego przekonania.

— Zobacz sama, matko, — odparła Zuzanna, patrząc na nią gorejącym wzrokiem. — Niema w niebiesiach miłosierdzia — niema sprawiedliwości. Niel... Ja nie wiedziałam... Myślisz, że ja nie mam serca? Myślisz, że nie słyszałam nigdy, jak ludzie drwią sobie ze mnie, litują się nademną, dziwią się? Czy wiesz, jak niektórzy mię nazywali? Matka idjotów — to było moje przezwisko! A moje dzieci nie poznawały mię nigdy, nigdy nie przemówiły do mnie. Nie znały nikogo — ani ludzi ani Boga. Ile ja się namodliłam! Ale nawet Matka Boska nie chciała mię wysłuchać. Matka!... Kto jest przeklęty — ja, czy ten człowiek, który już nie żyje? Co? Powiedz mi. To była moja obrona. Myślisz, że mogłabym wyzywać gniew Boski i mieć dom pełen tych istot — co gorsze są od zwierząt, znających rękę, która je karmi. Kto bluźnił po nocy na samym progu kościoła! Czy to ja?... Ja tylko płakałam i błagałam zmiłowania... a czuję przekleństwo na każdym kroku — widzę je dokoła siebie od rana do nocy. Na moją dolą przypa-dło utrzymywać je przy życiu, opiekować się mem nieszczęściem i hańbą. A on przychodził. Błagałam jego i niebo o litość... Niel... Dobrze, zobaczymy...

Przyszędł dziś wieczorem. Pomyślałam sobie: — Ach! Znów... Miałam długie nożyczki. Usłyszałam jego krzyk... Zobaczyłam go tuż... trzeba — prawda?... Masz!... i wbiłam mu je w gardło ponad obojczykiem... nie westchnął nawet... zostawiłam go stojącego... To się stało przed chwilą. Jak ja tu przyszedłam? —

Pani Levaille zatrzęsa się. Fala lodowata przebiegła jej po krzyżu, wzdłuż tłustych ramion pod obcisłymi rękawami, staruszka aż zatupotała na miejscu, gdzie stała. Drzenie przebiegło po szerokich jej policzkach, przez wąskie wargi, pomiędzy zmarszczkami spokojnych starych oczu. Wyjąkała:

— Ty zła kobieto — hańbę mi przynosisz. Ale zawsze byłaś podobna do ojca. Czy wiesz, co cię czeka... na tamtym świecie? A na tym... O, doło! —

Zrobiło jej się gorąco. Czowała żar we wnętrzu. Załamała spocone dłonie — i nagle, z wielkim pośpiechem gorączkowymi ruchami zaczęła szukać dużej chustki i parasola, nie patrząc wcale na córkę, która, stojąc pośrodku pokoju, wodziła za nią chłodnemi, roztargnionemi oczyma.

— Nic gorszego niż na tym, — przemówiła Zuzanna.

Matka z parasolem w ręce, wlokąc szal po podłodze, jęknęła z głębi serca.

— Muszę iść do księdza — wybuchnęła z pasją. — Nawet nie wiem, czy mówisz prawdę! Jesteś okropna. Znajdą cię wszędzie, czy tu zostaniesz — czy pójdziesz sobie. Niema miejsca dla ciebie na tym świecie. —

Gotowa do odejścia, dreptała teraz bez celu po pokoju, to ustawiając butelki na półce, to próbując drżącemi rękami dopasować pokrywki do tekturowych pudełek. W chwilach, gdy rzeczywiste znaczenie tego, co usłyszała, wyłaniało się na mgnienie

z mgły, mroczącej jej umysł, zdawało się jej, że w mózgu coś wybucha, nie rozsadzając głowy — a jakże to byłaby ulga! Gasiła świece jedną po drugiej, nie wiedząc, co robi, i przeraziła się ciemności. Padła na ławkę i poczęła zawodzić. Umilkła po chwili i siedziała, nasłuchując oddechu córki, którą ledwo dostrzegą, stojącą sztywno i spokojnie i niedającą znaku życia. Postarzała się nagle — nareszcie — w przeciągu tych kilku minut. Przemówiła niepewnym głosem, szcękając zębami, jak w ataku śmiertelnej febry.

— Szkoda, że nie umarłaś dzieckiem. Nie odważę się już nigdy pokazać starej głowy na światło dzienne. Są nieszczęścia gorsze, niż dzieci niespełna rozumu. Wolałabym, żebyś mi się urodziła idjotką, jak twoje...

Zobaczyła postać córki, przesuwaną się na tle mdłej jasności okna. Potem Zuzanna zamajaczyła na sekundę w otwartych drzwiach i drzwi zatrzasnęły się ze szcękaniem. Pani Levaille wybiegła na dwór, jakby dźwięk ten zbudził ją z długiego upiornego snu.

— Zuzanno! — zawołała z progu.

Usłyszała stuk kamienia, staczającego się przez długi czas po pochyłości skalistego wybrzeża ponad piaskami. Ostrożnie postąpiła parę kroków przed siebie, opierając się ręką o ścianę domu i zapuściła wzrok w jednolitą ciemność pustej zatoki. Zawołała powtórnie. —

— Zuzanno! Zabijesz się tam. —

Kamień stuknął przy ostatnim podskoku w ciemności i nic już słyhać nie było. Nagła myśl przyprowadziła panią Levaille o ściśnięcie gardła. Przestała wołać. Odwróciła się od czarnego milczenia przepaści i poczęła wspinać się dróżką w kierunku Ploumar. Potykając się, szła z ponurą determinacją, jakby wyruszyła w jakąś desperacką podróż, która, być może

trwać będzie aż do końca życia. Głuchy, rytmiczny szum fal, przelewających się przez rafy, towarzyszył jej daleko w głąb ładu pomiędzy wysokimi żywoplotami, obejmującemi opiekuńczo posępną samotność pól.

Zuzanna, wybiegłszy, skrzyła natychmiast na lewo od drzwi i na skraju pochyłości przypadła do ziemi poza odłamek skalnym. Jakiś strącony kamień spadł i stukał, staczając się w podskokach. Gdy pani Levaille zawołała, Zuzanna mogła była wyciągniętą ręką dotknąć matczynej spódnicy, gdyby miała odwagę wykonać jakikolwiek ruch. Widziała ją odchodzącą, lecz pozostała bez ruchu, zamknąwszy oczy i przyciskając się bokiem do twardej i chropowatej powierzchni skały. Po chwili znana jej dobrze twarz o nieruchomych oczach i ustach otwartych stanęła przed nią wśród nieprzeniknionych mroków pomiędzy głazami. Powstała z cichym okrzykiem. Twarz zniknęła, pozostawiając ją samotną, dyszącą i rozdygotaną wśród bezładnie rozrzuconych zwałów skalnych. Zaledwie jednak Zuzanna przysiadła znów, aby odpocząć z głową opartą o skałę, twarz powróciła, przysunęła się tuż i zdawało się, że pragnie dokończyć słów przed chwilą przerwanych przez śmierć. Powstała szybko i rzekła: „Odejdź, bo zrobię to samo”. Twarz zawahała się, zakołysała w prawo, w lewo. Kobieta poczęła zmieniać miejsce, cofać się, wyobraziła sobie, że wrzeszczy na zjawę, aż przeraziła się bezgłośniejszą ciszą nocnej. Zachwiała się na jakimś zrębie, a poczuwszy stromą pochyłość pod stopami, puściła się w dół na oślep, ratując się tem od upadku. Zdało się, iż pusta kamienista zbudziła się; kamyki poczęły toczyć się przed Zuzanną, goniły za nią z góry, ścigały się z nią po obu stronach, tocząc się mimo ze wzmożonym hałasem. W ciszy nocnej hałas rósł, wzmagając się do potężnego huku,

jakgdyby cały półokrąg skalistego wybrzeża począł zwałać się w toń. Stopy Zuzanny ledwie dotykały spadzistości, która zdawała się zsuwać wraz z nią. Na dole potknęła się, podała ciałem naprzód, wyrzucając przed siebie ramiona, i runęła całym ciężarem. Zerwała się natychmiast i odwróciła szybko, aby spojrzeć za siebie, ściskając w dłoniach piasek, który zagarnęła przy upadku. Twarz była tam, trzymając się na odległości, widoczna we własnym jaśnieniu, tworząc mdłą plamę w ciemności. Wrzasnęła: — Precz! — z bólem i strachem, zdjęta wściekłością na ten daremny cios, który nie mógł go obezwładnić, usunąć go z przed jej oczu. Czego chciał teraz jeszcze? Umarł. Umarli nie mają dzieci. Czyż nie pozostawi jej nigdy w spokoju? Krzyczała — machała wyciągniętymi rękoma. Zdało się jej, iż poczuła oddech z uchylonych warg i z przeciągłym bezradnym krzykiem poczęła uciekać po płaskim brzegu zatoki.

Biegła lekko, bez wysiłku, nie czując ciężaru własnego ciała. Wysokie ostre złomy skalne, które w czasie przyływu sterczą z błękitnej lśniącej toni, niby smukłe wieżycy zatopionych kościołów, sunęły mimo niej, mknąc ku lądowi zawrotnym pędem. Na lewo w oddali zamajaczyło coś jasnego: duży krąg świetlny, na którym wąskie cienie wirowały dokoła osi, jak szprychy koła. Usłyszała głos wołający: — Hej! Bywaj! — i odpowiedziała nań dzikim krzykiem. Więc mógł wołać jeszcze! Wołał, aby się zatrzymała. Przenigdy!... Puściła się pędem w ciemności, mijając w biegu, gromadę przerażonych zbieraczy wodorostów, skupionych dokoła latarni i obezwładnionych trwogą, którą przeniknął ich krzyk nadprzyrodzony, wydany przez ten umykający cień. Mężczyźni, oparłszy się na widłach, spozierali wystraszonemi oczyma. Jedna z kobiet padła na kolana i, żegnając się, poczęła głośno odmawiać modlitwy. Jakaś dziew-

czynka z podartą spódniczką, pełną oślizgłych wodorostów, szlochając rozpaczliwie, wlokła ociekające brzemie do mężczyzny, który niósł latarnię. Ktoś powiedział: — Pobiegło w stronę morza. — Jakiś inny głos zawołał: — Przyływ! Spójrzcie - no, jak się woda rozlewa. Wy, tam, kobieto, wstawajcie. — Kilka głosów zaczęło krzyżeć naraz. — Chodźmy! Niech sobie ten upiór leci do morza! — Ruszyli, skupieni dokoła latarni. Nagle jeden z mężczyzn zaklął głośno. Pójdzie zobaczyć, co to takiego, bo usłyszał głos kobiecy. Właśnie, że pójdzie. Podniosły się krzykliwe protesty kobiet, lecz wysoka postać oddzieliła się od gromady i ruszyła pędem. Posłano za nim jednogłośnie trwożne wołanie. W odpowiedzi otrzymano drwiący wymysł, rzucony przez ciemności. Jakaś kobieta jęknęła. Jakiś stary człowiek odezwał się z powagą: — Takim rzeczom nie trzeba przeszkadzać. — Zwolnili kroku, człapiąc nogami po piasku i szepcząc pomiędzy sobą, że Millot niczego się nie boi, bo jest niedowiarek, ale to się kiedyś źle skończy.

Zuzanna natknęła się na przyływ koło Kruczej Kępy i stanęła zdyszana ze stopami w wodzie. Słyszała pomruk, czuła chłodną pieśczość morza i spokojniejsza już dostrzegała ponurą bezkształtną masę Kępy z jednej strony, a z drugiej długie białe pasmo piasków Molène, które za każdym odpływem wznoszą się wysoko z suchego dna zatoki Fougère. Obejrzała się poza siebie i ujrzała w oddali na tle ugwieżdżonego nieba poszarpany kontur wybrzeża. Ponad niem, prawie nawprost niej widniała wieża kościoła w Ploumar — smukła wyniosła piramida, czarna i zaostrozona, strzelająca w górę wśród morza rozmigotanych gwiazd. Czuła się dziwnie spokojna. Wiedziała, gdzie się znajduje i zaczęła przypominać sobie, skąd się tu wzięła — i dlaczego. Rozejrzała się w otaczających

ją jednolitych ciemnościach. Była sama. W pobliżu niej nic — żywego ni martwego.

Przyływ nadpełzał spokojnie, wysyłając, jak niecierpliwe ramiona, dziwaczne strumyki, które biegły ku lądowi pomiędzy piaszczystymi grzbietami. Pod osłoną nocy wody rosły z tajemniczą szybkością, podczas gdy wielka fala, daleka jeszcze, grzmiała regularnym rytmem, wzdłuż niewyraźnej linii widnokregu! Zuzanna cofnęła się w bród o kilkanaście stóp, nie mogąc wydostać się z wody, która szemrała pieszczotliwie dokoła, aż nagle z mściwym bulgotem omało nie ścięła jej z nóg. Serce Zuzanny zatrzępotało trwożnie. Za wielką przestrzeń i za pusta, aby w niej umierać. Jutro zrobią z nią, co zechcą, lecz zanim umrze, musi im powiedzieć, — tym czarno ubranym panom, że są rzeczy, których kobieta znieść nie może. Musi wytłumaczyć, jak to się stało... Przebrnęła przez jeden z rozlewów, tak zajęta swą myślą, iż nie czuła, że zamoczyła się do pasa. ...Musiała wytłumaczyć. — Przyszedł, jak zwykle i powiedział tak: — Czy ty myślisz, że mam zamiar zostawić grunt tym z Morbihan, których wcale nie znam? Tak myślisz? Zobaczymy! Pójdź tu, ty nieszczęśliwa istoto! — i wyciągnął ramiona. Wówczas, messieurs, powiedziałam: — Przysięgam na Boga — przynigdy! A on rzekł, podchodząc do mnie z rozwartymi dłońmi: — Niema żadnego Boga, któryby mnie powstrzymał. Rozumiesz, ty bezużyteczna kłodo, zrobię, co będę chciał, — i ujął mnie za ramiona. Wówczas, messieurs, wezwałam Boga na pomoc i w następnej chwili, podczas gdy on mną trząsł, poczułam w ręce długie nożyce. Miał rozpiętą koszulę i w świetle świecy zobaczyłam dołek pod grdyką. Krzyknęłam: — Puść mnie! — Gruchotał mi ramiona — mój mąż był bardzo silny! Pomyślałam: — Nie!... Trzeba?... Masz! — i zadałam cios w gardło. Nie widziałam, żeby upadł. Wcale! Wcale!

Wcale nie widziałam, jak upadł. Stary ojciec nie obrócił nawet głowy.. On jest głuchy i zdiecinniały, proszę panów. Nikt nie widział, jak upadł. Wybiegłam... Nikt nie widział.... —

Przedzierała się pomiędzy głazami na Kruczej Kępie i znalazła się oto bez tchu pośród nieprzeniknionych mroków tej skalistej wysepki. Łączy ją z lądem naturalny pomost z olbrzymich oślizgłych głazów. Zamierzała tą drogą powrócić do domu. Czy stał tam wciąż jeszcze? Do domu! Dom! Czwooro idjotów i trup. Musi wrócić i wytłumaczyć. Każdy zrozumie...

Pod nią morze to, czy noc przemówiła wyraźnie:—
— Aha, widzę cię nareszcie! —

Drgnęła, poślizgnęła się, upadła i nasłuchiwała przerażona, nie próbując nawet powstać. Usłyszała ciężki oddech, stukot drewnianych sabotów. Ucichł teraz.

— Gdzie cię djabli zanieśli — rzekł ochryple niewidzialny mężczyzna.

Wstrzymała oddech. Poznała głos. Nie widziała, jak upadł. Ścigał ją tu umarły, albo może... żywy?

Straciła głowę. Z głębi rozpadliny, w której leżała skulona, krzyknęła: — Nie, nigdy! —

— A, jesteś tu. Ładny spacer kazałaś mi zrobić. Czekaj, ślicznotko, muszę przecie zobaczyć wreszcie, jak wyglądasz. Czekaj - no... —

Milott kiwał się, śmiał, kłął, ot tak po próznicy, z radości poprostu, zadowolony z siebie za tę pogoń w ciemnościach. — Zupełnie jakby kto wierzył w duchy. Dopiero stary afrykański żołnierz musiał pokazać tym półgłówkom w sabotach... Ale to ciekawe. Kto ona jest u licha? —

Zuzanna słuchała skulona. Przyszedł po nią ten nieboszczyk. Niema na niego sposobu. Jakiego hałasu narobił między temi kamieniami... Zobaczyła wy-

chylającą się głowę jego, potem ramiona. Wysoki był — ten jej mąż! To jego długie ręce wymachiwały dokoła, jego własny głos brzmiał trochę nieswojo... z powodu tych nożyczek. Wygramoliła się szybko, skoczyła ku krawędzi grobli i obejrzała się. Mężczyzna stał nieruchomo na wysokim gładzie, odcinając się czarną sylwetką na tle wyiskrzonego nieba.

— Dokąd idziesz — zawołał szorstko.

Odparła:—Do domu!—przypatrując mu się bacznie. Niezgrabnym susem przeskoczył na sąsiedni gład i znów stał, chwając się, wreszcie rzekł:—

— Ha, ha! No to pójdę z tobą. Nic innego mi nie pozostaje. Ha! ha! ha! —

Wlepiła w niego oczy, aż zdało jej się, że stały się niby żarzące węgle, co przepalały jej mózg, a wciąż jeszcze lękała się śmiertelnie, iż rozpozna w tej twarzy dobrze znane jej rysy. Pod nią morze zcicha a nieustannie chlupotało, uderzając o skałę.

Mężczyzna postąpił krok naprzód i rzekł:—

— Przychodzę po ciebie. No co, pójdziesz? —

Zadygotała. Przyszedł po nią. Niema wyjścia, niema ratunku, niema nadziei. Obejrzała się dokoła z rozpaczą. Nagle zamglone wybrzeże, rozrzucone wysepki, niebiosy nawet, zakolysały się przed nią dwukrotnie i wróciły na miejsce. Zamknęła oczy i krzyknęła:—

— Nie możesz poczekać, aż umrę! —

Trzęsła nią wściekła nienawiść dla tej zjawy, ściągającej ją na tym świecie, zjawy, w której śmierć nawet nie zgasiła pragnienia aby mieć spadkobiercę, nie różniącego się od dzieci innych ludzi.

— He! Co? — rzekł Millot, przezornie trzymając się zdaleka. Mówił sobie:—Uważaj! Jakaś warjatka. O wypadek nie trudno. —

Zuzanna krzyczała dalej z wściekłością:—

— Chcę żyć. Żyć przez tydzień — sama — przez dzień jeden. Muszę im wytłumaczyć... Poszarpałabym cię na sztuki, zabiłabym cię raczej dwadzieścia razy raz po raz, niżbym pozwoliła, abyś mię dotknął, pókim żywa. Ileż razy mam cię zabić — ty bluźnierco! Piekło cię tu zesłało, a i mnie czeka potępienie wieczne.—

— Słuchaj, — rzekł Millot zaniepokojony, chcąc ją ułagodzić. — Ja jestem całkiem żywy! ... O mój Boże! —

Wrzasnęła. — Żywy! — i natychmiast zniknęła mu z przed oczu, jakby kępa usunęła się z pod jej stóp. Millot poskoczył i padł, jak długi, zawadzając podbródkiem o krawędź. Głęboko w dole ujrzał wodę zbiełałą od gwałtownych ruchów kobiety i usłyszał jedynej przeraźliwy krzyk: na pomoc! który, zdało się, mknął wzdłuż pionowego lica skały i uleciał wprost w dalekie nieczułe niebiosy.

Pani Leveille siedziała z suchemi oczyma na murawie na pochyłości wzgórza, wyciągnąwszy przed siebie grube nogi o sterczących stopach obutych w czarne sukienne trzewiki. Nieopodal stały jej saboty, a dalej parasol leżał na zeszcłej murawie, jak broń, wytracona z dłoni zwyciężonego wojownika. Margrabia de Chavanes, konno, z ręką w rękawicze wspartą o udo, przyglądał się jej, gdy wstawiała z wysiłkiem i stękaniami. Wąską dróżką, którą zwożono morszczyznę, czterech ludzi niosło na ład zwłoki Zuzanny na noszach, kilku zaś innych obojętnie podążało z tyłu. Pani Leveille powiodła oczyma za orszakiem. — Tak, panie margrabio, — rzekła beznamiętnie swym zwykłym spokojnym głosem starej rozsądnej kobiety. — Są na tej ziemi nieszczęśliwi ludzie. Miałam tylko jedno dziecko. Jedyne! A oni nie chcą pochować mi jej w poświęcanej ziemi!

Łzy nabiegły jej nagle do oczu i spłynęły rześ-
ście po szerokich policzkach. Otuliła się szczelniej
szalem. Margrabia pochylił się lekko z konia i rzekł:—
— To bardzo smutne. Współczuję pani serdecz-
nie. Pomówię z proboszczem; niema najmniejszej
wątpliwości, że była obłąkana i spadła niechcący.
Millot wyraźnie to mówił. Dowidzenia pani. —

Odjechał, myśląc: — Muszę postarać się, żeby
babka została opiekunką z urzędu tych idjotów
i administratorką gospodarstwa. Lepiej to, niż mieć
na karku jednego z tamtych Bacadou, z pewnością
zacieklego republikanina, któryby mi demoralizował
gminę. —

PLACÓWKA POSTĘPU

I

Zarząd stacji handlowej powierzono dwóm białym. Kayerts, naczelnik, był krępy i tłusty; Carlier, jego pomocnik, odznaczał się wysokim wzrostem, wielką głową i bardzo szerokim korpusem, osadzonym na długich, cienkich nogach. Trzecim człowiekiem należącym do zarządu był Murzyn z Sierra Leone, który utrzymywał, że jego nazwisko brzmi Henry Price. Atoli — z tej lub owej przyczyny — krajowcy z nad dolnej rzeki nazywali go Makolą, a imię to przyłgnęło do niego w ciągu wszystkich wędrówek po okolicy. Mówił po angielsku i po francusku ze świegotliwym akcentem, miał piękny charakter pisma, znał się na prowadzeniu ksiąg i w najskrytszej głębi serca żywił kult dla złych duchów. Żona jego, Murzynka bardzo wielka i bardzo hałaśliwa, pochodziła z Loandy. Troje dzieci tarzało się w słońcu przed drzwiami niskiego domku Makoli, przypominającego szopę.

Milczący, nieprzenikniony Murzyn lekceważył obu białych. Miał nadzór nad małym składem z gliny, pokrytym strzechą z suchych traw, i udawał, że prowadzi dokładny spis paciorków, bawełnianych

tkanin, czerwonych chustek, drutu miedzianego, oraz innych towarów tam złożonych. Oprócz domu Makoli i składu znajdował się na polance stacyjnej tylko jeden większy dom. Zbudowany był porządnie z trzciny i miał z czterech stron werandę. Składał się z trzech pokoi. Środkowy służył za salon; stały tam dwa proste stoły i kilka krzeseł. W dwóch pozostałych były sypialnie białych. Łóżko z siatką od moskitów służyło w każdej z nich za całe umeblowanie. Podłoga z desek usłana była przedmiotami używanymi przez białych; leżały tam otwarte puszki nawpół opróżnione, podarte odzienie, stare obuwie; wszelkie rzeczy brudne i wszelkie rzeczy połamane, które gromadzą się tajemniczo naokoło nieporządnym ludzi. Było tam jeszcze jedno mieszkanie niedaleko od zabudowań. W tem mieszkaniu, pod wysokim krzyżem, odchylonym znacznie od pozycji prostopadłej, spoczywał człowiek, który patrzył na początki tego wszystkiego; który zaprojektował placówkę postępu i kierował jej budową. W ojczyźnie swojej był chybionym malarzem; zmęczony się pościgiem za sławą—i to pościgiem o pustym żołądku—przybył tutaj, poparty wysokimi protekcjami. Był pierwszym dyrektorem stacji. Makola pielęgnował w chorobie dzielnego artystę, który umarł na febrę w świeżo ukończonym domu. Murzyn odniósł się do tego faktu ze zwykłą sobie obojętnością, wyrażającą się w zdaniu: „Wiedziałem, że tak będzie”. Po śmierci malarza mieszkał czas jakiś na stacji sam ze swoją rodziną, księgami rachunkowymi i Złym Duchem, który sprawuje rządy w krajach leżących pod równikiem. Makola umiał doskonale radzić sobie ze swoim bogiem. Może przebłagał go obietnicą, że zczasem dostarczy mu do zabawy więcej białych ludzi. W każdym razie dyrektor Wielkiej Spółki Handlowej, który zjawił się na parowcu przypominającym olbrzymie

pudełko od sardynek z umieszczoną na wierzchu szopą o płaskim dachu—otóż dyrektor ów znalazł stację w porządku, a Makolę pracującego, jak zwykle, z pilnością i spokojem. Dyrektor kazał postawić krzyż na grobie pierwszego agenta i nazaczył Kayerts na jego miejsce. Carlier został mianowany zastępcą. Dyrektor był człowiekiem zręcznym i bezwzględny; pozwalał sobie niekiedy — ale bardzo dyskretnie — na ponure żarty. Wygłosił mowę do Kayerts i Carliera, uwydatniając korzystne położenie stacji. Najbliższy punkt handlowy oddalony był mniej więcej o trzysta mil. To wyjątkowa wprost okazja, aby się odznaczyć i mieć znaczny dochód z procentu od obrotów handlowych. Osadzenie obu agentów na tem stanowisku przedstawił jako łaskę wyświadczoną początkującym urzędnikom. Kayerts wzruszył się prawie do łez dobrocią dyrektora. Zaznaczył w odpowiedzi, że będzie usiłował uzasadnić swoim postępowaniem położoną w nim ufność, i t. d. i t. d. Kayerts służył przedtem w administracji telegrafów i umiał poprawnie się wyrażać. Carlier, były podoficer kawaleryjski w armji, której bezpieczeństwo gwarantowało kilka mocarstw europejskich, przejął się znacznie mniej mową dyrektora. „Jeśli możemy liczyć na prowizję, to wcale nieźle” — pomyślał. Objął chmurnem spojrzeniem rzekę, lasy i nieprzenikniony gąszcz, odcinający stację od pozostałego świata — i mruknął pod nosem: „Zobaczymy”.

Nazajutrz parowiec podobny do pudełka od sardynek wyrzucił na brzeg kilka pak z bawełnianemi towarami i zapasem żywności, poczem odpłynął, aby wrócić znów za pół roku. Stojący na pokładzie dyrektor podniósł rękę do czapki w odpowiedzi na ukłony obu agentów — którzy stali na wybrzeżu powiewając kapeluszami — i rzekł do starego urzędnika Spółki, udającego się do głównej kwatery:

— Popatrzo pan na tych dwóch głupców. Chyba powarjowali tam w kraju, żeby przysłać mi takie okazy. Powiedziałem im, że mają założyć ogród warzywny, wybudować nowe składy, płoty i molo. Założę się, że nic z tego nie będzie zrobione. Nie potrafią nawet zabrać się do roboty. Byłem zawsze zdania, że stacja nad tą rzeką jest zupełnie bezużyteczna, a oni obaj świetnie do tej stacji pasują.

— Wyrobią się — rzekł stary wyga ze spokojnym uśmiechem.

— W każdym razie pozbyłem się ich na sześć miesięcy — odparł dyrektor.

Obaj ajenci ścigali wzrokiem parowiec, póki nie znikł za zakrętem, poczem, wzięwszy się pod ramię, wdrapali się na stromy brzeg i wrócili na stację. Przebywali od niedawna w tym kraju rozległym i niezbadanym, znajdując się ciągle wśród białych, pod okiem i przewodnictwem zwierzchników. A teraz—mimo tępoty swych dusz, nie ulegających łatwo subtelnym wpływom otoczenia — poczuli się bardzo samotni, znalazłszy się nagle w bezpośrednim zetknięciu z dziczą; z dziczą, która wydawała się jeszcze dziwniejszą i bardziej niezrozumiałą wskutek tajemniczych przejawów bujnego życia. Kayerts i Carlier byli okazami ludzi idealnie bezbarwnych i niedołącznych; istnienie ich umożliwiał tylko wysoki poziom organizacji właściwej cywilizowanym tłumom. Niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że ich życie, istota ich charakteru, zdolności ich i zuchwalstwa wpływają tylko z ich wiary w bezpieczeństwo danego otoczenia. Odwaga, spokój, zaufanie; wzruszenia i zasady; wszystkie wielkie i wszystkie błahe myśli należą nie do jednostki, a do tłumy: do tłumy, który wierzy ślepo w niewzruszoną siłę swych instytucyj i swej moralności, w potęgę swej policji i swej opinji. Ale zetknięcie się z nagą, nieokiełznaną dziczą,

z pierwotną naturą i pierwotnym człowiekiem, wzbudza w sercu nagły i głęboki niepokój. Poczucie, że się jest jednym jedynym ze swej rasy; jasne uświadomienie sobie samotności swoich myśli, swoich uczuć; zaprzeczenie tego wszystkiego co jest zwykłe, co jest pewne — łączy się ze stwierdzeniem niezwykłości, która jest groźna, z odczuciem rzeczy niewyraźnych, nieuchwytnych i wstrętnych, których niepokojące wtargnięcie podnieca wyobraźnię i wstrząsa nerwami zarówno głupich jak i mądrych ludzi.

Kayerts i Carlier szli, trzymając się pod rękę i tuląc się do siebie jak dzieci w ciemnościach — i obaj mieli jednakowe, nawet niekoniecznie przykre odczucie niebezpieczeństwa, które uważa się raczej za wytwór wyobraźni. Gawędzili poufale bezustanku. „Nasza stacja ładnie jest położona” — odezwał się jeden. Drugi potwierdził to z zapalem, rozwodząc się obszernie nad pięknnością okolicy. Przechodzili właśnie obok grobu:

— Biedaczysko! — odezwał się Kayerts.

— Umarł na febrę, prawda? — mruknął Carlier i przystanął.

— Jakże nie miał umrzeć — odparł Kayerts z oburzeniem — mówiono mi, że włóczył się lekko-myślnie po słońcu. Każdy przyzna, że tutejszy klimat wcale nie jest gorszy od naszego, tylko trzeba wystrzegać się słońca. Słyszysz, Carlier? Ja jestem tutaj panem i rozkazuję ci, abyś nie włóczył się po słońcu!

Przybrał żartobliwy ton zwierchnika, ale w gruncie rzeczy mówił poważnie. Myśl, że mógłby pochować Carliera i pozostać samotnym, przejmowała go dreszczem. Poczuł nagle, że ten Carlier bliższy mu jest tutaj, w środku Afryki, niż rodzony brat w innych okolicznościach. Carlier, wpadając w ten sam ton, zasalutował i odparł rześko:

— Rozkaz pana będzie wykonany, panie naczelniku! — Tu roześmiał się, poklepał Kayertsza po ramieniu i zawołał: — Dobrze się nam będzie działo! Mamy tylko siedzieć na miejscu i zbierać kość słoniową, którą te dzikusy będą nam przynosiły. W gruncie rzeczy ten kraj ma swoje dobre strony!

Wybuchnęli obaj głośnym śmiechem, a Carlier pomyślał:

— Biedny ten Kayerts; taki jest tłusty i wcale nie ma zdrowia. Toby było straszne, gdybym go musiał tu pochować. Mam dla niego dużo szacunku... — Nim jeszcze znaleźli się na werandzie, mówili jeden do drugiego „mój kochany”.

Pierwszego dnia bardzo byli czynni; kręcili się po całym domu z młotkami, gwoźdźmi i czerwonym perkalem, zawieszając firanki i wogóle usiłując nadać domowi wygląd miły i przytulny; postanowili urządzić sobie wygodnie nowe życie. Ale zadanie to było ponad ich siły. Skuteczna walka z trudnościami nawet czysto materialnej natury wymaga więcej pogody ducha i wzniosłej odwagi, aniżeli ludzie naogół przypuszczają. Niepodobna było wyobrazić sobie osobników gorzej do takiej walki przygotowanych. Społeczeństwo, które wzięło pod opiekę tych dwóch ludzi — bynajmniej nie przez troskliwość, lecz skutkiem swoich osobliwych potrzeb — zakazało im wszelkiej niezależnej myśli, wszelkiej inicjatywy, wszelkiego odchylenia się od rutyny; i to zakazało pod karą śmierci. Mogli żyć tylko pod warunkiem, że staną się automatami. A teraz — uwolnieni od opieki ludzi z piórem zatkniętem za ucho, czy też ludzi z galonem na rękawie, byli jak ci dożywotni więźniowie, oswobodzeni po wielu latach, którzy nie wiedzą co zrobić z wolnością. Nie wiedzieli, jaki użytek zrobić ze swoich uzdolnień, ponieważ obaj — dla braku wprawy — nie umieli powziąć ani jednej niezależnej myśli.

Po upływie dwóch miesięcy Kayerts odzywał się często: „Nie zobaczylibyście mnie tu nigdy, gdyby nie moja Melie”. Melie była to jego córka. Chcąc zarobić na posag dla dziewczyny, rzucił posadę w administracji telegrafów, choć przez siedemnaście lat czuł się tam idealnie szczęśliwy. Żonę stracił już dawno, a wychowaniem dziecka zajmowały się jego siostry. Żałował ulic rodzinnego miasta, bruków, kawiarni, wieloletnich swoich przyjaciół; wszystkich rzeczy, na które patrzył dzień po dniu; wszystkich myśli nasuwanych przez znane przedmioty — łatwych, jednostajnych i spokojnych myśli państwowego urzędnika; żałował plotek, małostkowych zdrażnień, łagodnego jadu i kawałów, które składają się na atmosferę biur rządowych. Carlier oświadczał ze swojej strony: „Gdybym miał za szwagra człowieka porządnego, człowieka z sercem — nigdybym się tu nie był znalazł”. Carlier porzucił służbę w wojsku i tak się naprzykrzył rodzinie przez lenistwo i natrętą bezczelność, że szwagier jego, doprowadzony do ostateczności, uczynił nadludzkie wysiłki, aby umieścić go w Spółce jako drugorzędnego ajenta. Nie posiadając ani jednego pensa, Carlier musiał zgodzić się na tę posadę z chwilą, gdy zrozumiał jasno, że niczego więcej nie zdoła wycisnąć z krewnych. Podobnie jak i Kayerts żałował dawnego życia. Żałował podzwieku szabli i ostróg, spacerów w piękne popołudnie, koszarowych dowcipów, dziewcząt z miast gdzie stali garnizonem; ale poza tem wszystkim żywił jeszcze żal do świata. Był najoczywistej ofiarą krzywd i niesprawiedliwości. Z tego powodu zasępiął się czasem. Lecz obaj mężczyźni harmonizowali ze sobą doskonale, złączeni wspólną głupotą i lenistwem. Nie robili nic, ale to nic dosłownie, i rozkoszowali się swoją beczynnością, za którą im płacono. Z czasem rozwinęło się w nich obu coś nakształt wzajemnego przywiązania.

Żyli niby ślepcy w wielkim pokoju, zdając sobie sprawę tylko z rzeczy, z którymi się stykali (a i to niedokładnie) — lecz niezdolni byli absolutnie do ogarnięcia całokształtu zjawisk. Rzeka, las i rozległy kraj tętniący życiem, wszystko to przedstawiało dla nich wielką pustkę. Nawet jaskrawy blask słońca nie rozświetlał im niepojętych zjawisk, które przesuwały się przed ich oczami bez żadnego związku ani też celu. Rzeka zdawała się wypływać znikąd i nigdzie nie dążyć. Płynęła przez próżnię. Z tej próżni wyłaniały się niekiedy łódki i ludzie z włóczniami pcjawali się tłumnie na dziedzińcu stacji. Byli nadzy, połyskliwie czarni i zbudowani nieskazitelnie, zdobity ich śnieżne muszle i błyskotki z miedzianego drutu. Głosy ich zlewały się w gwar dziwaczny i świegotliwy, ruchy mieli dostojne, a oczy ich — zalęknione i nie znajdujące spoczynku — rzucały szybkie, dzikie spojrzenia. Siedzieli na piętach przed werandą w pięć albo i więcej długich rzędów, podczas gdy ich wodzowie targowali się godzinami z Makolą o kiel słońca. Kayerts siedział na krześle i spoglądał zgóry na te poczynania, nic zgoła nie rozumiejąc. Wytrzeszczał na nich okrągłe niebieskie oczy i wołał do Carliera:

— Popatrzno — o tam! widzisz tego draba i tego drugiego, z lewej strony. Widziałeś ty kiedy taką twarz? Ach, cóż to za śmieszna bestja!

Carlier, pykając z krótkiej drewnianej fajki, napchanej krajowym tytuniem, zbliżał się zawadżającym krokiem, podkręcał węża i ogarniał wojowników spojrzeniem wyniosłym a pobłażliwym.

— Piękne zwierzęta — oświadczał. — Przynieśli trochę gnatów, co? Nie można powiedzieć, aby przyszli nie w porę. Popatrzno na muskuły tego draba — trzeciego z rzędu. Nie miałbym ochoty dostać od niego pięścią w nos. Ramiona ma piękne, ale nogi od

kolan — do niczego. To żaden materiał na kawalerzystów. — I spoglądał przychylnie na własne pi-szczele, konkludując niezmiennie: — Brrr, jak oni śmierdzą! Ty, Makola, zabierz to stado do fetysza (na każdej stacji nazywano skład fetyszem, może ze względu na duch cywilizacji w składzie zawarty) i daj im trochę tego śmiecia, które tam trzymasz. Wolałbym, żeby skład był pełen kości słoniowej niż gałąńców.

Kayerts przytakiwał.

— Tak, tak! Idź tam i skończ tę gadaninę, panie Makola. Jak się porozumiecie, przyjdę, żeby zważyć kieł. Musimy być dokładni. — Potem zwracał się do kolegi. — To jest plemię, które mieszka tam w dole rzeki; trzeba przyznać, że są aromatyczni. Pamiętam, że już tu raz byli. Słyszysz ten wrzask? Czego to człowiek nie wycierpi w tym psim kraju! Głowa mi pęka.

Takie korzystne wizyty zdarzały się rzadko. Dzień za dniem obaj pionierzy handlu i postępu spoglądali na pusty dziedziniec, zalany drgającym blaskiem prostopadłych promieni. Pod wysokim brzegiem cicha rzeka płynęła spokojnie, mieniając się iskrami. W środku łożyska na piaszczystej mieliźnie hipopotamy i aligatory leżały obok siebie i wygrzewały się w słońcu. A naokół drobnej polanki, otaczającej handlową stację, nieobjęte lasy ciągnęły się na wszystkie strony i kryły nieuchronne powikłania fantastycznego życia, spoczywając w wymownem milczeniu i majestacie. Dwaj mężczyźni nic nie rozumieli i nie troszczyli się o nic, pochłonięci liczeniem dni, które dzieliły ich od powrotu parowca. Poprzednik ich zostawił trochę podartych książek. Zaznajomili się z temi szczątkami powieści i—ponieważ nigdy przedtem nic podobnego nie czytali — zdumiało ich to i rozerwało. Potem w ciągu długich dni prowadzili

nieskończone i głupie dyskusje o intrygach i osobach. W środku Afryki zaznajomili się z kardynałem Richelieu i d'Artagnanem, z Jastrzębiem Okiem i Ojcem Goriot — i z wielu innymi osobistościami. Wszystkie te urojone postaci stały się przedmiotem plotek, niby żywi znajomi. Oceniali ich cnoty, podejrzewali ich intencje, sławili ich powodzenia; gorszyli się obłudą bohaterów lub wątpili o ich odwadze. Opisy zbrodni napełniały oburzeniem obu czytelników, natomiast czułe lub patetyczne ustępy wzruszały ich głęboko. Carlier odchrząkiwał i mówił z żołnierską: „Co za brednie!” Okrągłe oczy Kayerts pełne były łez, a tłuste jego policzki drgały, gdy oświadczał, pocierając łysinę: „To wspaniała książka. Nie miałem pojęcia, że są na świecie tacy zdolni ludzie”.

Znaleźli także kilka starych numerów gazety wydawanej w kraju. Ów dziennik omawiał w pompatycznych okresach to, co podobało mu się nazwać „naszą Ekspansją Kolonialną”. Rozprowiał szeroko o prawach i obowiązkach cywilizacji, o świętem posłannictwie pracy cywilizacyjnej i wynosił pod niebiosą zasługi tych, którzy krzewią światło, i wiarę, i handel w ciemnych zakątkach ziemi. Carlier i Kayerts czytali, dziwili się i stopniowo nabierali o sobie coraz lepszego pojęcia. Carlier rzekł pewnego wieczoru — zakreślając szeroki łuk ręką:

— Za sto lat będzie tu może miasto. Bulwary, i składy, i koszary, i — i — sale bilardowe. Cywilizacja, mój chłopcze, i cnota—i wszystko. A wówczas dzieciaki będą wyczytywały, że dwóch zacnych ludzi, Kayerts i Carlier, byli pierwszymi białymi ludźmi, którzy osiedli na tem miejscu!

Kayerts przytakiwał:

— Tak, ta myśl bardzo jest krzepiąca.

Zdawali się zapominać o swym umarłym poprzedniku; ale raz wczesnym rankiem Carlier wszedł i umocnił krzyż na grobie.

— Dostawałem zeza, ile razy tamtędy przechodziłem — tłumaczył Kayertsowi, popijając ranną kawę. — Taki ten krzyż był pochylony, że dosłownie bez zeza nie mogłem na niego patrzeć. No więc ustawiłem go prosto. A jak mocno teraz stoi — no, mówię ci! Zawiesiłem się obiema rękami na poprzecznym drewnie. Ani drgnął. Porządnie to zrobiłem.

Czasami odwiedzał ich Gobila. Był to naczelnik sąsiednich wiosek, siwowłosa dzikus, chudy i czarny; nosił wokoło bioder przepaskę z białego płótna i sparszywiałą skórę pantery na plecach. Zbliżał się, stawiając długie kroki kościstymi nogami i podpierając się laską równie jak i on wysoką; wszedłszy do pokoju, który był wspólną własnością Kayerts'a i Carliera, przykucał na piętach na lewo od drzwi. Siedział tam, śledząc pilnie ruchy Kayerts'a i od czasu do czasu wygłaszał mowę, z której tamten nic nie rozumiał. Kayerts, nie przerywając sobie zajęcia, odzywał się niekiedy przyjaznym tonem: „Jakże się miewasz, stary bałwanie?” przyczem uśmiechali się do siebie. Obaj biali mieli słabość do tego starego i niezrozumiałego stworu i nazywali go ojcem Gobila. Zachowanie się Gobili cechowała istotnie ojcowska życzliwość; wyglądało na to, że kocha naprawdę wszystkich białych ludzi. Wydawali mu się wszyscy bardzo młodzi i niemożliwi do rozróżnienia (chyba według wzrostu); wiedział, że wszyscy są braćmi i że nigdy nie umierają. Śmierć artysty, który był pierwszym białym, jakiego Gobila znał bliżej, nie naruszyła wcale tej wiary, ponieważ Gobila święcie był przekonany, że biały cudzoziemiec udał tylko śmierć i kazał się pochować dla tajemniczych swoich celów, których zgłębianie nanicby się nie

przydało. Może powrócił w ten sposób do swojego kraju? W każdym razie ci dwaj biali byli napewno braćmi zmarłego — i Gobila przeniósł na nich nie-dorzeczną swoją miłość. Odwzajemniali mu się do pewnego stopnia. Carlier klepał go po plecach i, nie bacząc na oszczędność, zapalał zapalki dla jego rozrywki. Kayerts zawsze był gotów dać mu do powąchania butelkę z amoniakiem. Jednym słowem zachowywali się zupełnie tak samo jak tamta biała istota, która ukryła się w ziemi. Gobila przyglądał im się uważnie. Może byli obaj tamtą istotą — a może tylko jeden z nich? Nie umiał tego rozstrzygnąć i wyjaśnić tajemnicy, ale czuł dla nich zawsze niezmienną życzliwość. Naskutek tej przyjaźni kobiety ze wsi okolicznych szły co rano gęsiego przez trzciniastą trawę, przynosząc na stację drób, i słodkie kartofle, i wino palmowe, a czasem i kozła. Spółka nigdy swoich stacyj dostatecznie nie zaopatrywała, i ajenci potrzebowali miejscowych produktów, aby się wyżywić. Dostawali je z powodu życzliwości Gobili i dobrze im się działo. Od czasu do czasu jeden z nich przechodził paroksyzm febry; drugi pielęgnował go wówczas ze szlachetnem oddaniem. Niewiele robili sobie z choroby. Febra pozostawiała osłabienie i po każdym ataku wyglądali znacznie gorzej. Carlierowi zapadły się oczy; irytował się o lada drobnostkę. Twarz Kayertsa mizerna była i obwisła, co w połączeniu z okrągłością jego brzucha wyglądało bardzo dziwnie. Ale przebywając wciąż razem, nie spozstrzegali zmian, jakie zachodziły w ich wyglądzie, a także i w usposobieniu.

Minęło tak pięć miesięcy.

Gdy pewnego ranka Kayerts i Carlier, wyciągnięci w fotelach na werandzie, mówili o zbliżających się odwiedzinach parowca, grupa zbrojnych ludzi wyszła z lasu i zbliżyła się do stacji. Byli to obcy

Murzyni z innej części kraju. Wysocy, smukli, spowici od stóp do głów w niebieskie płótno z frendzlami, ułożone w klasyczne fałdy, uzbrojeni byli w rusznice zawieszane na obnażonem prawem ramieniu. Makola ujawnił podniecenie i wybiegł ze składu (gdzie spędzał całe dni) na spotkanie gości. Wszli na dziedziniec i spoglądali wokoło spokojnym, pogardliwym wzrokiem. Ich wódz — potężny Murzyn o zdecydowanym wyglądzie i oczach krwią nabiegłych, stanął przed werandą i wygłosił długą mowę. Wymachiwał przytem rękami i skończył niespodzianie.

W jego intonacji i brzmieniu długich okresów dźwięczało coś, co zatrwożyło obu białych. Było to niby odbicie czegoś niekoniecznie znanego, choć przywodziło na myśl przemowy ludzi cywilizowanych. Mowa Murzyna brzmiała jak jeden z tych niesamowitych języków, jakie czasem we śnie słyszymy.

— Cóż to za szwargot? — rzekł zdumiony Carlier. — W pierwszej chwili wydało mi się, że ten drab mówi po francusku. W każdym razie to zupełnie inny żargon niż wszystkie, któreśmy słyszeli.

— Tak — odparł Kayerts. — Ty, Makola, co on mówi? Skąd przychodzą? Co to za jedni?

Ale Makola, który stał jak na rozżarzonych węglach, odrzekł śpiesznie:

— Nie wiem. Przychodzą z bardzo daleka. Może pani Price ich zrozumie. To są może źli ludzie.

Wódz, poczekawszy chwilę, rzekł coś ostro do Makoli, który potrząsnął głową. Obcy rozejrzał się wokoło, zauważył szopę Makoli i ruszył ku niej. W następnej chwili usłyszano głos pani Makola, przemawiającej z wielką płynnością. Pozostali goście — było ich wszystkich sześciu — wałęsali się bezceremonjalnie po dziedzińcu, wtykali głowy przez

drzwi składu, obstąpili grób, wskazując znacząco na krzyż i wogóle czuli się jak w domu.

— Nie podobają mi się te dranie i — wiesz co, Kayerts — oni muszą pochodzić z wybrzeża; mają broń palną— zauważył sprytny Carlier.

Kayertsowi te dranie nie podobały się również. Obaj zdali sobie sprawę po raz pierwszy, że w okolicznościach, w których się znaleźli, niezwykłość może być niebezpieczna i poza nimi dwoma niema na ziemi żadnej siły, która mogłaby odgrodzić ich od tej niezwykłości. Weszli do domu zaniepokojeni i nabili rewolwery. Kayerts rzekł:

— Musimy powiedzieć Makoli, żeby kazał im pójść precz nim się ściemni.

Obcy ludzie odeszli popołudniu, zjadłszy posiłek przygotowany przez panią Makola. Olbrzymia kobieta bardzo była podniecona i dużo z gośćmi rozmawiała. Terkotała ostrym głosem, pokazując tu i tam na lasy i rzekę. Makola siedział nauboczu i śledził rozmowę. Niekiedy wstawał i szeptał coś żonie do ucha. Odprowadził obcych aż poza wąwóz, leżący od tyłu na granicy gruntów stacyjnych, i powrócił wolnym krokiem, pograżony w głębokiej zadumie. Gdy biali zwrócili się do niego z pytaniami, zachował się bardzo dziwnie; zdawało się, że nic nie rozumie, że zapomniał po francusku, że wogóle zapomniał mówić. Kayerts i Carlier zauważyli zgodnie, że Murzyn wypił zanadto palmowego wina.

Była wprawdzie mowa o tem, że trzebaby trzymać kolejno wartę, ale wieczorem wszystko wyglądało tak spokojnie i cicho, że poszli spać jak zwykle. Przez całą noc przeszkadzało im bicie w bębny po wioskach. Gdzieś w pobliżu rozlegał się głęboki, szybki łoskot — odpowiadał mu drugi woddali — i zapadała cisza. Niebawem krótkie pobudki odzywały się znowu tu i tam, zlewały się i rozrastały, po-

teżniejąc w silny i przeciągły warkot, który wypływał z lasu, toczył się w ciemnościach, ciągły i nieustanny, blisko i daleko, jak gdyby cały świat był jednym olbrzymim bębniem, huczącym bez przerwy wezwaniem do niebios. A skroś ten głęboki i potężny hałas, nagłe wrzaski, podobne do śpiewów buchających z domu obłąkanych, przedzierały się w ostrych zgrzytliwych wytryskach, które zdawały się sięgać wysoko nad ziemię, niweczając wszelki spokój pod gwiazdami.

Kayerts i Carlier spali źle tej nocy. Zdawało im się, że słyszą wystrzały, ale nie mogli ustalić w jakim kierunku. Rano nie było Makoli. Wrócił około południa w towarzystwie jednego z wczorajszych przybyszów i wymykał się wciąż Kayertsowi, który ani rusz nie mógł się z nim rozmówić. Kayerts osądził, że Makola prawdopodobnie ogłuchł i bardzo się temu dziwował. Carlier, który łowił ryby na wybrzeżu, wrócił tymczasem i rzekł, pokazując swój połów: „Piekielny dzisiaj rozruch wśród tych Murzynów; ciekaw jestem co się tam dzieje. Z piętnaście łodzi przebyło rzekę podczas tych dwóch godzin, kiedy łowiłem ryby“. Strapiony Kayerts zapytał: „Czy nie dziwnie ten Makola dziś wygląda?“ Carlier doradził: „Trzymaj w kupie wszystkich naszych ludzi, bo nuż się coś wydarzy“.

II

Na stacji było dziesięciu robotników, zostawionych przez dyrektora. Ci ludzie zgodzili się do Spółki na przeciąg sześciu miesięcy (nie mając żadnego wyobrażenia, czym jest miesiąc w szczególności i bardzo słabo zdając sobie sprawę z pojęcia czasu wogóle) — a służyli już sprawie postępu więcej niż dwa lata. Należeli do plemienia osiadłego w bardzo odległej części tej krainy smutku i ciemności i nie mogli uciec, przypuszczając, że tuziemcy zabiliby ich, jako obcych wędrowców—w czym się bynajmniej nie mylili. Mieszkali w słomianych szałasach na stoku wąwozu zarośniętego trzciniastą trawą, tuż za budynkami. Nie czuli się szczęśliwi; żalowali świątecznych obrzędów, czarów i ofiar z ludzi, które były w zwyczaju w ich ojczyźnie, gdzie mieli także rodziców, braci, siostry, wielbionych wodzów, szanowanych czarowników, bliskich przyjaciół oraz inne związki uznane naogół za ludzkie. W dodatku porcje ryżu wydzielane przez Spółkę nie dogadzały im jako pokarm w ich ojczyźnie nieznanym, do którego nie mogli się przyzwyczać. Wynikało stąd, że byli niezdrowi i nieszczęśliwi. Gdyby należeli do innego plemie-

nia, zdecydowali się na śmierć, aby uciec od powikłanych trudności życia, bo dla niektórych dzikich niema nic łatwiejszego od samobójstwa. Ale że należeli do wojowniczego plemienia o spiłowanych zębach, odznaczali się przeto większą odpornością i wlekli ogłupiały żywot wśród chorób i smutku. Pracowali niedołąźnie i stracili swój wspaniały wygląd. Carlier i Kayerts leczyli ich wytrwale, nie mogąc doprowadzić ich do dawnego stanu. Kazali im codzień odbywać musztrę i wyznaczali różne prace: żęcie trawy, budowanie płotów, ścinanie drzew i t. d. i t. d. — do których porządnego wykonania żadna siła ziemiska nie była w stanie ich zmusić. W gruncie rzeczy dwaj biali mieli nad nimi bardzo słaby dozór.

Makola przyszedł popołudniu do dużego domu i zastał Kayertsa śledzącego trzy ciężkie słupy dymu wznoszące się nad lasami.

— Co to takiego? — spytał Kayerts.

— Jakież wioski się palą — odpowiedział Makola, który zdawał się odzyskiwać przytomność. Potem rzekł nagle: — Mamy bardzo mało kości słoniowej; handel źle szedł przez sześć miesięcy. Czy chce pan dostać więcej kości słoniowej?

— Tak — odrzekł skwapliwie Kayerts. Myślał o prowizji, która była mała.

— Ci ludzie, którzy byli tu wczoraj, to kupcy z Loandy; mają bardzo dużo kości słoniowej, więcej niż mogą udźwignąć w drodze do domu. Czy mam od nich kupić? Wiem, gdzie jest ich obóz.

— Naturalnie — rzekł Kayerts. — Kto to są ci kupcy?

— To źli ludzie — odrzekł obojętnie Makola. — Biją się z krajowcami, łapią kobiety i dzieci. To bardzo źli ludzie i mają strzelby. Wielki zamęt jest około. Czy chce pan kupić kości słoniowej?

— Tak — odrzekł Kayerts.

Makola przez chwilę nic nie mówił.

— Ci nasi robotnicy są do niczego — mruknął, rozglądając się wokoło. — Stacja w wielkim nieporządku. Dyrektor będzie się gniewał. Dobrze byłoby dostać piękną porcję kości słoniowej — wtedy dyrektor nic nie powie.

— Cóż na to mogę poradzić? ludzie nie chcą pracować — rzekł Kayerts. — Kiedy dostaniesz tę kość słoniową?

— Bardzo prędko—odparł Makola.—Może dziś w nocy. Niech się pan już na mnie spuści i nie wychodzi wcale z domu. Możeby pan dał naszym ludziom palmowego wina, to urządzą sobie tańce dziś wieczorem. Zabawiają się. Jutro będą lepiej pracować. Dużo jest wina — trochę nawet skwaśniało.

Kayerts zgodził się na to i Makola zaniósł własnoręcznie wielkie tykwy do drzwi swojej szopy. Stały tam do wieczora i pani Makola zaglądała do każdej z nich. Ludzie stacyjni dostali je wieczorem. Wielkie ognisko paliło się przed ich szałasami, gdy Carlier i Kayerts poszli się położyć. Słyszeli okrzyki i bicie w bęben. Kilku ludzi Gobili przyłączyło się do robotników i zabawa szła w najlepsze.

W środku nocy Carlier obudził się nagle i usłyszał jakiś głośny krzyk; potem rozległ się wystrzał. Jeden jedyny wystrzał. Carlier wybiegł i spotkał się na werandzie z Kayertsem. Obaj byli przestraszeni. Gdy szli przez dziedziniec ku szopie Makoli, ujrzeli cienie poruszające się w ciemnościach. Jeden z tych cieni krzyknął: „Nie strzelajcie! To ja, Price” — i Makola pojawił się tuż przy nich. — Wracajcie, panowie, wracajcie — nalegał — zepsujecie wszystko. — Tu są jacyś obcy ludzie — rzekł Carlier. — To nic; wiem o tem — odparł Makola. Potem

szepnął: — Wszystko w porządku. Przynieśli kość słoniową. Nie mówcie nic! Wiem, co robię.

Dwaj biali wrócili niechętnie do domu, ale spać już nie mogli. Słyszeli jakieś kroki, szepty, jęki. Zdało im się, że gromada ludzi weszła na dziedziniec, że ciśnięto na ziemię ciężkie jakieś przedmioty, potem swarżono się długi czas, wreszcie nastąpiła cisza. Kayerts i Carlier leżeli na swoich twardych łóżkach, myśląc: „Ten Makola jest nieoceniony”. Rano Carlier wyszedł z domu bardzo zaspany i pociągnął za sznur wielkiego dzwonu. Służba stacyjna musztrowała się codzień przy dźwiękach dzwonu. Ale tego ranka nikt się nie stawił. Kayerts pojawił się, ziewając, na werandzie. Widzieli, jak Makola wyszedł ze swojej szopy, niosąc cynową miednicę z brudną wodą. Makola, Murzyn cywilizowany, mył się zawsze bardzo porządnie. Wylał z ręcznicę mydliny na nędznego żółtego pieska, który chował się przy jego szopie i, zwróciwszy twarz w stronę domu agentów, krzyknął zdaleka:

— Wszyscy ludzie uciekli dziś w nocy!

Słyszeli go wyraźnie, ale obaj krzyknęli w zdumieniu: „Co takiego?!” Potem przez chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem:

— Wpadliśmy w ładne tarapaty — warknął Carlier.

— To nie do wiary! — mruknął Kayerts.

— Pójdę do szałasów i zobaczę — rzekł Carlier, ruszając z miejsca wielkimi krokami.

Makola zbliżył się i zastał samego Kayerts.

— Nie mogę temu uwierzyć — rzekł płacząco Kayerts. — Pielęgnowaliśmy ich jak własne dzieci!

— Odeszli z ludźmi z wybrzeża — powiedział Makola po chwili namysłu.

— Co mnie to może obchodzić z kim odeszli — niewdzięczne bestje! — wykrzyknął Kayerts. Nagle

błysnęło mu podejrzenie i dodał, patrząc bystro na Makolę:

— A ty co wiesz o tem?

Makola wzruszył ramionami, patrząc w ziemię.

— Co ja wiem? Ja się tylko domyślam. Chce pan obejrzeć kość słoniową — o, tam leży. Coś wspaniałego. Nigdy pan takiej nie widział.

Ruszył w stronę składu. Kayerts szedł za nim machinalnie, rozmyślając o niewiarogodnej ucieczce robotników. Przed drzwiami fetysza leżało na ziemi sześć wspaniałych kłów.

— Co dałeś im za to? — spytał Kayerts, obejrzawszy nabytek z zadowoleniem.

— To nie był zwyczajny handel — odrzekł Makola. — Przynieśli kość słoniową i oddali mi ją. Powiedziałem im, żeby wzięli sobie ze stacji to, czego najbardziej potrzebują. To wspaniała kość. Żadna stacja nie może się pochwalić takimi kłami. Ci kupcy potrzebowali gwałtem tragarzy, a nasi ludzie nic tu nie robili. Ja kłów nie kupiłem; nie trzeba wciągać do ksiąg. Wszystko w porządku.

Kayerts o mało co nie pękł z oburzenia.

— Co takiego? — krzyknął — sprzedałeś po prostu naszych ludzi za te kły!

Makola milczał obojętnie.

— Ja ciebie — ja — ja — bełkotał Kayerts. — Ty czarcie przeklęty! — wrzasnął.

— Zrobiłem co mogłem dla pana i dla Spółki — rzekł niewzruszony Makola. — Dlaczego pan tak krzyczy? Niech pan spojrzy na ten kieł.

— Odprawiam cię! Doniosę dyrektorowi — ani myślę patrzeć na ten kieł. Nie wolno ci tego dotykać. Rozkazuję wrzucić to do rzeki. Ty — ty — —

— Pan bardzo jest czerwony, panie Kayerts. Jak się pan będzie tak na słońcu irytował, dostanie

pan febry i umrze pan — jak pierwszy naczelnik! — wypowiedział z naciskiem Makola.

Stali w milczeniu, patrząc w siebie z natężeniem, jak gdyby usiłowali dojrzeć coś z wielkiej odległości. Kayerts wzdrygnął się. Makola miał na myśli tylko to, co powiedział, ale słowa jego wydały się Kayert-sowi pełnemi złowrogiej groźby. Odwrócił się nagle i poszedł ku domowi. Makola wycofał się na łono rodziny, a kły, pozostawione przed składem, leżały w blasku słonecznym, wielkie i drogocenne.

Carlier wrócił na werandę.

— Uciekli wszyscy, co? — odezwał się głuchy głos Kayertsza z głębi wspólnego pokoju. — Nikogo nie znalazłeś?

— O tak — odrzekł Carlier — znalazłem jednego z ludzi Gobili; leży martwy przed szafasami — przestrelili go nawszkroś. Słyszeliśmy ten strzał dziś w nocy.

Kayerts wyszedł szybko na werandę. Zastał towarzysza patrzącego ponuro przez dziedziniec w stronę kłów, leżących w oddali przed składem. Przez chwilę siedzieli obaj w milczeniu. Potem Kayerts opowiedział swoją rozmowę z Makolą. Carlier nic nie odrzekł. Przy śniadaniu jedli bardzo mało. Przez resztę dnia zamienili ledwie parę słów. Głucha cisza zdawała się ciężyc nad stacją i zaciskać im wargi. Makola nie otworzył składu; spędził dzień na zabawie z dziećmi. Leżał wyciągnięty na macie przed drzwiami swojego domku, a dzieciaki siedziały mu na piersiach i łąziły po nim. Był to obraz wzruszający. Pani Makola zajęta była przez cały dzień gotowaniem, tak jak i zwykle. Biali zjedli wieczerzę z nieco lepszym apetytem. Potem Carlier, paląc fajkę i przechadzając się po dziedzińcu, dotarł aż do składu; stał przez długi czas nad kłami, dotknął nogą jednego czy dwóch, a nawet usiłował podnieść

największy od cienkiego końca. Wrócił do swego naczelnika, który siedział wciąż na werandzie, rzucił się na krzesło i rzekł:

— Już wiem, jak to się stało! Napadli ich, leżących w ciężkim śnie po wypiciu wszystkiego tego wina, które pozwoliłeś wziąć Makoli. To była zasadzka — rozumiesz? Najgorsze to, że było tam kilku ludzi Gobili — z pewnością uprowadzili ich także. Najmniej pijany ze wszystkich obudził się i został zastrzelony w nagrodę za wstrzemięźliwość. Dziwny kraj. Co teraz zrobisz?

— Nie możemy tego dotknąć, naturalnie—rzekł Kayerts.

— Naturalnie, że nie — potwierdził Carlier.

— Niewolnictwo to okropna rzecz — wybełkotał Kayerts niepewnym głosem.

— Straszna! co za cierpienia — mruknął Carlier z przekonaniem.

Wierzyli święcie w swoje słowa. Każdy człowiek ma względy i szacunek dla pewnych słów, które on i jego bliźni wymawiają. Ale o uczuciach ludzie zaiste nic nie wiedzą. Mówimy z oburzeniem albo zachwytem; mówimy o ucisku, okrucieństwie, zbrodni, poświęceniu, wyrzeczeniu się, cnocie — i nie odczuwamy nic istotnego poza temi słowami. Nikt nie wie, co znaczy cierpienie albo wyrzeczenie się, prócz może ludzi, co padają ofiarą tajemnych celów, do których wiodą te złudzenia.

Następnego ranka zobaczyli, że Makola krząta się gorliwie na dziedzińcu, ustawiając wielką wagę do ważenia kości słoniowej. Po jakimś czasie Carlier rzekł:—Co też ten łajdak tam majstruje?—i zaczął wałęsać się po podwórzu. Kayerts poszedł za nim. Przystanęli obok wagi, przypatrując się Makoli. Nie zwracał na nich żadnej uwagi. Kiedy waga zosta-

ła zawieszona jak należy, spróbował podnieść kiel, aby położyć go na szali. Za ciężki był jednak. Spojrzał w górę bezradnie, nic nie mówiąc, i przez minutę stali wokoło wagi, milczący i nieruchomi jak trzy posągi. Nagle Carlier rzekł: „Bierz za drugi koniec, Makola, draniu jeden!” — i podnieśli kiel wspólnymi siłami. Kayerts drżał całym ciałem. Mruczał pod nosem: „No, no, doprawdy!” Włożywszy rękę do kieszeni, znalazł tam brudny kawałek papieru i ogryzek ołówka. Odwrócił się plecami, jakby chciał ukryć jakieś szachrajstwo i notował ukradkiem cyfry, które Carlier wygłaszał, podnosząc głos niepotrzebnie. Kiedy wszystko już było zważone, Makola szepnął do siebie: „Słońce pali tu strasznie mocno — to niedobrze dla kłów”. Carlier rzekł niedbale do Kayerts: „Wiesz co, naczelniku, mógłbym właściwie pomóc mu wnieść to do składu”.

Gdy wracali do domu, Kayerts zauważył z westchnieniem: „Musieliśmy to zrobić”. A Carlier rzekł: „To jest doprawdy okropne, ale ponieważ ludzie należeli do Spółki, więc i kość słoniowa należy do Spółki. Musimy jej pilnować”. „Oczywiście zdam z tego sprawę dyrektorowi”, rzekł Kayerts. „Naturalnie, niech on sam rozstrzygnie”, przytakiwał Carlier.

W południe zabrali się z apetytem do śniadania. Kayerts wzdychał od czasu do czasu. Gdy imię Makoli wypływało w rozmowie, dodawali do niego obelżywy epitet. Przynosiło to ulgę ich sumieniom. Makola urządził sobie popołudniu święto i kąpał dzieci w rzece. Tego dnia nikt z wiosek Gobili nie znalazł się w pobliżu stacji. Nazajutrz także nikt nie przyszedł, ani dnia następnego, ani przez cały tydzień. Zdawało się, że poddani Gobili wymarli i zostali pochowani, gdyż nie dochodził stamtąd najlżejszy przejaw życia. Ale lud obchodził tylko żałobę po rodakach, zgładzonych przez czary białych ludzi,

którzy ściągnęli złych ludzi do ich kraju. Żli ludzie odeszli, ale lęk pozostał. Lęk pozostaje zawsze. Człowiek może zniszczyć w sobie doszczętnie wszystkie uczucia — miłość, i nienawiść, i wiarę, i nawet zwątpienie; ale, póki lgnie do życia, nie może zniszczyć lęku, przebiegłego, niezniszczalnego i straszliwego lęku, który przenika całe jestestwo, który zabarwia myśli, który czyha na dnie serca; który śledzi na ludzkich wargach walkę ostatniego tchnienia. Łagodny starzec Gobila, ogarnięty lękiem, składał specjalne ofiary z ludzi wszystkim złym duchom, które zawładnęły jego białymi przyjaciółmi. Ciężko mu było na sercu. Niektórzy z wojowników mówili o paleniu i zabijaniu, ale przezorny starzec odwiódł ich od tego. Któż mógł przewidzieć niedolę, jaką byłyby zdolne sprowadzić te tajemnicze istoty, gdyby je podrażniono? Należy zostawić je w spokoju. Może czasem znikną w ziemi jak pierwsza biała istota. Lud Gobili powinien trzymać się od nich zdaleka i żywić nadzieję, że wszystko skończy się jak najlepiej.

Ale Kayerts i Carlier nie zniknęli; pozostali na powierzchni tej ziemi, która wydawała im się teraz jakby większa i bardziej pusta. Nie ulegli temu wrażeniu z powodu otaczającej ich samotności, zupełnej i głuchej; sprowadziła je raczej mętna świadomość, że znikło z ich duszy coś nieuchwytnego — coś, co pracowało dla ich bezpieczeństwa i wstrzymywało dzicz od wtargnięcia w ich serca. Obrazy domu, pamięć o ludziach im podobnych, o ludziach, którzy czuli i myśleli, jak oni zwykli byli czuć i myśleć — cała ta przeszłość cofnęła się gdzieś daleko — i trudno było do niej dotrzeć oczom olśnionym blaskiem słońca, nie przesłoniętego nigdy chmurami. A z otaczającej ich dzikiej, niemej głuszy, właściwa jej beznadziejność i barbarzyństwo zdawały się wysuwać

i zbliżać, przyciągać ich, patrzeć na nich, ogarniać ich opieką nieodpartą, poufałą i wstrętą.

Dni zbiegały się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Ludzie Gobili bębniłi i wrzeszczeli do każdego księżycyca na nowiu, jak i dawniej, ale trzymali się od stacji zdaleka. Makola i Carlier wyruszyli raz czółnem do jednej z wiosek, aby nawiązać znów stosunki, ale zostali przywitani deszczem strzał i musieli co tchu uciekać, aby ujść z życiem. Ta wycieczka wnieciła niepokój nad dolną i górną rzeką — wzburzenie ludności przejawiało się wyraźnie przez szereg dni. Parowiec spóźniał się. Z początku Carlier i Kayerts mówili wesoło o tem opóźnieniu, potem ogarnął ich niepokój, a wreszcie zgnębienie. Sytuacja stała się poważna. Zapasy się kończyły. Carlier zarzucał z brzegu wędkę, ale woda w rzece opadła i ryby trzymały się w środku łożyska. Nie śmieli zapuszczać się daleko od stacji na polowanie. A przytem w nieprzebytym lesie trudno było o zwierzynę. Carlier zastrzelił raz płynącego rzeką hipopotama. Nie mieli dość wielkiej łodzi, aby zabezpieczyć go od zatonięcia i poszedł na dno. Kiedy znów wypłynął, prąd uniósł go daleko i cielsko zostało wyłowione przez ludzi Gobili. Była to dla nich okazja do uroczystego obchodu narodowego, ale Carlier dostał napadu wściekłości i rozwodził się nad koniecznością wytępienia wszystkich Murzynów, aby można było wyżyć w tym kraju. Kayerts wałęsał się w milczeniu; spędzał całe godziny, wpatrując się w fotografię swojej Melie. Portret przedstawiał dziewczynkę o długich, wyblakłych warkoczach i nieco kwaśnym wyrazie twarzy. Nogi Kayertsa bardzo były spuchnięte i chodził z wielką trudnością. Carlier, podkopany przez febrę, nie spacerował już po zawadjacku, tylko łąził chwiejnym krokiem, zachowując jeszcze minę wyzywającą, jak przystało na człowieka, który pamiętał swój szy-

kowny pułk. Były oficer stał się opryskliwy, sarkastyczny i skłonny do mówienia przykrych rzeczy. Uważał to za „szczerę postępowanie”. Obaj obliczyli już dawno swoje procenty z handlu, włączywszy do ogólnej sumy ostatni nabytek „tego niecnego Makoli”. Postanowili także nic o tej sprawie nie mówić. Kayerts wahał się z początku ze strachu przed dyrektorem.

— Nie bój się — widział on i gorsze sprawy knute pokryjomu — utrzymywał Carlier, śmiejąc się chrapliwie. — Nie będzie ci wdzięczny, jeżeli się wygadasz. Nie jest lepszy ani od ciebie, ani ode mnie. Kto mu doniesie, jeśli będziemy trzymać język za zębami?

Otóż to właśnie! Poza nimi nie było tam nikogo; i — pozostawieni sam na sam ze swoją słabością — stawali się z dnia na dzień podobniejsi do współwino-wajców niż do przyjaciół. Od ośmiu miesięcy nie mieli z domu żadnych wiadomości. Każdego wieczoru mówili: „Jutro przyplynie parowiec”. Ale jeden z parowców Spółki rozbił się i zatonął, a dyrektor jeździł na drugim, odwiedzając bardzo odległe i ważne stacje na głównej rzece. Uważał, że bezużyteczna stacja i bezużyteczni ludzie mogą poczekać. A tymczasem Kayerts i Carlier żywili się ryżem gotowanym bez soli i przeklinali Spółkę, całą Afrykę i dzień swego urodzenia. Trzeba samemu przejść taką dietę, aby przekonać się, jaką okropną przykrością może się stać przełknięcie pożywienia. Na stacji nie było dosłownie nic poza ryżem i kawą; a kawę pili bez cukru. Ostatnie piętnaście kawałków zamknął Kayerts uroczyście w swojej skrzynce obok małej butelki konjaku, „na wypadek choroby” — objaśnił. Carlier był tego samego zdania. „Kiedy się jest chorym” — oświadczył — „każdy taki nadprogramowy kąsek rozwesela człowieka”.

Czekali. Bujna trawa puściła się na dziedzińcu. Dzwon nigdy się już nie odzywał. Mijały dni — ciche, powolne i rozjątrzone. Każde słowo ajentów brzmiało teraz jak warknięcie, a milczenie ich stało się gorzkie, jakby przesiąknięte goryczą myśli.

Pewnego dnia, po śniadaniu złożonym z gotowanego ryżu, Carlier postawił na stole nietkniętą filiżankę i rzekł:

— Do diabła z tem wszystkim! Wypijmy choć raz przyzwoitą filiżankę kawy. Kayerts, wydostań ten cukier!

— Cukier jest dla chorych — odmruknął Kayerts, nie podnosząc oczu.

— Dla chorych! — przedrzeźniał Carlier. — Głupie brednie! No więc — ja jestem chory.

— Nie jesteś bardziej chory ode mnie, a ja się bez cukru obywam — rzekł Kayerts pojednawczym tonem.

— Dawaj mi tu ten cukier — ty stary sknero, ty handlarzu niewolników!

Kayerts podniósł szybko oczy. Carlier uśmiechał się z wyraźną zuchwałością. I nagle wydało się Kayertsowi, że nie widział nigdy przedtem tego człowieka. Kto to jest? Nic o nim nie wiedział. Do czego był zdolny? Błyskawica gwałtownego, zdumiewającego wzruszenia przeszła Kayerts, jak w chwili niesłychanej, groźnej i ostatecznej. Ale zdołał wymówić ze spokojem —

— To żart w bardzo złym guście. Nie powtarzaj tego.

— Żart! — rzekł Carlier, przysuwając się z krzesłem. — Jestem głodny, jestem chory i nie myślę żartować. Nienawidzę obłudy. Jesteś obłudnikiem. Jesteś handlarzem niewolników. Ja jestem także handlarzem niewolników. Prócz handlu niewolnikami

niema nic w tym przeklętym kraju. Chcę dziś mieć cukier do kawy i koniec!

— Zakazuję ci mówić do mnie w ten sposób — rzekł Kayerts ze stanowczością.

— Ty!... co takiego? — krzyknął Carlier, zrywając się z krzesła.

Kayerts wstał również.

— Jestem twoim zwierzchnikiem — zaczął — starając się opanować trzęsący głos.

— Co? — wrzasnął tamten. — Kto jest zwierzchnikiem? Tu niema żadnego zwierzchnika. Nikogo niema; tu niema nikogo prócz mnie i ciebie. Jazda po cukier — ty brzuchaty ośle!

— Milcz! wynoś się stąd! — krzyknął piskliwie Kayerts. — Odprawiam cię ty — ty łajdaku!

Carlier porwał za krzesło. Wyglądał teraz do prawdy niebezpiecznie.

— Ty flaku, ty nędzny cywilu — masz! — zawył.

Kayerts schował się pod stół i krzesło uderzyło o trzciniową ścianę. Gdy Carlier usiłował obalić stół, Kayerts rzucił się w rozpacz na oścież, z głową spuszczoną, jak zapędzona w róg świnia; przewróciwszy Carliera, wypadł na werandę i wbiegł do swego pokoju. Zamknął drzwi na klucz, porwał za rewolwer i stał, dysząc. Nie upłynęła minuta, gdy Carlier jął kopać wściekle we drzwi, wyjąc:

— Jeśli mi nie dasz cukru, zastrzelę cię jak psa. No! raz — dwa — trzy... Nie chcesz? Pokażę ci, kto tu panem!

Kayerts pomyślał, że drzwi za chwilę ustąpią, i wylazł przez kwadratową dziurę, która służyła za okno. Teraz przedzielała ich cała szerokość domu. Ale tamten był widać za słaby, aby drzwi wywalić i Kayerts usłyszał, że biegnie naokoło. Wówczas i on zaczął biec mozolnie na swych spuchniętych nogach.

Biegł ze wszystkich sił, ściskając w dłoni rewolwer, i wciąż nie mógł jeszcze zrozumieć, co się z nim dzieje. Widział kolejno domek Makoli, skład, rzekę, wąż, niskie krzaki; i znów zobaczył to wszystko, biegnąc po raz drugi naokoło domu. I jeszcze raz mignęło to samo przed jego oczami. Tego ranka nie byłby mógł przejść bez stękania i paru kroków.

A teraz biegł. I to biegł dość szybko, aby ukryć się przed wzrokiem tamtego.

Wreszcie, goniąc resztkami sił, pomyślał w ostatecznej rozpacz: „Umrę, a nie potrafię obieć raz jeszcze naokoło” — i w tejże chwili usłyszał, że Carlier potknął się ciężko i stanął. Kayerts zatrzymał się także. Znajdował się z tyłu domu, a tamten od frontu, jak przedtem. Usłyszał, że Carlier pada na krzesło, przeklinając, i nagle nogi ugięły się pod nim: osunął się na podłogę z plecami opartymi o ścianę. Usta miał suche jak żużel, a twarz mokrą od potu — i łez. O co im poszło? Pomyślał, że to chyba straszne złudzenie; pomyślał, że przeżywa to we śnie; pomyślał, że dostaje pomieszania zmysłów! Po chwili opamiętał się. O co się właściwie pokłócili? O ten cukier? Cóż za idjotyzm! Ależ da mu ten cukier — nie potrzebuje tego cukru. I zaczął dźwigać się z ziemi, ogarnięty nagle poczuciem bezpieczeństwa. Ale zanim jeszcze stanął na nogach, odruch zdrowego rozsądku pograżył go znów w rozpacz. Pomyślał: „Jeśli ustąpię teraz temu rozbestwionemu żołdakowi, jutro zaczną się te same okropności — i pojutrze — i następnego dnia — i ciągle. — Będzie występował z coraz to innymi pretensjami, podepcze mnie, zadręczy, zrobi ze mnie swojego niewolnika — i będę zgubiony! Zgubiony! Parowiec nadejdzie może za wiele dni — może nigdy nie nadejdzie”. Trząsł się tak silnie, że musiał znów usiąść na podłodze. Dygotał bezradnie. Czuł, że nie może i nie chce już się

ruszyć. Odchodził od zmysłów, pojawiając się nagle, że znalazł się w położeniu bez wyjścia — że śmierć i życie stały się w mgnieniu oka jednakowo trudne i straszne.

Nagle usłyszał, że tamten odsuwa krzesło — i skoczył na równe nogi z niezmierną łatwością. Nasłuchiwał pilnie. Przejął go wstyd; znów musi biec! Na prawo czy na lewo? Usłyszał kroki. Rzucił się na lewo, ściskając rewolwer i w tejże samej chwili, jak mu się wydało, zderzyli się gwałtownie. Głośny wystrzał rozległ się między nimi; buchnął czerwony płomień, gęsty dym; i Kayerts, ogłuszony i oślepiiony, rzucił się do ucieczki, myśląc: „Raniony jestem, już po mnie”. Spodziewał się, że tamten go dopędzi, aby napawać się jego agonją. Chwytał się słupa podtrzymującego dach. „Już po wszystkim!” Nagle usłyszał, że ktoś zwałił się z łoskotem po drugiej stronie, jakby natknąwszy się naoslep na krzesło — potem uczyniła się cisza. Nic się więcej nie stało. Nie umarł. Tylko czuł, że ramię ma boleśnie poturbowane i spostrzegł się, że zgubił rewolwer. Bezbronny był i bezradny. Cekał na swój los. Tamten drugi nie odzywał się wcale. To podstęp. Pewno skrada się do niego! Którędy? Może bierze go w tej chwili na cel?

Po krótkiej chwili męki straszliwej i bezsensownej postanowił stawić czoło losowi. Gotów był poddać się wszystkiemu. Obszedł róg domu, opierając się ręką o ścianę, postąpił jeszcze kilka kroków — i ledwie że nie omdlał. Zobaczył na podłodze stopy leżącego człowieka, wystające z za drugiego węgła. Białe, nagie stopy w czerwonych pantoflach. Uczuł się śmiertelnie chory i stał przez chwilę w głębokim mroku. Nagle Makola zjawił się przed nim i rzekł spokojnie:

— Niech pan tu przyjdzie, panie Kayerts. On nie żyje.

Kayerts wybuchnął łzami wdzięczności — głośnym płaczem i szlochaniem. Po pewnym czasie zorientował się, że siedzi na krześle i patrzy na Carliera, który leży nawznak wyciągnięty na podłodze. Makola klęczał obok ciała.

— Czy to pana rewolwer? — spytał, powstając.

— Tak — odrzekł Kayerts i dodał natychmiast: — Biegł za mną, żeby mnie zabić — widziałeś!

— Tak, widziałem — odrzekł Makola. — Tu jest tylko jeden rewolwer; gdzie drugi?

— Nie wiem — szepnął Kayerts osłabłym nagle głosem.

— Pójdę i poszukam — rzekł tamten łagodnie.

Obszedł dom wokół, a Kayerts siedział nieruchomo i patrzył na trupa. Makola wrócił z pustemi rękami; chwilę stał pogrążony w myślach, potem wszedł spokojnie do pokoju zmarłego, wrócił natychmiast z rewolwerem i pokazał go Kayertsowi. Kayerts zamknął oczy. Wszystko zawirowało naokoło niego. Poznał, że życie straszniejsze jest i trudniejsze niż śmierć. Zastrzelił bezbronnego człowieka.

Makola namyślał się przez chwilę i rzekł cicho, wskazując na umarłego, który leżał z przestrzelonem prawem okiem:

— Umarł na febrę. — Kayerts utkwiał kamienny wzrok w Murzynie. — Tak — powtórzył Makola w zadumie, przestępując przez trupa — umarł na febrę. Pochowamy go jutro.

I poszedł zwolna do wyczekującej go żony, zostawiając obu białych na werandzie.

Nadeszła noc, a Kayerts wciąż siedział bez ruchu. Siedział spokojnie, jak po zażyciu opjum. Gwałtowność wzruszeń, które przeżył, wywołała w nim

uczucie wyczerpania i pogody. W jedno krótkie popołudnie zgłębił do dna zgrozę i rozpacz, i znalazł wreszcie spokój w przeświadczeniu, że życie nie ma już dla niego tajemnic: tak, jak i śmierć. Siedział przy trupie i myślał — myślał bardzo intensywnie, myślał zupełnie nowemi myślami. Miał wrażenie, że oderwał się od siebie najzupełniej. Stare jego myśli, przekonania, sympatje i antypatje, rzeczy które szanował i rzeczy których nienawidził, ukazały mu się nareszcie w prawdziwym świetle! Uznał je za dziecinne i godne pogardy, fałszywe i śmieszne. Rozkoszował się nową swą wiedzą, siedząc przy człowieku, którego zabił. Rozprawiał ze sobą o wszystkich rzeczach pod słońcem z przewrotną jasnością myśli, właściwą niektórym obłąkanym. Przyszło mu do głowy, że nieboszczyk był bezsprzecznie szkodliwą bestją; że ludzie umierali codzień tysiącami; może i setkami tysięcy — któż to wie? — i że w ogólnej sumie ta jedna śmierć nie mogła zaważyć, nie mogła mieć żadnego znaczenia — przynajmniej dla istoty myślącej. On, Kayerts, jest istotą myślącą. Przez całe życie aż do tej chwili wierzył w masę głupstw, podobnie jak i reszta ludzkości, która składa się z głupców; ale teraz zgłębił już wszystko! Poznał już wszystko! Zdobył spokój; spoufalił się z najwyższą mądrością!

Usiłował wyobrazić sobie, że to on, Kayerts, nie żyje, a Carlier siedzi w krześle i patrzy na niego; a ten zamiar udał mu się tak prędko i niespodzianie, że już po krótkiej chwili wcale nie był pewien, kto jest żywy, a kto umarły. Ta nadzwyczajna sprawność wyobraźni przeraziła go jednak i zręcznym wysiłkiem woli uratował się w porę od stania się Carlierm. Serce waliło mu jak młotem i war go oblał na myśl o tem niebezpieczeństwie. Cóż za piekielna groza! Usiłował trochę pogwizdać, aby uspokoić

rozstrojone nerwy — nic dziwnego, że rozstrojone! Potem nagle usnął, czy też zdawało mu się, że usnął; w każdym razie otaczała go mgła i ktoś w tej mgle zagwizdał.

Wstał z krzesła. Dzień się uczynił i ciężka mgła zstąpiła na ziemię — mgła przejmująca, zachłanna i cicha, poranna mgła krajów tropikalnych; mgła, która lgnie do człowieka i zabija; mgła biała i śmiertelna, niepokalana i jadowita. Kayerts wstał z krzesła, ujrzał ciało u swoich stóp i — załamawszy ręce nad głową — krzyknął jak człowiek, który obudził się z letargu i zrozumiał, że zamurowano go w grobie na wieki.

— Ratunku!... Boże mój!

Wrzask nieludzki, drgający i nagły przedarł się jak ostry pocisk przez biały całun tego smutnego kraju. Zkolei rozległy się trzy krótkie, niecierpliwe skrzeki i znów przez chwilę zwoje mgły kłębiły się cicho wśród straszliwego milczenia. Potem rozdarł powietrze cały szereg wrzasków, szybkich i przenikliwych, niby ryki jakiejś rozjuszzonej i dzikiej bestji. To postępowo wołał z rzeki na Kayertsa. Postęp, i cywilizacja, i wszystkie cnoty. Społeczeństwo przyzywało swego doskonałego członka, aby go wziąć pod opiekę, aby go pouczyć, aby go osądzić, aby go potępić; wzywało go do powrotu na tę kupę śmieci, od której się oddalił — wzywało go, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Kayerts usłyszał i zrozumiał. Zeszedł, potykając się, z werandy i pozostawił tamtego człowieka w zupełnej samotności, pierwszy raz od chwili, gdy los rzucił ich razem na to wybrzeże. Szedł poomacku wśród mgły, wołając w swej nieświadomości ku niewidzialnym niebiosom, aby cofnęły dokonane dzieło. Makola przemknął blisko we mgle i krzyknął, biegnąc:

— Parowiec! Parowiec! Nie mogą dojrzeć stacji. Gwiżdżą na nas. Lecę zadzwonić. Niech pan zejdzie do przystani. Ja będę dzwonił.

Zniknął. Kayerts stał bez ruchu. Spojrzał w górę; mgła kłębiła się nisko nad jego głową. Spojrzał wokoło jak człowiek, który się zabłąkał; i ujrzał na ruchliwej bieli mgły ciemną smugę — plamę w kształcie krzyża. Gdy ruszył ku niej chwiejnym krokiem, dzwon stacyjny zabrzmiał gwałtownie w odpowiedzi na niecierpliwie wrzaski parowca.

Naczelny dyrektor Wielkiej Spółki Cywilizacyjnej (ponieważ wiadomo, że za handlem idzie cywilizacja) wysiadł pierwszy na brzeg i natychmiast stracił z oczu parowiec. Mgła nad rzeką była niezmiernie zwarta; w górze, na stacji, dzwon brzmiał rozgłośnie i nieustannie.

Dyrektor krzyknął głośno w kierunku parowca:

— Nikt nie wyszedł na nasze spotkanie; może tam stało się coś złego, pomimo że dzwonią. Chodźcie lepiej ze mną!

I zaczął drapać się mozolnie na stromy brzeg. Kapitan i maszynista szli za nim. W miarę jak wspinali się wyżej, mgła rzedła i spostrzegli przed sobą dyrektora, który wyprzedził ich o dobry kawał. Nagle ujrzeni, że dyrektor rzuca się naprzód, krzyżując do nich przez ramię:

— Lećcie prędko, prędko do domu! Znalazłem jednego. Szukajcie drugiego, prędko!

Znalazł jednego! I nawet ten człowiek, bogaty w doświadczenia różnorodne i groźne, uczuł się nieco zmieszany tem odkryciem. Zatrzymał się i szukał po kieszeniach noża, stojąc naprzeciw Kayertsowi, który zwiślał z krzyża na rzemieniu. Wdrapał się widocznie na grób, który był wąski i wysoki i — przy-

wiązawszy do poprzecznego drewna rzemień, powiesił się na nim. Nogi jego znajdowały się ledwie o kilka cali od ziemi; ręce zwisły sztywno; zdawało się, że stoi wyciągnięty na baczność i tuli żartobliwie fioletowy policzek do ramienia. A przytem impertynencko pokazywał spuchnięty język swemu naczelnemu dyrektorowi.

P O W R Ó T

Pociąg wewnętrznej obwodowej z City wypadł z impetem z czarnej czeluści i zatrzymał się z hałasem i zgrzytem w brudnym półmroku stacji West-End. Rozwarł się szereg drzwiczek i wysypała się z nich gromada mężczyzn. Byli w cylindrach, mieli zdrowe twarze bez rumieńców, ciemne paltoty i błyszczące obuwie. W palcach obciążonych w rękawiczki trzymali cienkie parasole i pospiesznie złożone dzienniki wieczorne, podobne do sztywnych brudnych gałganów, zielonkawych, różowawych lub białych. Alvan Hervey wysiadł wraz z innymi z dymiącym cygarem w zębach. Jakaś kobiecina, na którą nikt nie zwracał uwagi, w czarnej zrudziałej sukni, z rękami pełnymi paczek, biegła zatroskana wzdłuż wagonów, wpadła nagle do przedziału trzeciej klasy i pociąg ruszył. Trzask zamykanych drzwiczek zagrział ostro i złośliwie, jak salwa karabinowa. Lodowaty przeciąg, zmieszany z gryzącym dymem, dmuchnął przez całą długość peronu i zmusił jakiegoś chwiejnie posuwającego się staruszka, okutanego po uszy w wełniany szalik, do zatrzymania się pośród ruchomego tłumu; stary, oparłszy się na kij, zakaszlał gwałtownie. Nikt nawet nie spojrzał na niego.

Alvan Hervey oddał urzędnikowi bilet. Pomiedzy gołemi ścianami brudnej klatki schodowej tłum mężczyzn szybko wbiegał pod górę. Z tyłu wszyscy byli tak podobni, jakby mieli jednakowe mundury; obojętne ich twarze były różne, lecz miały coś pokrewnego, niby twarze gromady braci, którzy przez rozsądek, dumę, wstręt lub przezorność postanowili nie poznawać się nawzajem, a oczy ich, żywe czy spokojne, spoglądające w górę zakurzonych schodów, te oczy piwne, czarne, szare lub niebieskie miały wszystkie jednakowy wyraz skupienia i pustki, zadowolenia i bezmyślności.

Poza wielkimi drzwiami, wiodącymi na ulicę, rozsypali się w różnych kierunkach, rozchodząc się szybko z zaferowanymi minami ludzi uciekających przed obawą kompromitacji, poufałością lub zwierzeniami, przed czemś podejrzanem a ukrytem — jak prawda lub zaraza. Alvan Hervey zawahał się, stojąc sam we drzwiach; wreszcie postanowił pójść do domu piechotą.

Ruszył dobrym krokiem. Mżący deszcz osiadał jak srebrzysty pył na ubraniu, na wąsach, zwilżał twarz, lakierował chodniki, przyciemniał mury, ociekał z parasoli. A Hervey posuwał się wśród deszczu z niedbałą pogodą ducha, ze spokojną swobodą człowieka w pełni powodzenia, wyniosłego i bardzo pewnego siebie. Był wysoki, dobrze zbudowany, przystojny i zdrow, a jego jasna bezbarwna twarz pod warstwą przeciętnej dystynkcji miała ten lekki odcień dominującej brutalności, który nadaje posiadanie zalet tylko w pewnym stopniu trudnych do osiągnięcia, a który cechuje także ludzi celujących w sportach, lub w umiejętności robienia majątku — ludzi mających dar ujarzmania zwierząt i opanowywania bliźnich znajdujących się w potrzebie.

Wracał do domu o wiele wcześniej niż zazwy-

czaj, prosto z City, nie wstępując do klubu. Uważał się za człowieka z dobrego towarzystwa, wykształconego i inteligentnego. Któż tak o sobie nie myśli? Lecz jego stosunki, wykształcenie i inteligencja nie różniły się ani na jotę od stosunków, wykształcenia i inteligencji ludzi, z którymi prowadził interesy lub spędzał czas na zabawie. Ożenił się przed pięciu laty. W owym czasie wszyscy znajomi mówili, że jest bardzo zakochany; sam przyznawał to zupełnie szczerze, bo jest rzeczą przyjętą, że każdy człowiek kocha się raz w życiu — naturalnie, o ile żona mu nie umrze, gdyż wówczas jest nawet bardzo chwalebne zakochać się po raz wtóry. Panna była wysoka, ładna i, według jego zdania, z dobrej rodziny, wykształcona i inteligentna. Była również mocno znudzona pobytem w domu, gdzie indywidualność jej, a miała mocne poczucie swej indywidualności — jakby zamknięta w ciasnym pudełeczku, nie miała pola do rozwinięcia skrzydeł. Stała jak grenadier, była silna i smukła jak obelisk, miała twarz urodziwą, jasne czoło, niewinne oczy i ani jednej własnej myśli pod czaszką. Alvan Hervey uległ szybko tym wdziękom; panna wydała mu się tak bezwzględnie odpowiednia, że nie zawahał się ani na chwilę, by uznać, iż jest zakochany. Pod pokrywką tej uświęconej i poetycznej fikcji pożądał jej całą istotą, dla rozmaitych powodów, głównie zaś, aby mieć zadowolenie wyżycia się. Na tym punkcie był uroczysty i ckliwy — nie mając po temu bezwarunkowo żadnych powodów, chyba chęć zatajenia uczuć, co, zaiste, niezaprzeczenie czynić wypada. Nikt jednak właściwie nie miałby mu za złe zaniedbania tego obowiązku, bo uczucie, którego doświadczał w rzeczywistości było pożądaniem — pożądaniem niewątpliwie mocniejszym i odrobinę bardziej skomplikowanym, ale nie bardziej godnym potępienia

w swej istocie, niż apetyt na obiad u głodnego człowieka.

Po ślubie zajęli się rozszerzeniem koła znajomości i powiodło im się to znakomicie. Trzydzieści osób znało ich z widzenia, dwadzieścia z demonstracyjnym uśmiechem znosiło ich przypadkową obecność w swych gościnnych progach, przynajmniej z pięćdziesiąt innych spostrzegało ich istnienie. Obracali się w tem rozszerzonym kole, wśród przemyśłych mężczyzn i kobiet, obawiających się wzruszeń, entuzjazmu lub niepowodzenia gorzej niż ognia, wojny lub śmiertelnej choroby, tolerujących jedynie najpospolitsze formułki i najpospolitsze myśli, a uznających tylko korzystne fakty. Była to nadzwyczaj pociągająca sfera, przybytek wszelkich cnót, gdzie rzeczywistość nie ma przystępu i gdzie wszelkie radości i troski są sprowadzane przezornie do poziomu przyjemności i przykrości. W tej to jasnej sferze, gdzie szlachetne uczucia są hodowane w obfitości dostatecznej do pokrycia bezlitosnego materializmu myśli i dążeń, państwo Hervey przeżyli pięć lat rozsądnego szczęścia, niezachmurzonego wątpliwością co do moralnej wartości swego sposobu życia. Ona, aby dać swej indywidualności pole do rozwoju, zabrała się do filantropji wszelkiego rodzaju i została członkinią różnych stowarzyszeń ratowniczych i umoralniających, których protektorkami lub prezeskami były utytułowane panie. On wziął czynny udział w polityce, a zetknąwszy się przypadkowo z pewnym literatem, który był zarazem kuzynem jakiegoś księcia — dał się namówić na finansowanie pewnego dogorywającego dziennika przeznaczanego dla wyższych sfer. Było to wydawnictwo przez pół polityczne, a skandaliczne całkowicie, które ratowała jedynie krańcowa bezbarwność; a że nie miało żadnego wyznania wiary, nie zawierało za-

dnej nowej myśli, nigdy nie rozjaśniło swych kart iskierką dowcipu, satyry lub słusznego oburzenia, Hervey uznał je na pierwszy rzut oka za dostatecznie godne szacunku. W następstwie zaś, gdy zaczęło być intrygantne, skombinował, że antreprzyza ta miała naogół wielkie zalety. Torowała drogę jego ambicjom, a prócz tego sprawiał mu wielką przyjemność ten specjalny rodzaj znaczenia, którego nabierała jego osoba przez stosunki z tem czemś, co wydawało mu się literaturą.

Stosunki te przyczyniły się także do rozszerzenia koła znajomości. W domu ich od czasu do czasu bywali ludzie, którzy pisali lub robili ładne rysunki dla publiczności, a redaktor bywał bardzo często. Hervey uważał go właściwie za osła, bo miał takie długie przednie zęby (wogóle zęby należy mieć drobne i równe) i włosy odrobinę dłuższe niż wszyscy. No, ale niektórzy książęta noszą długie włosy, a redaktor wiedział, co robi. Najgorsza, że nie można było zaufać jego powadze, jakkolwiek doskonałej i imponującej. Siedział w salonie elegancki, potężny, z gałką laski krążącą na poziomie długich zębów i rozmawiał godzinami z uśmiechem na grubych wargach (nie powiedział nigdy nic niewłaściwego lub nierzeczowego), rozmawiał nie w sposób ogólnie przyjęty — nieuchwytnie irytujący. Czoło miał za wysokie — też niezwykle — a pod niem nos prosty, ginący pomiędzy wygolonemi policzkami, które gładko schodziły ku podbródkowi w kształcie kalosza. A w twarzy tej, podobnej do buzi tłustego, szatańsko mądrego dziecka, błyszczało dwoje sprytnych, bystrych, sceptycznych oczu. Pisał także poezje. Prawdę powiedziałwszy, osioł. Lecz banda, którą włókł uczepioną u pól swego monumentalnego tużurka, zdawała się widzieć cuda w tem, co mówił. Alvan Hervey kładł to na karb afektacji. Artyści na-

ogół są tacy afektowani. W rezultacie wszystko było wysoce właściwe i bardzo mu dogadzało — a i żonie zdawało się też podobać — jakby ona również ciągnęła z tego intelektualnego stosunku jakąś wyraźną tajemną korzyść. Przyjmowała swe mieszane i nadzwyczaj dystyngowane towarzystwo z wyniosłą, ociężałą gracją, sobie tylko właściwą, która w umysłach onieśmielonych gości wywoływała nedorzeczne i niestosowne reminiscencje słonia, żyrafy, gazeli, wieży gotyckiej — anioła nadnaturalnej wielkości. Czwartki jej zasłynęły w ich świecie. Świat ten zaś rósł stale, zagarniając ulicę za ulicą. Należał do niego również Czyjstam Park, jeden Łuk — i parę Skwerów.

W taki to sposób Alvan Hervey i jego żona przeżyli z sobą pięć pomyślnych lat. Z czasem poznali się nawzajem zupełnie dostatecznie dla celów praktycznych takiej egzystencji, lecz byli tak niezdolni do prawdziwej zażyłości, jak dwoje zwierząt, stojących u jednego żłobu, pod jednym dachem w zbyt kownie urządzonej stajni. Jego pożądanie zostało zaspokojone i stało się przyzwyczajeniem; jej pragnienie spełniło się — pragnienie wyfrunięcia z domu rodzicielskiego, zaznaczenia swej indywidualności, obracania się w swojej sferze (o tyle świetniejszej niż sfera jej rodziców), posiadania własnego domu, własnej części uznania ze strony świata, zazdrości i poklasku. Rozumieli się nawzajem przezornie i milcząco, jak dwoje ostrożnych sprzymierzeńców, knujących korzystny spisek; nie byli bowiem zdolni do oglądania żadnego faktu, uczucia, zasady lub pojęcia inaczej niż w świetle własnej godności, gloryfikacji własnego ja, własnej korzyści. Sunęli po powierzchni życia ręką w rękę, w atmosferze czystej i mroźnej — niby dwoje łyżwiarzy, wykonywujących figury na grubym lodzie ku zachwytowi widza — łyżwiarzy wzgardliwie

niebiorących w rachubę nurtującego prądu rzeki wiecznie bieżącej i groźnej, rzeki życia, głębokiej i niezamarzającej nigdy.

Alvan Hervey zawrócił dwukrotnie na lewo, raz na prawo, okrążył z dwóch boków skwer, pośrodku którego grupy ujarzmionych drzew stały w szanownej niewoli poza żelaznymi sztachetami, i zadzwonił do swoich drzwi. Otworzyła mu pokojówka. Był to kaprys jego żony, żeby trzymać tylko żeńską służbę. Biorąc kapelusz i paltot, służąca powiedziała coś, co sprawiło, że Hervey sporzął na zegarek. Piąta, a żony niema w domu. Nie było w tem nic niezwykłego. Powiedział: — Nie, nie chcę herbaty, — i poszedł na górę.

Wstępował po schodach bez szelestu. Mosiężne pręty błyszcząły na całej długości czerwonego dywanu. Na podeście pierwszego piętra marmurowa niewiasta, skromnie osłonięta od stóp do głów kamienną draperją, wysuwała szereg martwych palców na krawędź cokółu i w naoslep wyciągniętej sztywnej białej ręce trzymała pęk świateł. Hervey pozwalał sobie na artystyczne upodobania w domu. Podpięte ciężkie kotary napoły zasłaniały ciemne kąty. Na bogatych wzorzystych obiciach ścian wisiały szkice, akwarele, sztychy. Hervey miał smak wybitnie artystyczny. Wieżyce starych kościołów strzelały ponad zieloną masą liści, wzgórze były fioletowe, piaski żółte, morze rozświetnione, niebiosy błękitne. Młoda dama o rozmarzonych oczach leżała rozciągnięta na dnie uwiązanej łodzi w towarzystwie koszyka ze śniadaniem, butelki szampana i zakochanego młodzieńca w tenisowej kurtce. Bosonodzy chłopcy flirtowali czule z dziewczętami w łachmanach, spali na kamiennych schodach, bawili się z psami. Patetycznie chuda dziewczyna, przyparta do nagiej ściany, z gąsnącym spojrzeniem wywróconych oczu podawała

kwiatek na sprzedaż, podczas gdy tuż obok fotografie jakiejś słynnej uszkodzonej płaskorzeźby zdawały się wyobrażać masową rzeź nagle obróconą w kamień.

Hervey naturalnie wcale na to nie patrzył; wszedł jeszcze o jeden bieg wyżej i udał się wprost do garderoby. Smok z brązu, przytwierdzony ogonem do kinkietu, wyciągał od ściany ciało swe w spokojnych skrętach i z paszczy rozwartej z konwencjonalną wściekłością strzelał zwykłym gazowym płomieniem w kształcie motyla. Pokój był pusty naturalnie, lecz ledwie Hervey wszedł, zdało się, iż zaludnił go tłum mężczyzn, gdyż lustra w drzwiach od szaf z ubraniami i duże stojące lustro żony odbiły obraz jego od stóp do głowy i pomnożyły w tłum eleganckich niewolniczych podobizn, ubranych jote w jotę jak on, o takich samych jak jego wstrzemięźliwych wyszukanych gestach, ruszających się, gdy on się poruszył, zastygających wraz z nim w służalczym bezruchu i posiadających jedynie takie pozory życia i czucia, jakie on uznawał za odpowiednie. I jak prawdziwi ludzie, którzy są niewolnikami ogólnie panujących przekonań, choć ich sami nawet nie podzielają, udawali cień niezależności zapomocą powierzchniowego urozmaicenia ruchów. Poruszali się wraz z nim, lecz albo postępowali parę kroków na jego spotkanie, albo oddalali się od niego, ukazywali się, znikali, zdawali się chować poza orzechowe meble, aby pojawić się znów daleko w głębi polerowanych tafli jako figury wyraźne a nierzeczywiste w ludzaco prawdziwym naśladownictwie pokoju. I tak samo jak ludziom, których uważał za godnych szacunku, można im było zaufać, że nie uczynią nic indywidualnego lub niespodziewanego—nic nie przewidzianego i niestosownego.

Przez pewien czas Hervey kręcił się bez celu

w tem dobranem towarzystwie, nucąc popularną ale salonową melodię i myśląc od niechcienia o liście handlowym z zagranicy, na który jutro trzeba będzie odpowiedzieć ostrożnie a wykrętnie. Wtem, gdy podchodził do jednej z szaf, ujrzał poza sobą w wysokiem lustrze róg stołu toaletowego żony i na nim wśród błysków rzucanych przez oprawne w srebro przedmioty — kwadratową białą plamę koperty. Była to rzecz tak niezwykła tutaj, że zawrócił, zanim jeszcze zdał sobie sprawę ze swego zdziwienia i wszyscy niematerialni mężczyźni dokoła niego zawrócili na piętach, wszyscy zdawali się być zdziwieni, wszyscy szybko podeszli do kopert na toaletach.

Poznał charakter pisma żony i zobaczył, że koperta była zaadresowana do niego. — Jakie to dziwne. — mruknął i uczuł niezadowolenie. Pominąwszy, że wszelki postępek niezwykły jest w swej istocie zasadniczo nieprzyzwoity, fakt, że jego żona pozwoliła sobie nań, uczynił go w dwójnasób niewłaściwym. Już to, że wogóle pisała do niego, wiedząc, że wróci do domu na obiad, było zupełnie śmieszne, ale żeby zostawiać list w ten sposób — na widocznem miejscu, licząc, że znaleziony zostanie przypadkiem, wydało mu się tak obrażające, że na myśl o tem doznał nagle uczucia braku bezpieczeństwa, niedorzecznej i dziwacznej iluzji, że dom zachwiał się w posadach. Rozdarł kopertę, spojrział na list i usiadł na najbliższem krześle.

Trzymał papier przed oczyma i patrzył na kilka wierszy na nim skreślonych, a uszy napełniał mu huk niewyraźny a gwałtowny, niby szcęk gongów, niby bicie w bębny, jakiś zgiełk bezprzedmiotowy, który aż przeszkadzał mu słyszeć własne myśli i absolutnie wyjaławiał mózg. Ta bezsensowna i ogłupiająca wrzawa zdawała się sączyć z napisanych wyrazów, wypływać z pomiędzy własnych jego palców, które

drżały, trzymając papier. I nagle upuścił list, jak coś parzącego, jadowitego i plugawego i, skoczywszy do okna z niewyrozumowanym impetem człowieka, chcącego wszcząć alarm z powodu pożaru lub morderstwa, podsunął je w górę i wychylił głowę.

Chłodny powiew wiatru, błędzącego ponad płaszczyznami dachów i kominami w przesyconych wilgocią i sadzą ciemnościach, lepkiem dotknięciem chlasnął go po twarzy. Ujrzał bezkresny mrok, w nim chaotyczną masę czarnych murów, a pomiędzy nimi niezliczone szeregi latarni gazowych, ciągnących się w dal długimi sznurami, niby nanizane ogniste paciorki. Złowroga łuna jakby niewidzialnego pożaru słabo rozświetlała od dołu mgłę, opadającą na faliste nieruchome morze dachówek i cegieł. Zdało się, iż na szczek otwieranego okna świat wydarł się z mroków i stanął z nim twarz w twarz, do uszu zaś jego dobiegł szum rozpieczętnięty i niewyraźny, pomruk czegoś ogromnego i pulsującego życiem. Dźwięk ten przejął go trwożą i zaparł mu oddech. Z postoju dorożek na skwerze doleciały go wyraźnie ochryple głosy i szyderyczy śmiech, brzmiały złowróźnie, ostro i okrutnie — jak groźba. Cofnął głowę jak przed zamierzonym ciosem i szybko spuścił okno. Postąpił parę kroków, potknął się o krzesło i z wielkim wysiłkiem zmusił do opanowania pewnej myśli, która kołatała mu się po mózgu.

Pochwycił ją wreszcie, zadawszy sobie więcej trudu niż przypuszczał; zaczerwienił się i zadyszał trochę, jakby łapał ją rękoma, lecz władza mózgu nad tą myślą była słaba, tak słaba, że uznał za konieczne powtórzyć myśl głośno — usłyszeć ją wymówioną dobitnie, aby zapewnić sobie posiadanie jej w całej pełni. Lecz nie miał ochoty usłyszenia własnego głosu — jakiegokolwiek bądź dźwięku — a to pod wpływem nieuchwytnego poczucia, formułują-

cego się w nim zwolna, że samotność i cisza są największym dobrodziejstwem ludzkości. Natychmiast jednak zdał sobie sprawę, że są całkowicie nie do osiągnięcia — że trzeba będzie oglądać ludzkie twarze, wymawiać słowa, słyszeć wypowiedane myśli!

Wyrzekł bardzo wyraźnie, patrząc na dywan:
— Odeszła. —

Było to straszne — nie fakt, lecz słowo, słowo, brzemienne nieuchwytną potęgą treści, zdające się posiadać straszliwą moc ściągania przeznaczenia na ziemię, niby owe przerażające słowa słyszane czasem we śnie. Wibrowało dokoła niego w metalicznej atmosferze, w przestrzeni, która miała twardość żelaza a rezonans spiżowego dzwonu. Wpatrzony pomiędzy czubki butów zdawał się być zasiłuchany w odbiegającą falę dźwięku, w falę, której krąg rozszerzał się, ogarniając ulice, dachy, wieże kościelne, pola — coraz dalej, rozszerzając się bez końca, daleko, daleko, aż tam, gdzie nie mógł już dosłyszeć — gdzie nie mógł sobie nic wyobrazić — gdzie...

— I — z tym... osłem, — powiedział znów, nie wychodząc z uprzedniej nieruchomości, I nic, prócz upokorzenia. Nic. Nie mógł wyciągnąć żadnej moralnej pociechy z któregokolwiek punktu spoglądał na sytuację, z każdej bowiem jej strony promieniował tylko ból. Ból. Jakiego rodzaju? Przyszło mu na myśl, że powinienby czuć się złamany, lecz natychmiast uświadomił sobie, że cierpienie jego nie było wcale tak błahego a wzniosłego rodzaju. Była to na ogół biorąc sprawa o wiele poważniejsza i miała raczej coś z charakteru subtelnego a okrutnego uczucia, które budzi kopnięcie lub chłosta.

Poczuł się bardzo chory — chory fizycznie, jakby przełknął coś obrzydliwego. Życie, które umysł zrównoważony winien uważać za cenny dar, przez sekundę wydało mu się nie do zniesienia. Podniósł pa-

pier, leżący u stóp, i usiadł, pragnąc wmyśleć się weń, zrozumieć, jak to się stało, że jego żona — jego żona! — opuściła go, odepchnęła szacunek, wygodę, spokój, przyzwoitość, stanowisko — porzuciła wszystko dla niczego! Zawziął się, by wczuć się w ukrytą logikę jej postępków, nie zdając sobie sprawy, że była to łamigłówka odpowiednia do wypełnienia godzin rekreacji w domu warjatów. Roważał więc swą żonę z każdego punktu, oprócz jednego zasadniczego. Myślał o niej jako o dobrze wychowanej pannie, żonie, osobie kulturalnej, pani domu, damie; przez chwilę nawet nie pomyślał o niej poprostu jako o kobiecie.

Nowa fala, fala wściekłego upokorzenia, przełała mu się przez mózg i nie pozostawiła poza sobą nic prócz uczucia niezасłużonego osobistego ponizenia. Dlaczego ma być wystawiony na tak ohydne pośmiewisko! Niweczyło ono cały dorobek jego nieskazitelnej przeszłości prawdą tak skutecznie działającą i tak niesprawiedliwą, jak potwarz — i oto cała przeszłość była zmarnowana. Wyszło najaw bankructwo — jego własne bezwzględne bankructwo, na które trzeba patrzeć, osłaniać je i zrozumieć. Nie można się go zaprzeczyć, wytłumaczyć, zepchnąć z oczu. Wiedząc o niem, nie mógł zachować zwykłych pozorów. Gdybyż była przynajmniej umarła!

Gdybyż umarła przynajmniej! Czuł prawie zadość na myśl o tej stracie budzącej szacunek i tak całkowicie wolnej od jakiegokolwiek piętna niepowodzenia, że ani w najlepszym przyjacielu, ani w najgorszym wrogu nie wzbudziłaby drgnienia radości. Niktby się nią nie zajmował. Szukał pociechy w kontemplacji tego jedyne go faktu życiowego, który niezłomnym wysiłkiem ludzkości udaje się zawsze przystroić w dźwięk i ułudę frazesów. A nic tak nie nadaje się do kłamstwa jak śmierć. Gdybyż była przy-

najmniej umarła! Zwracanoby się do niego w odpowiednich słowach, wypowiedzianych tonem pełnym smutku, a on z właściwym hartem ducha dawałby stosowne odpowiedzi. Nieraz już tak bywało. I ludzie przeszliby ponad tą sprawą. Gdybyż tylko umarła! Obietnice, strach, nadzieje żywota wiecznego to sprawy trupów podległych zepsuciu, a udziałem żywych, zdrowych ludzi są realne słodczyce żywota. Życie było jego udziałem; takie zdrowe i przyjemne, niezamącone ani zbytmiłości ani nadmiarem zgrzyoty. Zamąciła je, zepsuła. I nagle zdało mu się, że musiał chyba stracić zmysły, gdy się żenił. Taki to jest rezultat jednej chwili szczerości bez zastrzeżeń, jednego niebacznego odsłonięcia serca. Lecz wszyscy się żenią. Czyżby cały świat zwarzjował!

Uderzony tą myślą, podniósł oczy i ujrzał w oddali na lewo, na prawo, przed sobą siedzących na krzesłach mężczyzn, wpatrzonych w niego dzikim wzrokiem, emisariuszów obłąkanej ludzkości, natrętnie śledzących jego ból i upokorzenie. Nie, nie pozwoli na to. Wstał szybko i wszyscy dokoła niego zerwali się także. Zatrzymał się pośrodku pokoju, jakby czujność ich odebrała mu odwagę. Niema wyjścia! Uczuł coś w rodzaju rozpacz. Wszyscy muszą się dowiedzieć. Cały świat musi dowiedzieć się jutro. Służba musi dowiedzieć się dzisiaj. Zgrzytnął zębami... A on nigdy nic nie zauważył, nie domyślił się niczego. Wszyscy się dowiedzą. Pomyślał: — Ta kobieta to potwór, a wszyscy powiedzą, że to ja jestem głupi, — i taka burza boleści szarpnęła nim — stojącym nieruchomo w otoczeniu poważnych orzechowych mebli, — iż zdało mu się, że widzi siebie tarzającego się po dywanie i bijącego głową o ścianę. Uczuł wstręt do samego siebie, do tego obmierzłego, namiętnego wybuchu, robiącego wyłom w szańcu skromności, strzegącej jego męskich lat. Coś niezna-

nego, niszczącego i jadowitego wdarło się w jego życie, otarło się o niego, dotknęło go i obniżyło jego wartość. Przeraził się. Co się stało? Odeszła. Dlaczego? Głowa mu pękała od wysiłku, aby zrozumieć jej postępek i własną swą zgrozę. Wszystko się zmieniło. Dlaczego? Tylko jakaś kobieta odeszła, więcej nic — a jednak miał chwilę jasnowidzenia, krótką a wyraźną jak sen. Ujrzał wszystko, co uważał za niezniszczalne i pewne na tym świecie, rozsypujące się w gruzy dokoła, jak masywne mury pod wściekłym podmuchem huraganu. Wpatrzył się w przestrzeń, drżąc na całym ciele, i czuł, jak niszczące tajemnicze tchnienie, tchnienie namiętności, poczyna mącić głęboki spokój jego domu. Obejrzał się pełen lęku. Tak. Zbrodnię można przebaczyć; bezinteresowne poświęcenie, ślepe ufność, wiarę gorącą i inne szaleństwa zapisać na czyjeś dobro; krzywym uśmiechem lub zmarszczeniem brwi wytłumaczyć cierpienie a nawet śmierć samą, lecz namiętność jest niedająca się usprawiedliwić ukrytą sromotą serc naszych, przekleństwem, — które ukrywać i którego zapierać się należy. Namiętność jest bezwstydna, nędzna, depcze nasze promienne przysięgi, zrywa pogodne maski, obdziera do naga nasze ciała. Spadła na niego! Położyła nieczyste dłonie na niepokalanym szatach jego życia i musiał stawić jej czoło w obliczu całego świata! Całego świata! Przyszło mu na myśl, że nawet samo podejrzenie istnienia takiej wichrzycielki wśród ścian jego domu rzucało nań cień i pociągało za sobą potępienie. Wyciągnął przed siebie obie ręce, jakby chcąc odeprzeć nadciągającą plugawą prawdę i natychmiast przerażone conclave niemych zjaw, stojących w jasnych głębiach luster, uczyniło w jego kierunku ten sam gest odepchnięcia i zgrozy. Napróżno rozglądał się dokoła, jak człowiek, w chwili rozpaczki szukający bronii lub kryjów-

ki, aż wreszcie zrozumiał, że jest rozbrojony i przyparty do muru przez wroga, który bez najmniejszego skrupułu zada mu cios w samo serce. Znikąd nie mógł oczekiwać pomocy, ani spodziewać się rady od siebie samego, gdyż przez nagły wstrząs, spowodowany jej ucieczką, pojęcia, które winny były dominować w nim ze względu na wychowanie, przesady i otoczenie, tak mu się pomieszały z nowymi istotnymi uczuciami, uczuciami podstawowymi — które przechodziły ponad wszelką wiarą, kastą czy wykształceniem — że nie był zdolny połapać się, co jest naprawdę, a co być powinno; nie mógł rozróżnić niezbitej prawdy od przekonujących pozorów. Zrozumiał instynktownie, że prawda na nic mu się nie zda. Trzeba ją ukryć w jakiś sposób, bo wytłumaczyć jej nie można. Naturalnie, że nie! Ktoby chciał nawet słuchać? Prostu trzeba być bez skazy i zarzutu, aby utrzymać się w życiu na przodującym stanowisku.

— Muszę przejść ponad to, jak tylko można najmiejtniej, — powiedział sobie i począł przemierzać pokój tam i napowrót. Co zrobić najpierw? Pomyślał: — Wyjadę — nie, nie wyjadę. Stawię światu czało. — I, powziąwszy to postanowienie, uczuł, iż ogromnej otuchy dodała mu refleksja, że rola jego będzie milcząca i nietrudna, gdyż niepodobna przypuścić, aby ktokolwiek chciał mówić z nim o szkaradnym postępku — tej kobiety. Wmawiał w siebie, że przywoici ludzie — a znał tylko takich — nie lubią drażliwych tematów. Uciekła — z tym niezdrowym tłustym osłem - dziennikarzem. Dlaczego? Był takim, jakim każdy mąż być powinien. Dał jej dobre stanowisko — otworzył przed nią przyszłość — otaczał niezmiennie wielkimi względami. Robił przegląd swego postępowania z pewnym rodzajem posępnej dumy. Było bez zarzutu. A zatem, dlaczego?

Z miłości? Profanacja! Nie mogło tu być mowy o miłości. Sromotny impuls namiętności. Tak, namiętności. Jego własna żona! Boże! Boże!... I obraz domowego nieszczęścia w całej swej nagości przejął go takim wstydem, iż złapał się na niedorzecznym rozważaniu, czy nie ucierpiałby mniej na honorze, wzbudzając ogólne przekonanie, że bijał żonę. Są mężowie, którzy to robią... a wszystko raczej, niż ten ohydny fakt, bo przecież jasnym jest jak słońce, że z zarodkiem jego żył przez pięć lat — a to już jest nadto haniebne. Wszystko, co chcecie! Wszystko! Brutalność... Lecz natychmiast porzucił ten zamiar i począł rozmyślać nad sprawą rozwodową. Pomimo szacunku, jaki żywił dla praw i zwyczajów, nie uważał sądu rozwodowego za ucieczkę odpowiednią dla dostojnej boleści. Wydawał mu się raczej nieczystą, pełną nieprawości jaskinią, do której mężczyźni i kobiety są wciągani przez przeciwne losy po to, by więc się tam w obliczu nieubłaganej prawdy. Nie powinno się pozwalać na coś podobnego. Ta kobieta! Pięć... lat... być żonatym pięć lat i nigdy nic nie widzieć. Aż do ostatniego dnia... dopóki nie odeszła z całym spokojem. I wyobraził sobie wszystkich znajomych zajętych roztrząsaniem pytania, czy on był przez cały czas ślepy, głupi, czy zakochany. Co za kobieta! Ślepy!... Wcale nie. Czyż człowiek prawy mógł wyobrazić sobie takie zepsucie? Oczywiście — nie. Odetchnął swobodniej. Taką postawę należy przybrać, taka nie uchybia jego godności, stawia go w korzystnym świetle, no i trzeba przyznać, że jest moralna. Szczerze pragnął, aby cnota (w jego osobie) zatriumfowała przed światem. A ona — utonie w niepamięci. Niech zapomnienie pochłonie ją — pogrzebie — zatraci! Nikt o niej nie wspomni. Ludzie wykwiatni — a wszystkich bez wyjątku znajomych jego można było określić tem mianem — brzydzili

się naturalnie rozmową o takich rzeczach. Czyż nie? O, tak. Nikt nie wspomniałby o niej... w jego obecności. Tupnął nogą, przedarł list przez pół, raz jeszcze i raz jeszcze. Myśl o współczujących przyjaciółach wzbudziła w nim poryw niepohamowanej podejrzliwości. Cisnął na ziemię kawałeczki papieru. Zatrzepotały w powietrzu, opadły u stóp jego i na ciemnym dywanie zabieliły się, jak rozsypana garstka płatków śniegu.

Po napadzie gniewu ogarnął go nagły smutek, wywołany niewesołą myślą, która przemknęła po spalonej powierzchni jego serca niby niosący chłód, smętny cień chmury przez znękaną upałem jałową równinę. Zrozumiał, że otrzymał cios — nie uderzenie gwałtowne lub druzgoczące, widoczne, któreby można odeprzeć, oddać, zapomnieć, — lecz pchnięcie zdradliwe i dojmujące, co wzburzyło wszystkie te uczucia skryte i okrutne, które przez sztukę diabelską, lęk ludzki — a może nieskończone miłosierdzie Boże — są trzymane na uwięzi w głębiach nieprzeniknionych mroków serc naszych. Zdało się, iż czarna zasłona uniosła się przed nim i przez cząsteczkę sekundy przyjrzał się tajemniczemu wszechświatowi cierpień moralnych. Jak w świetle błyskawicy można objąć wzrokiem krajobraz w całej jego rozległości i barwie, tak Hervey'owi w mgnieniu owem dane było ujrzeć jasno cały ogrom bólu, jaki przez jedną króciutką chwilkę zdolna jest zawrzeć w sobie myśl ludzka. Zasłona znów opadła, lecz ten szybki rzut oka pozostawił w jego pamięci ślad nieprzewyciężonego smutku, poczucie straty i gorzkiej samotności, jakby obdarto go i wygnano. Na chwilę przestał być członkiem społeczeństwa, posiadającym stanowisko i karierę, opatrzonym nazwiskiem, jak jakaś skomplikowana mieszanina etykieta. Był zwykłą istotą ludzką, usuniętą z rozkosznego świata dy-

stygowanych Łuków i Skwerów. Stał samotny, obnażony i zdjęty bojaźnią, jak pierwszy człowiek pierwszego dnia grzechu. Są w życiu zdarzenia, zeknięcia się, błyski nagłe, które brutalnie jakoby kładą krzyż na całej przeszłości. Następuje wstrząśnienie i łoskot jakby furty zatrzaśniętej za człowiekiem zdradziecką ręką losu. Idź, i szukaj sobie innego raj, raj głupców lub mędrców. Chwila nie-mego przerażenia i wędrówkę trzeba rozpocząć na nowo; — mozolne zacieranie faktów, gorączkowe gromadzenie złudzeń, uprawę w pocie czoła gleby pod nowy zbiór kłamstw, aby tylko podtrzymać życie, uczynić je znośnym, upiększyć tak, aby można było przekazać następnemu pokoleniu ślepych wę-drowców nietkniętą czarowną legendę o nieczulej ojczyźnie, o ziemi obiecanej, całej w kwiatkach i szczęśliwości...

Wrócił do rzeczywistości z lekkim dreszczem i doznał uczucia bezbrzeżnego, przygnębiającego opuszczenia. Było to tylko poczucie, prawda, lecz wywołało w nim skurcz fizyczny, jakdyby miał piersi ściśnięte imadłem. Czuł się tak nieszczęśliwy i pożałowania godny i tak do głębi poruszony gnębiącą troską, że jeszcze jedno przykręcenie śruby, a łzy popłyną mu z oczu. Tracił godność. Pięć lat wspólnego pożycia zaspokoili jego pożądanja. Tak, już dawno. To zrobiło pięć pierwszych miesięcy — ale... Pozostało przyzwyczajenie — potrzeba jej osoby, uśmiechu, gestów, głosu, jej milczenia. Miała czyste czoło, ładne włosy. Jakież to wszystko marne. Ładne włosy i piękne oczy — wyjątkowo piękne. Zdumiony był liczbą szczegółów, narzucających się odpornej pamięci. Nie mógł zapanować nad wspomnieniem odgłosu jej kroków, szelestu sukni, sposobu trzymania głowy, stanowczego tonu, jakim mówiła — Alvanie, — drżenia nozdrzy, gdy była rozdrażniona.

Wszystko to należało do niego, takie mu było bli-
skie i tak specjalnie jego własne. Pienił się w milcze-
niu, robiąc obrachunek swych strat. Był jak czło-
wiek, który oblicza koszty nieudanej spekulacji —
zirytowany, zgnębiony — wściekły na siebie i na in-
nych, szczęśliwych, obojętnych, nieczułych; wszakże
krzywda, którą mu wyrządzono, wydała mu się tak
okrutna, że byłby może uronił łzę, gdyby nie prze-
świadczenie, że mężczyźni nie płaczą. Cudzoziemcy,
owszem; zabijają nawet czasami w takich okoliczno-
ściach. I ze zgrozą uczuł prawie żal, że zwyczaje to-
warzyskie, mające na pogotowiu przebaczenie za za-
bicie rabusia, zabraniają mu w tym wypadku nawet
myśli o morderstwie. Tem nie mniej zacisnął pięści
i zaciął zęby. I bał się jednocześnie. Bał się tym
dojmującym strachem pełnym wahań, który bijące
serce zdaje się obracać w garść popiołu. Zepsucie,
emanujące z jej występku, szerzyło się, kałało
wszechświat, jego samego, budziło wszelką uspioną
podłość, wywoływało nadprzyrodzoną jasność wi-
dzenia, aż ujrzał miasta i pola na tej ziemi, święte
miejsca, kościoły i domy zaludnione przez potwory—
potwory fałszu, chuci i morderstwa. Ona była po-
tworem — jemu przychodziły do głowy potworne
myśli... a przecież był takim samym człowiekiem,
jak wszyscy. Iluż mężczyzn, ileż kobiet w tej samej
chwili było pogrążonych w obrzydliwości — knuło
zbrodnie. Strach pomyśleć. W pamięci przesunęły
mu się te wszystkie ulice — ulice zamożnej dzielni-
cy, — któremi szedł do domu i te wszystkie niezli-
czone domy o zamkniętych drzwiach i zasłoniętych
oknach. Każdy z nich wydał mu się obecnie przy-
bytkiem boleści i szaleństwa. I myśl jego, jakby spa-
ralizowana, zatrzymała się, wspominając z trwogą
to przyzwoite straszliwe milczenie, równające się
spiskowi, ponure, nieprzeniknione milczenie całych

mil tych murów, kryjących poza sobą namiętności, nieszczęścia, zamiary zbrodnicze. Z pewnością nietylko on, nietylko jego dom... a jednak nikt nie wiedział, nikt się nie domyślał. Ale on wiedział. Wiedział z niezachwianą pewnością, która nie da się zwieść przyzwoitem milczeniem murów, zamkniętych drzwi, zasłoniętych okien. Nie posiadał się z rozpaczliwego wzburzenia, jak człowiek, któremu powierzono śmiertelną tajemnicę — tajemną wieść o klęsce zagrażającej ludzkości — świętości i spokojowi życia.

Zobaczył się w jednym z lusterek i doznał ulgi. Bolesność uczuć jego była tak wielka, iż spodziewał się prawie ujrzeć jakąś dziko wykrzywioną twarz, tymczasem miłe się zdziwił, przekonawszy się, że wcale tak nie jest. W żadnym razie wygląd jego nie zdradziłby nikomu tajemnicy jego cierpienia. Przyjrzał się sobie z uwagą. Spodnie miał zawinięte i buty trochę zabłocone, zresztą wyglądał jak zwykle. Jedynie włosy zwichrzyły mu się trochę, a ten szczegół stanowił taką jakąś cechę niepokoju, że szybko podszedł do stołu i począł szczotkować włosy, pragnąc zatrzeć ten kompromitujący ślad, tę jedyną oznakę wzburzenia. Szczotkował je starannie, bacząc na rezultat przyglądania, a druga twarz, trochę przybladła i może bardziej ściągnięta niż było pożądane, patrzyła mu w oczy z toaletowego lustra. Odłożył szczotki, ale nie był zadowolony. Wziął je znów i szczotkował włosy, szczotkował machinalnie — zapamiętał się w tej czynności. Nawalnica, szalejąca w jego mózgu, przeistoczyła się w tak powolny rozlew refleksji, jak po wybuchu wulkanu prawie niedostrzegalne posuwanie się potoku lawy, pełzającego leniwie po okolicy nawiedzonej trzęsieniem ziemi i bez litości zacierającego wszelkie znaki graniczne, które jeszcze się ostały. Jest to zjawisko destrukcyjne, lecz łagodne w porównaniu z po-

przedniem. Na Alvana Hervey ten powrót do równowagi podziałął prawie kojąco. Jego moralne słupy graniczne znikwały jeden za drugim, trawione ogniem doświadczenia, zatapiane w gorącym błocie i popiołach. Stygł — na powierzchni, lecz gdzieś tam w głębi pozostało dosyć żaru, by mógł cisnąć szczotki na stół i, odwróciwszy się, powiedzieć złym szeptem: — Życzę mu szczęścia... Niech ją djabli wezmą.

Zdeprawowała go doszczętnie swą niegodziwością, a za najcharakterystyczniejszy objaw swego upadku uważał to gorzkie gryzące zadowolenie, z jakim zdawał sobie z niego sprawę. On, Alvan Hervey — świadomie klął w myśli, zdobywał się na szyderstwo, w głębokiej ciszy formułował zdania świadczące o cynicznym niedowiarstwie, a zasady, które najbardziej cenił, okazały się ostatecznie ciasnymi przesadami głupców. Tłum bezkształtnych nieczytych myśli ukradkiem przemykał mu po mózgu, niby zgraja zamaskowanych złoczyńców, śpieszących popełnić zbrodnię. Zanurzył ręce głęboko w kieszenie. Usłyszał gdzieś słaby dźwięk dzwonka i sam do siebie powiedział półgłosem: — Nie jestem jedyny... nie tylko ja jeden. — Dzwonek znów zadzwieczał. Do drzwi frontowych?

Uczuł bicie serca w gardle, a potem aż w stopach. Wizyta! Kto? Po co? Zapragnął wybiec na podest i krzyknąć służącej: — Niema mię w domu! Wyjechałem zagranicę!... — Bylejaki pretekst. Nie czuł się na siłach spojrzeć w oczy gościowi. W każdym razie nie dziś wieczorem. Nie. Jutro... Zanim zdołał otrząsnąć się z odrętwienia, które spowinęło go niby ołowianym płatem, usłyszał gdzieś daleko na dole, jakby w trzewiach ziemi, huk ciężko zawierających się drzwi. Dom zatrzęsł się od niego silniej, niż od huku pioruna. Hervey stanął jak wryty, pragnąc stać się niewidzialnym. W pokoju było bardzo

chłodno. Nie przypuszczał nigdy, aby mógł kiedykolwiek doświadczać podobnych uczuć. Ale trzeba będzie zobaczyć się z ludźmi — spojrzeć im w oczy — rozmawiać z nimi, uśmiechać się do nich. Usłyszał — bliżej już — otwierające się i zamykające inne drzwi — od salonu. Na chwilę zdało mu się, że zemdleje. Co za głupstwo! Trzeba przecie przejść przez to. Jakiś głos coś mówił. Nie mógł rozróżnić słów. Potem głos znów przemówił i na podeście pierwszego piętra dały się słyszeć kroki. Cóż u licha! Miałże zawsze, ilekroć ktoś przemówi lub poruszy się, słyszeć ten głos i te kroki. — Jak zmora — pomyślał, — przypuszczam, że to potrwa z tydzień conajmniej. Dopóki nie zapomnę. Zapomnieć! Zapomnieć! — Ktoś wchodził na następny bieg schodów. Służąca? Nasłuchiwał, a potem nagle jakby ktoś zdaleka krzyknął mu jakąś niedowiary straszliwą rewelację, wrzasnął na pusty pokój: — Co! Co! — takim okropnym głosem, że aż sam się zląkł. Kroki zatrzymały się przed drzwiami. Stał z otwartymi ustami, oszalały i nieruchomy, jak w obliczu katastrofy. Klamka zgrzytnęła leciutko. Zdało mu się, że ściany się rozstępują, że meble pochylają się ku niemu, sufit na chwilę dziwacznie przekrzywia się na ukos, a wysoka szafa ma zamiar runąć. Uchwycił się czegoś — było to oparcie krzesła. A więc zatoczył się na krzesło! Och! Do diabła! Przytrzymał się mocno.

Płomienny motyl w paszczy brązowego smoka wydawał jasność, która zdawała się przeistaczać nagle w oślepiający blask, utrudniający Herveyowi dokładne rozpoznanie postaci żony, opartej plecami o zamknięte drzwi. Patrzył na nią i nie mógł poznać, czy oddycha. Oblewało ją gwałtowne, ostre światło i zdumiewał się, jak znakomicie zachowuje wyniosły spokój w tem rozjarzonym lśnieniu, które, jak mu się zdawało, otacza ją gorącym, zachłannym tumanem.

Nie zdziwiłby się, gdyby zniknęła tak nagle, jak się ukazała. Patrzył i słuchał, nasłuchiwał jakiegoś dźwięku, lecz milczenie dokoła niego było absolutne — jakby w jednej chwili ogłuchł i wzrok mu się przyćmił. Wtem odzyskał słuch, nadprzyrodzenie ostry. Usłyszał plusk deszczu o szyby poza spuszczone mi roletami, a w dole, daleko, daleko, w sztucznej przepaści skweru przytłumiony turkot i tupot kopyt po błocie. Usłyszał także jęk — bardzo wyraźny — w pokoju — tuż koło uszu.

— To ja sam musiałem jęknąć, — pomyślał z niepokojem, i w tej samej chwili kobieta oddaliła się od drzwi, pewnym krokiem przeszła przed nim i usiadła na krześle. Znał to stąpanie. Nie było żadnej wątpliwości. Wróciła. I o mało nie powiedział głośno — Naturalnie — tak nagle i potężnie narzuciło mu się przeświadczenie o niezniszczalnym charakterze jej istoty. Nic nie mogło zniweczyć jej — a zatrzymać zdala od niego mogła tylko jego własna ruina. Ona była wcieleniem wszystkich tych przelotnych momentów, które każdy mężczyzna poświęca z życia swego na marzenia, drogocenne marzenia, które spajają najukochańsze, najkorzystniejsze z jego złudzeń. Przyglądał się jej z wewnętrznym drżeniem. Była zagadkowa, znacząca, pełna tajemnej treści—jak symbol. Przyglądał się, pochylony naprzód, jakby odkrywał w niej cechy, których nigdy poprzednio nie spostrzegł. Nieświadomie postąpił ku niej krok—potem drugi. Zobaczył rękę jej wykonywującą okrągły stanowczy ruch — i zatrzymał się. Podniosła woalkę. Było to niby podniesienie przyłbicy.

Urok prysnął. Uczuł wstrząśnienie, jakby z odrętwienia wyrwał go huk eksplozji. Było ono nawet bardziej zdumiewające i wyraźne, zmiana nieskończenie głębsza, gdyż doznał wrażenia, że tylko co wszedł do pokoju, że wrócił z bardzo daleka; uświa-

domił sobie, że jakaś zasadnicza częśćka jego jaźni w mgnieniu oka wróciła na miejsce, wróciła ostatecznie z jakiejś dzikiej a smętnej krainy, z przybytku odsłoniętych serc. Ocknął się w nieoczekiwanym bezmiarze pogardy, w śmiesznej goryczy podziwu, rozczarowany pełnią bezpieczeństwa. Doznał objawienia tej nieprzepartej potęgi i ujrzał jałowość własnych swych przekonań — jej przekonań. Zdawało mu się, że nigdy, póki życia, nie mógłby popełnić omyłki. Zbłądzić było moralnem niepodobieństwem. Ta pewnością nie napełniła go pychą, miał trochę niemiłego uczucia na myśl, za jaką cenę ją zdobył; w tym triumfie zdrowych zasad, w tem zwycięstwie, osiągniętem u samego progu katastrofy, krył się jakby chłód śmierci.

Ostatni ślad jego poprzedniego stanu duszy znikł tak, jak znika chwilowy złudny szlak świetlny pękającego meteora na czarnej głębi niebios. Był to mdły przebłysk bolesnej myśli, który zgasł z chwilą dojścia do świadomości, że sama jej obecność — nic więcej — miała moc przywołania go do porządku. Wpatrzył się w nią. Siedziała z rękami na kolanach i spuszczonej oczyma. Zauważył, że bućki miała zabłocone, dół sukni mokry i zaszargany, jakby ślepy strach przygnał ją tu napowrót poprzez jakieś moczary. Był oburzony, zdziwiony i zgorszony, ale obecnie już w zdrowy, naturalny sposób, tak, że nie trudno mu było opanować te nieprodukcyjne uczucia, przywoławszy na pomoc przezorną powściągliwość. Oświetlenie pokoju nie miało już teraz niezwykłego blasku, stało się jasnym światłem, w którym z łatwością mógł obserwować wyraz jej twarzy. Był to wyraz tępego znużenia. A cisza, otaczająca ich, była już tylko normalną ciszą przeciętnego spokojnego domu, ledwie zakłóconą niekiedy przez słabo dochodzące odgłosy dystyngowanej dzielnicy.

Ochłódł zupełnie — i całkiem na chłodno już myślał, o ile lepiej byłoby, gdyby żadne z nich nie przemówiło już nigdy. Siedziała z zamkniętymi ustami, z wyrazem znużenia w całej swej zaniedbanej pozie, zastygłej nieruchomo, lecz po chwili podniosła spuszczone powieki i na badawczy utkwiony w nią wzrok odpowiedziała spojrzeniem, które miało w sobie całą niesformułowaną wymowność krzyku. Przenikało, wrzuszało, nic nie dając do zrozumienia, było samą istotą boleści, ogołoconej ze słów, które możnaby przyjąć z uśmiechem, zbić argumentami, zdławić krzykiem, pogardą. Była to boleść naga i pozbawiona wstydu, gołe cierpienie istnienia, zdradzone przed światem w przelotnej niepowściągliwości spojrzenia, które miało w sobie bezmiar znużenia, wzgardliwą szczerłość, bezwstyd wymuszonego wyznania. Alvana Hervey ogarnęło zdumienie, jakby ujrzał coś niepojętego i jakaś tajemna cząstka jego istoty gotowa była zawołać wraz z nim: — Nigdybym nie dał temu wiary! — gdyby natychmiastowe cofnięcie się obrażonej miłości własnej nie powstrzymało niedokończonych myśli. Zdjęła go uraza i oburzenie na tę kobietę, która pozwoliła sobie na takie spojrzenie. Sondowało go, prowadziło z nim konszachty. Było tak niebezpieczne jak sceptyczna aluzja uczyniona przez księdza w dostojnej atmosferze świątyni, a jednocześnie nieczyste, drażniące — niby cyniczna pociecha wyszeptana pociemku — plugawiące smutek, przerażające myśl, zatruwające serce. Miał ochotę zapytać ją z wściekłością: — Za kogo ty mnie masz? Jak śmiesz tak patrzeć na mnie? — Czuł się bezradnym wobec ukrytego znaczenia tego wzroku, czuł zań bezsilną a gwałtowną urazę, jak za krzywdę tak dojmującą, że niema za nią zadośćuczynienia. Pragnieniem jego było zgnieść ją jednym słowem. Był bez skazy. Miał po swej stronie opinię, moralność, ludzi i bogów, pra-

wo i sumienie — cały świat! Jej nie pozostało nic prócz tego spojrzenia. I zdobył się tylko na pytanie:

— Jak długo masz zamiar tu pozostać? —

Nie mrugnęła okiem, nie rozwarła ust, słowa jego przeszły bez wrażenia, jakby przemówił do istoty nieżyjącej, tylko że ta istota oddychała szybko. To, co powiedział, sprawiło mu głęboki zawód. Było to wielkie rozczarowanie, mające w naturze swej coś ze zdrady. Oszukał sam siebie. Miało to być coś zupełnie innego — inne słowa — inne wrażenie. A przed oczyma jego, tak wypatrzonemi, że chwilami nic nie widziały, siedziała ona, pozornie tak nieświadoma niczego, jakby była sama, śląc mu wprost w oczy to spojrzenie, równające się bezczelnemu wyznaniu — z takim wyrazem, jakby spoglądała w próżnię. Odezwał się znacząco:

— Więc ja mam odejść? — wiedząc dobrze, że wcale tak nie myśli.

Jedną z rąk, spoczywających na kolanach, wykonała lekki ruch, jakgdyby słowa jego tam upadły, a ona zrzuciła je na podłogę. Lecz milczenie jej dało mu odwagi. Może oznaczało skruczę — może obawę. A może zachowanie się jego raziło ją jak pionem? ...Spuściła powieki: Zdawało mu się, że rozumie bardzo wiele — wszystko! Dobrze — ale trzeba ją zmusić, aby cierpiała. To mu się należało. Zrozumiał wszystko, lecz uznał za konieczne powiedzieć, wyraźnie śląc się na uprzejmość.

— Ja nie rozumiem — bądź tak dobra i... —

Powstała. Przez sekundę przypuszczał, że zamierza odejść i zdało mu się, że ktoś go szarpnął za serce. Zabolało. Milczał, stojąc z otwartymi ustami. Lecz ona z wahaniem postąpiła krok ku niemu, a on instynktownie usunął się. Stali naprzeciw siebie, a strzępki podartego listu leżały pomiędzy nimi — u stóp ich — niby przeszkoda nie do przebycia, niby

oznaka rozstania na wieki! Dokoła nich trzy pary stały nieruchomo twarzami do siebie, jakby w oczekiwaniu sygnału do rozpoczęcia jakiejś akcji — walki, sprzeczki lub tańca.

Przemówiła: — Daj pokój — Alvanie! — a w bolesnym jej tonie zabrzmiało coś, jakby ostrzeżenie. Zmrużył oczy, jakby chciał przeszyć ją wzrokiem. Głos jej wzruszył go. Zapragnął okazać się wspałałomyślnym, szlachetnym — wyższym — i naprzemian znów porywało go oburzenie i chęć, straszliwa chęć, dowiedzenia się, jak daleko zaszła w złem. Spojrzała w dół na podarty papier. Potem podniosła oczy i znów spojrzenia ich spotkały się i zwarły, jakby związane nierozzerwalnym węzłem wieczystej spółwiny. I na chwilę ta głucha cisza przyzwoitego domu, która otaczała skrzyżowanie się ich spojrzeń, stała się niewymownie nikczemna — bał się, że usłyszy za wiele, co uniemożliwi mu wspałałomyślność, w jej twarzy zaś, poza głęboko smutnym wyrazem czaił się żal — żal, że to się stało, żal z powodu zwłoki — myśl, że też nie powróciła o tydzień — o dzień — o godzinę wcześniej... Lękali się usłyszeć nawzajem swe głosy — nie wiedzieli, co mogą powiedzieć — może coś, czego nie będzie można odwołać, a słowa są straszniejsze niż fakty. Lecz przekorny los, który czatuje w niewytłumaczonych odruchach, przemówił nagle przez usta Alvana Hervey, który począł wsłuchiwać się we własny głos ze sceptyczną ciekawością, z jaką słucha się aktorów na scenie, gdy usiłują dostroić się do bardzo dramatycznej sytuacji.

— Jeżeli zapomniałaś czegoś... to naturalnie ja... —

Rzuciła mu pałające spojrzenie, wargi jej zdrżały — a potem i ona stała się narzędziem tajemniczej potęgi, wiecznie krążącej dokoła nas, tego przewrotnego natchnienia, które błądzi według swego kaprysu, nieujęte w żadne karby, niby podmuch wiatru.

— I na co to wszystko, Alvanie? Wiesz, dlaczego go wróciłam... Wiesz, że nie mogłam... —

Przerwał jej z rozdrażnieniem.

— Więc co to znaczy? — zapytał, wskazując podartą list.

— To była pomyłka, — odparła pospiesznie stłumionym głosem.

Ta odpowiedź wprawiła go w zdumienie. Patrzył na nią, nie mogąc zdobyć się na słowa. Miał prawie ochotę wybuchnąć śmiechem. Dał temu wyraz w uśmiechu tak bezwiednym jak skrzywienie bólu.

— Pomyłka... — zaczął powoli, a potem uczył, że nie zdobędzie się na więcej.

— Tak... to było uczciwe — powiedziała bardzo cicho, jakby przemawiając do wspomnienia uczuć z dawno minionej przeszłości.

— Do diabła z taką uczciwością! — wybuchnął. — Czyż jest w tem choć odrobina uczciwości?... Kiedy zaczęłaś być uczciwa? Dlaczego tu jesteś? Jaka teraz jesteś? — Ciągle jeszcze uczciwa?... —

Podszedł do niej, jak ślepy, pieniąc się z wściekłości. Podczas tych trzech szybkich kroków stracił kontakt ze światem materialnym i wirował bez końca poprzez coś w rodzaju pustego wszechświata utworzonego z wściekłości i bólu, aż nagle napotkał jej twarz — tuż przed sobą. Stał i natychmiast jakby przypomniał sobie coś zasłyszanego przed wiekami.

— Nie rozumiesz znaczenia tego słowa — wrzasnął.

Nie cofnęła się. Z lękiem spostrzegł, że dokoła niego panowała cisza. Ona nie drgnęła i on się nie poruszył. Niezamałony spokój otaczał nieruchome postaci ich obojga, dom, miasto, świat cały — i tę bląhą burzę jego uczuć. Gwałtowność krótkotrwałej zawieruchy, szalejącej w nim, była tak wielka, że miałyby moc poruszyć z posad wszechświat, a jednak nic

się nie zmieniło. Patrzył na własną żonę w dobrze znanym pokoju własnego domu. Dom ten ani drgnął. A na prawo i lewo wszystkie niezliczone domostwa, przyparte do siebie, oparły się naporowi jego pasji; niewzruszone przeciwstawiły odosobnionemu jego nie-szczęściu ponure milczenie ścian, nieprzeniknioną gładką dyskrecję zamkniętych drzwi i zasłoniętych okien. Bezruch i milczenie przygniotły go, natarły na niego, niby dwoje współników nieruchomej, milczącej kobiety, stojącej przed nim. Uczuł się nagle pobity. Ukazano mu własną niemoc. Rozmiękczyła go przedajna rezygnacja, tchnąca z subtelnej ironji otaczającego spokoju.

Odezwał się ze złośliwą intencją:

— To za mało dla mnie, bądź co bądź. Chcę wiedzieć więcej — jeśli masz pozostać.

— Tu niema nic więcej do powiedzenia, — odparła ze smutkiem.

Prawda, zawarta w jej słowach, uderzyła go tak, że zamilkł. Ciągnęła dalej:

— Nie zrozumiałbyś... —

— Nie? — rzekł spokojnie. Opanował się, aby nie wybuchnąć krzykiem i wymysłami.

— Chciałam być wierną... — poczęła znowu.

— A to? — zawołał, wskazując strzępki jej listu.

— To — to była pomyłka — rzekła.

— Przypuszczam — szepnął z goryczą.

— Chciałam być wierna samej sobie — Alvanie — i... uczciwa względem ciebie...

— Byłoby bardziej celowe, gdybyś chciała była pozostać wierną mnie — przerwał jej z gniewem. — Ja dochowałem ci wiary — a ty popsowałaś mi życie — nam obojgu... — Lecz po chwili nieprzeparłe zajęcie się własną osobą wzięło górę i aż podniósł głos, gdy zapytał z urazą: — No, i chciałbym wiedzieć, od jak dawna mię oszukiwałaś?

Wydała się niesłychanie zgorzona tem pytaniem. Nie czekał na odpowiedź, lecz kręcił się nieustannie, to podchodząc do niej, to odchodząc w drugi koniec pokoju.

— Chcę wiedzieć. Przypuszczam, że wszyscy wiedzą, prócz mnie — i to jest twoja uczciwość.

— Powiedziałem ci już, że niema nic więcej — rzekła z trudnością, jakby słowa ból jej sprawiały. — Nic z tego, co przypuszczasz. Nie rozumiesz mnie. Ten list to początek — i koniec.

— Koniec — ta sprawa nie ma końca — wykrzyknął niespodzianie. — Czy ty tego nie pojmujesz? Ja mogę... Początek...

Stanął i spojrzał jej w oczy tak badawczo, pragnąc zobaczyć, przeniknąć, pojąć, że aż tchu mu zabrakło.

— Boże! — wyrzekł, stając przed nią nieruchomo w tej inkwizytorskiej postawie na odległość kroku za ledwie. — Boże! — powtórzył powoli tonem, którego brzmienie, bezwiednie nienaturalne, było dla niego samego zupełną tajemnicą. — Boże — teraz już mógłbym uwierzyć, żeś... mógłbym uwierzyć wszystkiemu!

Obrócił się raptem na pięcie i począł przemierzać pokój z taką miną, jakby zrzucił z siebie ciężar wypowiedzenia ostatecznego wyroku na samego siebie — jakby powiedział coś, czego by nie chciał cofnąć, nawet gdyby mógł. Nie ruszyła się z miejsca, jakby wrosła w dywan. Wodziła oczyma za niespokojnymi ruchami mężczyzny, który unikał jej spojrzeń. Nie odrywała od niego badawczego, ciekawego, nieufnego wzroku szeroko otwartych oczu.

— Ależ ten chłop sterczał tu wiecznie, — wybuchnął nieprzytomnie. — Przypuszczam, że zawracał ci głowę — a, a... — Zniżył głos. — A ty — pozwoliłaś.

— A ja pozwoliłam — szepnęła, podchwytyjąc jego ton, tak, że głos jej zabrzmiał jak nieświadome, dalekie, niewolnicze echo.

Dwukrotnie powtórzył z uniesieniem:—Ty! Ty!— i przycichł. — Coś ty w nim widziała? — zapytał z nieudanem zaciekawieniem. — Zniewieściały, opasły osioł. Czego mogłaś... Czy nie byłaś szczęśliwa? Czyż nie miałaś wszystkiego, coś chciała? Szczerze powiedz, czy pod jakimkolwiek względem zawiodłem twoje oczekiwania? Zawiodłaś się co do naszego stanowiska — albo może widoków na przyszłość? Wiesz dobrze, że nie — że przechodzą oczekiwania twoje, gdy wychodziłaś za mnie...

Tak dalece zapomniał się, że aż gestykułował, unosząc się coraz bardziej.

— Czego mogłaś spodziewać się od takiego człowieka? To przybłąda — ordynarny przybłąda... Gdyby nie moje pieniądze... słyszysz?... moje pieniądze, nie wiedziałby, gdzie się obrócić. Jego rodzina nie chce mieć z nim nic do czynienia. Ten człowiek stoi poza towarzystwem — poza wszelką sferą. Jest pożyteczny, to prawda, to też dlatego ja... przypuszczałem, że jesteś dosyć bystra, aby to spostrzec... A ty... Nie! To nie do wiary! Co on ci mówił? Czy o niczyją opinię ci nie chodzi — czy niema na was, kobiety, żadnego hamulca na świecie? Czy pomyślałaś o mnie kiedykolwiek? Starałem się być dobrym mężem. Czy mi się nie powiodło? Powiedz mi — co ja zrobiłem?

W uniesieniu ujął głowę w obie ręce i powtórzył:

— Co ja zrobiłem?... Powiedz mi! Co?...

— Nic — odparła.

— Ach! Widzisz... więc nie możesz... — począł z triumfem, odchodząc, aż nagle, jakby odrzucony napowrót ku niej przez coś niewidzialnego, na co się natknął po drodze, zawrócił i krzyknął z rozpaczą:

— Cóż, u licha, chciałaś, abym robił?

Bez słowa podeszła wolno ku stołowi i, usiadł-

szy, oparła na nim łokieć, zasłaniając twarz ręką. Przez cały ten czas przypatrywał się jej bacznie, jakby w którym z jej dyskretnych ruchów spodziewał się znaleźć odpowiedź na swe pytanie. Nic jednak nie mógł z nich wyczytać, ani myśli jej przeniknąć. Starał się zapanować nad pragnieniem krzyknienia i, przeczekawszy chwilę, rzekł z gryzącem szyderstwem:

— Chciałaś, żebym pisał głupie wierszydła, siedywał godzinami wpatrzony w ciebie — rozmawiał o twojej duszy? Powinnaś była wiedzieć, że nie jestem z tego gatunku... Miałem coś lepszego do roboty. Lecz jeśli myślisz, że byłem całkowicie ślepy...

Uprzytomnił sobie w jednej chwili, że nasuwa mu się na pamięć nieskończone mnóstwo znaczących faktów. Przypomnił sobie miliony okazji, kiedy natrafiał na nie; pamiętał nie w porę przerwany gest jego pulchnej białej ręki, wniebowzięty wyraz jej twarzy, błysk sceptycznych oczu, urywki niezrozumiałych rozmów, których nie warto było słuchać, milczenia, nic nie mówiące w owym czasie, a dziś zdające się jasnymi jak słońce. Przypomnił sobie to wszystko. Nie był ślepy. O, nie! Świadomość ta przyniosła mu niesłychaną ulgę, wróciła mu całkowitą równowagę.

— Podejrzewać cię uważałem za niegodne siebie — rzekł z odcieniem wyższości.

Brzmienie tego zdania najwidoczniej posiadało jakąś moc magiczną, gdyż, zaledwie je wymówił, poczuł się niewymownie swobodny i natychmiast ogarnęło go radosne zdumienie z odkrycia, że mógł zdobyć się na tak szlachetne i prawdziwe wyrazy. Śledził wrażenie wywołane swemi słowami. Sprawily, że rzuciła mu przez ramię szybkie spojrzenie. Dostrzegł wilgotne rzęsy, zaczerwieniony policzek ze łzą, staczającą się szybko, a potem odwróciła się znów i siedziała, jak poprzednio, zakrywszy twarz rękami.

— Powinnaś być ze mną zupełnie szczerą, — rzekł powoli.

— Wiesz wszystko — odparła niewyraźnie przez palce.

— Ten list... Tak... ale...

— I wróciłam — zawołała stłumionym głosem, — wiesz wszystko.

— Rad jestem ze względu na ciebie — rzekł z powagą, obliczoną na wywołanie wrażenia. Słuchał sam siebie z uroczystym wzruszeniem. Zdawało mu się, że coś niewymownie ważkiego poczyna dzieć się w pokoju, że każde słowo i gest każdy mają znaczenie wydarzeń zapisanych od początku wszechrzeczy i tak ostatecznych, że mieści się w nich całokształt celu stworzenia.

— Ze względu na ciebie, — powtórzył.

Ramiona jej trzęsły się jakby od lkań, on zaś zapatrzył się w jej włosy. Nagle drgnął, jakby ocknąwszy się, i zapytał bardzo łagodnie, prawie szeptem:

— Często spotykałaś się z nim?

— Nigdy! — krzyknęła z twarzą ukrytą w dłoniach.

Odpowiedź ta, zdało się, odebrała mu mowę. Poruszał przez jakiś czas wargami, zanim głos mógł wydobyć.

— Wolałaś romansować tu — pod samym moim nosem, — rzekł z wściekłością. Uspokoił się natychmiast i zrobiło mu się nieprzyjemnie, zupełnie jakby tym wybuchem obniżył się w jej oczach. Wstała i z ręką na poręczu krzesła spojrzała mu w twarz już zupełnie obeschniętymi oczyma. Na policzki jej wystąpiły krwawe plamy.

— Kiedy postanowiłam pojsć do niego, — wówczas napisałam, — rzekła.

— Ale nie poszłaś, — podjął tym samym tonem. — Jak daleko już byłaś? Co cię skłoniło do powrotu?

— Nie znałam jeszcze samej siebie, — szepnęła i w całej nieruchomej jej postaci poruszyły się tylko usta. Przypatrzył się jej surowo.

— Czy spodziewał się tego? Czekał na ciebie? — zapytał.

Odpowiedziała zaledwie dostrzegalnem skinieniem, a on nie przestawał przypatrywać się jej przez czas jakiś w milczeniu. Wreszcie zapytał szybko —

— I czeka jeszcze dotychczas, nieprawdaż?

Znów zdawało się, że skinęła głową. Niewiadomo dlaczego uczuł, że musi dowiedzieć się, która godzina. Posępnie spojrzął na zegarek. Pół do ósmej.

— Czekasz? — mruknął, chowając zegarek. Podniósł na nią wzrok i nagle, jakby uderzony tragicznym komizmem sytuacji, parsknął szyderycznym śmiechem, zdławionym natychmiast.

— Nie! To niesłychane! — mruknął, podczas gdy stała przed nim, przygryzając dolną wargę, jakby pogrążona w głębokiej zadumie. Roześmiał się znów, cicho tym razem, śmiechem tak mściwym jak przekleństwo. Niewiadomo czemu uczuł taką nagłą nieprzewartą niechęć do przejawów istnienia — do faktów w ogólności — taki niezmierny wstręt na myśl o tych wszystkich niezliczonych przeżytych już dniach. Był znużony. Myślenie wydało mu się pracą nad siły. Rzekł: —

— Oszukiwałaś mnie — teraz zadrwiłaś sobie z niego... To okropne! Dlaczego?

— Oszukałam samą siebie! — zawołała.

— Och! Nie mów głupstw! — odparł ze zniecierpliwieniem.

— Gotowa jestem odejść, jeśli sobie tego życzysz — ciągnęła szybko. — Należało, abyś był powiadomiony — abyś wiedział. Nie. Nie mogłam! — krzyknęła i nie ruszając się z miejsca, ukradkiem łamała dłoń.

— Cieszę się, żeś uczuła żal, zanim było zapóźno — odezwał się głucho, patrząc na buty. — Cieszę się... z tego przebłysku sumienia — mówił cicho, jakby do siebie. Po chwili milczącego namysłu podniósł głowę. — Cieszę się, że pozostała ci jeszcze choć odrobina poczucia przyzwoitości, — dodał trochę głośniej. Zawałał się, patrząc na nią, jakby rozważał możliwe konsekwencje tego, co chciał powiedzieć, wreszcie wyrwało mu się: —

— A przecie — kochałem cię...

— Nie wiedziałam, — wyszeptwała.

— Wielki Boże! — wykrzyknął. — Więc, jak myślisz, dla czego ożeniłem się z tobą?

Niedelikatność jego zaślepienia rozgniewała ją.

— Hm — dlaczego? — rzekła przez zęby.

Zdawał się być zdjęty przerażeniem i jakby z lękiem wpatrywał się bacznie w jej usta.

— Wyobrażałam sobie rozmaite powody, — zaczęła powoli i urwała. Czekał z zapartym oddechem. Wreszcie przemówiła w zadumie, jakby myśląc głośno. — Staralam się zrozumieć. Staralam się uczciwie... Dlaczego? Aby zrobić to, co się zwykle robi... przypuszczam... Aby sobie dogodzić.

Oddalił się żywo, a gdy znów podszedł tuż do niej, twarz miał oblaną rumieńcem.

— Zdawałaś się także niezgorzej zadowolona — swego czasu, — zasyczał z roznoszącą go wściekłością. — Nie potrzebuję pytać, czy mnie kochałaś.

— Teraz wiem, że wcale nie byłam zdolna kochać, — odparła spokojnie. — Gdybym była wiedziała wówczas, może nie byłbyś się ze mną ożenił.

— Z pewnością nie, gdybym cię był znał, — jak cię znam obecnie.

Zdało mu się, iż widzi siebie w chwili oświadczenia — w odległej przeszłości. Wstępowali po lekkiej pochyłości gazonu. W powodzi słonecznej dokoła nich

porozrzucane były grupy ludzi. Na niskiej trawie leżały nieruchome cienie liściastych gałęzi. Pomiedzy drzewami przesuwaly się kolorowe parasolki, niby czujne jaskrawe motyle, fruwające bez trzepotu. Panowie uśmiechnięci uprzejmie lub zgoła poważni, opancerzeni w czarne nieskazitelne ubrania, towarzyszyli paniom w jasnych letnich sukniach, których gromadki naprowadzały na myśl czarodziejskie baśni o zaczarowanych ogrodach, gdzie ożywione kwiaty uśmiechają się i rzucają urok na rycerzy. A wszystko było spowite w atmosferę pogodnego zbytku, przeniknięte delikatnem drżeniem upojenia, poczuciem całkowitego bezpieczeństwa, powstałego jakby z nieświadomości zła; wywołało to w nim nadprzyrodzoną wiarę, że szczęście jest udziałem ludzkości i wzbudziło nieliczące się z niczem fantastyczne pożądanie, aby zatrzymać natychmiast na niepodzielną własność cząsteczkę tej wspaniałości, nieskażonej cieniem najlżejszej myśli. Dziewczyna szła u jego boku przez otwartą przestrzeń; nikogo nie było w pobliżu i nagle stanął, jakby natchniony, i przemówił. Przypomniał sobie, jak patrzył w jej niewinne oczy, na jej czyste czoło, jak rozejrzał się szybko dokoła, czy nikt ich nie obserwuje i pomyślał, że od świata, obejmującego tyle wdzięku, czystości i dystynkcji, niepodobna spodziewać się żadnego zawodu. Czuł się z niego dumny. Był jednym z jego twórców, posiadaczy, stróżów, głosicieli chwały. Chciało mu się ogarnąć go potężnym uchwytem, wyciągnąć z niego tyle rozkoszy, ile się tylko da, i wobec niezrównanej jakości tego świata, nieskazitelnej atmosfery w nim panującej, zetknięcia się z niebem, które sobie wybrał, ten podmuch brutalnego pożądanego wydał mu się najszlachetniejszą z aspiracyj. W jednej sekundzie przeżył na nowo wszystkie te chwile, a przytem tak żywo stanął mu w oczach cały ogrom zawodu, że aż czuć było łyzy

w głosie, gdy wyrzekł prawie bez zastanowienia: —
— Mój Boże! Kochałem cię naprawdę! —

Ja jakby wzruszyło uczucie dźwięczące w jego głosie. Wargi jej zadrżały lekko i postąpiła niepewnie jeden krok w jego kierunku, wyciągając ręce błagalnym ruchem, gdy spostrzegła, w porę na szczęście, iż zaabsorbowany tragedją własnego życia absolutnie zapomniał o jej istnieniu. Zatrzymała się, wyciągnięte ręce opadły powoli. Alvan z twarzą zmienioną przez gorzką refleksję, nie widział ani ruchu jej, ani gestu. Gniewnie tupnął nogą, potarł czoło i wybuchnął —

— Co ja teraz pocznę u licha?

Uspokoił się znów. Zdawało się, że zrozumiała i bez wahania postąpiła ku drzwiom.

— Bardzo proste — odchodzę, — rzekła głośno.

Na dźwięk jej głosu drgnął ze zdziwienia, spojrział na nią nieprzytomnie i zapytał uszczypliwie: —

— Ty... Dokąd? Do niego?

— Nie — sama — żegnam cię.

Naoślep wyciągnięte palce jej tak zachrobotwały klamką, jakby nie mogła trafić do niej, szukając wyjścia z ciemnego pokoju.

— Nie — czekaj! — zawołał.

Głos jego jakby echem dobiegł jej uszu. Hervey zobaczył, że ramieniem wsparła się o framugę. Zachwiała się, jak odurzona. Przez ułamek sekundy oboje stali jakby na samym skraju moralnego unicestwienia, gotowi do upadku w jakąś czyhającą nicość. Wtem prawie jednocześnie Hervey krzyknął: —
— Wróć się! — a ona wypuściła klamkę z ręki. Obróciła się ku niemu ze spokojną rozpaczą, jak ktoś, co dobrowolnie odrzucił ostatnią nadzieję i pokój, który miała przed oczyma, wydał jej się przez chwilę straszonym, i ciemnym, i bezpiecznym — jak grób.

— Tak się skończyć nie może... Usiądź — przemówił ochryplym urywanym głosem i, podczas gdy przechodziła przez pokój do krzesła o niskiem oparciu, stojącego przed toaletą, otworzył drzwi i wychylił głowę, aby wyrzeć i posłuchać. W domu było cicho. Powrócił uspokojony i zapytał: —

— Czy mówisz prawdę?

Skinęła głową.

— A jednak żyłaś kłamstwem, — rzekł podejrzliwie.

— Ach! Tyś je tak ułatwiał, — odparła.

— Mnie robisz zarzut — mnie!

— Jakżebym mogła? — rzekła. — Nie chciałybym, abyś był inny — teraz.

— Co rozumiesz przez... — zaczął, a potem urwał i, nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: — nie chcę pytać o nic. Czy ten list — to najgorsze ze wszystkiego?

Nerwowo poruszyła rękoma.

— Muszę mieć odpowiedź jasną, — rzekł, unosząc się.

— A więc nie! Najgorszy jest mój powrót.

Nastąpiła chwila grobowej ciszy, podczas której wymieniali badawcze spojrzenia.

Przemówił z wyższością. —

— Nie wiesz, co mówisz. Pomieszało ci się w głowie. Musisz być nieprzytomna, bo inaczej nie mówiłabyś nic podobnego. Nie panujesz nad sobą. Nawet w skrusze... — Umilkł na chwilę, a potem rzekł z uroczystą miną: — Panowanie nad sobą jest wszystkim w życiu, proszę cię. Zapewnia szczęście, godność... wszystko.

Szarpała nerwowo chustkę, on zaś nie przestawał pilnie śledzić wrażenia swych słów. Ale nie dojrzał nic zadawalającego. Tylko gdy począł mówić na nowo, zakryła twarz obiema rękami.

— Widzisz, dokąd prowadzi brak panowania nad sobą. Do cierpienia — upokorzeń — utraty szacunku, przyjaciół, wszystkiego, co uszlachetnia życie, co... Do wszelkich okropności — dokończył nagle.

Ani drgnęła. Przez jakiś czas patrzył na nią w zamysleniu, jakby reasumując smętne refleksje, wywołane widokiem tej upadłej kobiety. Oczy jego przybrały wyraz skupiony i pochmurny. Był niezmiernie przejęty ważnością chwili, do głębi odczuwał wzniosłość sytuacji. I bardziej niż kiedykolwiek ściany jego domu zdawały się być przybytkiem świętych ideałów, na ołtarzu których gotów był złożyć wspaniałą ofiarę. Był arcykapłanem tej świątyni, surowym stróżem formułek, rytuałów, czystego ceremonjału, kryjącego poza sobą ponure zwątpienia życiowe. Nie on jedyny. Inni również — i najlepsi z pośród ludzi — pełnili straż u kamieni ofiarnych, co były ołtarzami tego wygodnego kultu. Niejasno zdawał sobie sprawę, iż był częstką jakiejś olbrzymiej dobroczynnej potęgi, która ma w pogotowiu nagrodę za wszelką dyskrecję. Posiadł niewzruszoną mądrość milczenia, osłonięty tarczą niezłomnych przekonań, które trwać będą na wieki i oprą się wszelkim atakom — głośnym złorzeczeniom odszczepieńców i ukrytemu znużeniu wyznawców. Zawarł przymierze z bezmiarem korzyści, płynących z przemilczenia. Był przedstawicielem siły moralnej, jaką posiada piękna wstrzeźliwość języka, mająca moc zwalczania wszelkich niedoborów życia — strachu, klęsk, grzechu — nawet śmierci samej. Zdawało mu się, iż, gdyby zechciał, mógłby triumfalnie jednym zamachem oczyścić życie ludzkie z wszelkich urojonych tajemnic. Przecież to takie proste.

— Spodziewam się, że zrozumiałaś już teraz całą niedorzeczność — ostateczną niedorzeczność — zejścia z drogi prawej, — począł posępnym uroczy-

stym tonem. — Ale musisz szanować warunki życia, w jakich się znajdujesz, albo stracisz wszystko, co one ci dają. Wszystko! Bez wyjątku!

Zatoczył krąg ręką i trzy identyczne odbicia jego twarzy, ubrania, jego surowej powagi i uroczystego smutku powtórzyły szeroki gest, który rozmachem swym obejmował i wskazywał cały ogrom słodczy moralnych, ogarniał ściany, makaty, cały dom, cały tłum domów okolicznych, wszystkie te wątle niezbadane katakumby żywotów ludzkich o drzwiach ponumerowanych niby cele więzienne i tak nieprzeniknionych jak granit grobowców.

— Tak! Panowanie nad sobą, obowiązek, wierność — niezłomna wierność temu, czego od ciebie spodziewać się należy. To — to jedynie — zapewnia nagrodę, spokój. Resztę całym wysiłkiem winniśmy ujarzmić — zniweczyć. A ta reszta to nieszczęście, choroba. To jest straszne — straszne. Nie powinniśmy wcale wiedzieć o tej reszcie — nie potrzebujemy wiedzieć. Jest to obowiązkiem naszym względem nas samych — względem bliźnich. Nie sama jedna żyjesz na świecie — a jeśli nie żywisz szacunku dla dostojności życia, inni go żywią. Życie jest poważne. Jeśli nie dostrajasz się do najwyższych wytycznych, przestajesz być kimś — jest to jakgdyby śmierć. Nie uświadomiłaś sobie tego? Dostyc tylko obejrzeć się dokoła, a przekonasz się o prawdzie moich słów. Żyłaś, nie spotrzegając nic, nic nie rozumiejąc? Od dziecka miałaś przed oczyma przykłady — codzień mogłaś oglądać piękno i błogosławieństwo moralności, zasad... —

Głos jego wznosił się i opadał pompatycznie niby dziwny poważny śpiew. Nieruchome oczy miały wyraz egzaltacji i uporu, twarz skupiona i nieugięta pełna była dziecinnego triumfu, wywołanego przez ponure nieświadome natchnienie, które owładnęło

nim, kipiało mu w piersi i wprowadzało w proroczy zapał. Od czasu do czasu w zależności od potrzeby prawą rękę podnosił ponad głowę i zwysoka przemawiał do tej grzesznicy w duchu cnoty - mścicielki, z radością głęboką i czystą, jakby ze swego stromego szczytu widział, jak każde z tych ważkich słów uderza i rani niby karzący kamień.

— ...nieugiętych zasad — dążenia ku temu, co dobre, — dokończył po przerwie.

— A co jest dobre? — zapytała niewyraźnie, nie odkrywając twarzy.

— Masz chory mózg! — krzyknął z surową wyniosłością. — Takie pytanie jest głupstwem, nie wartem funta kłaków. Obejrzyj się dokoła — tam jest odpowiedź dla ciebie, jeśli tylko chodzi ci o to, aby ją znaleźć. Nic nie może być dobre, co tylko gwałci przekazane nam wierzenia. Sumienie twoje ci to mówi. A zostały nam przekazane, bo są najlepsze, najszlachetniejsze, jedynie możliwe. One nie przemną...

Nie mógł oprzeć się przyjemności konstatowania filozoficznego rozmachu swych poglądów, a jednocześnie nie mógł zdobyć się na przerwę, aby napawać się nim, bo unosiło go natchnienie, prowadził głos szczytnych prawd.

— Musisz szanować moralne podstawy społeczeństwa, które zrobiło cię tem, czem jesteś. Docho-
waj mu wiary. Tak każe obowiązek—honor—uczciwość.

Czuł w sobie taki żar, jakby połknął coś gorącego. Podeszedł o krok bliżej. Wyprostowała się na krześle i patrzyła na niego z pożądliwem oczekiwaniem, które podniecało go w odczuwaniu najwyższej powagi chwili. Jakby zapominając się, począł mówić bardzo podniesionym głosem.

— Co jest słuszne? — pytasz mię. Pomyśl tylko. Czemże stałabyś się, uciekłszy z tym przeklętym włóczęgą?... Kim byłabyś?... Ty! Moja żona!...

Spostrzegł w stojącym lustrze odbicie swoje w całej wysokości o twarzy tak białej, że zdaleka oczy wyglądały, jak dwa czarne doły w trupiej czaszce. Miał taki wygląd, jakby podniesionemi rękoma zamierzał rzucić kłatwę na jej pochyloną głowę. Zawstydził się tej nieprzystojnej postawy i z pośpiechem włożył ręce do kieszeni. Ona wyszeptała cicho, jakby do siebie:—

— Ach! A kimże jestem teraz?

— Tymczasem jesteś jeszcze panią Alvanową Hervey — na wielkie twoje szczęście, pozwól sobie powiedzieć — odparł tonem swobodnej rozmowy. Odszedł w najdalszy kąt pokoju i, zawróciwszy, ujrzał ją bardzo wyprostowaną na krześle z rękami splecionymi na kolanach, z nieruchomemi niewidzącemi oczyma, utkwionemi bez zmrużenia powiek, niby oczy ślepcy, w gazowy płomień, żarzący się spokojnie w paszczy brązowego smoka.

Podszedł tuż do niej i, rozstawiwszy nogi, stał jakiś czas, patrząc jej w twarz, nie wyjąwszy rąk z kieszeni. Wyglądał, jakby miał nagromadzony w głowie nadmiar słów, z których starał się ułożyć następną przemowę.

— Wystawiłaś mię na najcięższą próbę, jaka tylko być może—powiedział wreszcie i, jak tylko wyrzekł te słowa, natychmiast stracił moralne oparcie i uczuł, że zmiotła go z jego wyżyny fala gwałtownej urazy do tej partaczki, która o mało co nie popsuka mu życia. — Tak, doświadczyłaś mię ponad ludzką możność wytrzymania — ciągnął z cnotliwą goryczą. — Tak się nie godzi. Co cię opętało, żeś... Co cię opętało?... Napisać taki... Po pięciu latach szczęścia bez chmurki. Słowo daję, niktby nie uwierzył. Czy nie czułaś, że nie będziesz mogła zdobyć się na to? Teraz wiesz, że to było niemożliwe... bo nie byłaś zdolna. Czy nie tak? Pomyśl. Czy nie tak?

— To było niemożliwe,—wyszeptała posłusznie.

To potwierdzenie wyrażone z taką gotowością nie ułagodziło go, nie wbiło w pychę, przeciwnie, niewiadomo dlaczego napełniło go przerażeniem, jakie nas ogarnia, gdy w sytuacji, którą przyzwyczailiśmy się uważać za absolutnie pewną, spostrzegamy nagle bliskie i niespodziewane niebezpieczeństwo. Zaiste, to było niemożliwe! Wiedział o tem dobrze. I ona wiedziała. Przyznała sama. Niemożliwe! Tamten wiedział również — jak każdy zresztą — nie mógł nie wiedzieć. A jednak tych dwoje uknuło spisek na jego spokój—przedsięwzięło zbrodniczy zamiar, w którego wykonalność sami uwierzyć nie mogli. Nie mogli! Nie mogli. A jednak jak już blisko... Z dreszczem ujrzał siebie jako nieszczęsną postać, osamotnioną wpośród rozpasanego, niesfornego, rozkiełzanego szaleństwa. Nie można nic przewidzieć, ani przepowiedzieć, nie można zabezpieczyć się przed niczem. Uczucie to było nie do zniesienia, miało w sobie coś z druzgoczącej rozpacz, która następuje po utracie wszelkiej nadziei. Jedno mgnienie i cały ten bezczeszczący epizod zdał się wyzwolony z rzeczywistości, z ziemskich warunków, nawet z ziemskiego cierpienia, stał się okropną czystą świadomością, unicestwiającą świadomością jakiejś ślepej piekielnej potęgi. Przeszyło go niesformułowane, szaleńcze pragnienie ukorzenia się przed tajemniczymi popędami zła, błagania o litość—a potem przyszła refleksja, perswazja, pewność, że aby umożliwić sobie życie, należy zapomnieć o złem — zignorować je rozmyślnie, usunąć świadomość z mózgu, z widnokągu, tak jak z codziennego życia usuwa się świadomość niechybnej śmierci. Uczynił wewnętrzny wysiłek i zaraz wydało mu się to bardzo łatwe, zdumiewająco łatwe do wykonania, byle tylko ściśle trzymać się faktów, zważać na sytuacje przez nie wytwarzane, nie na ich znaczenie. Spostrzegłszy, że milcze-

nie trwa już za długo, odchrząknął ostrzegawczo i rzekł opanowanym głosem: —

— Rad jestem, że to czujesz... niewymownie rad... że spostrzegłaś się w porę. Bo, czy nie widzisz... — zawahał się niespodzianie.

— Tak... widzę, — szepnęła.

— Wiedziałem to,—rzekł, patrząc na dywan, jak ktoś, co mówiąc, myśli o czym innym. Podniósł głowę. — Nie mogę uwierzyć, nawet po tem, co zaszło — nawet po tem—że jesteś zupełnie—zupełnie... inna, niż myślałem. Wydaje mi się to zupełnie niemożliwe.

— Mnie także, — uleciało z jej ust jak tchnienie.

— Tak—teraz—odparł,—ale dzisiejszego ranka? A jutro?... To właśnie...

Zdziwił się własnemu rozpędowi i urwał raptownie. O czemkolwiek pomyślał, wszystko zdawało się prowadzić do tego królestwa beznadziejnego rozkiełznanego szалу, wszystko zdawało się przywoływać świadomość i lęk przed potęgami, które powinno się ignorować. Powiedział szybko.

— Moje położenie jest bardzo przykre—trudne... Czuję, że...

Utkwił w niej wzrok tak cierpiący, jakby nagle stracił możność wyrażenia myśli, cisnących mu się do głowy.

— Jestem gotowa odejść,—rzekła bardzo cicho. — Pozbawiłam się prawa do wszystkiego... aby dowiedzieć się... dowiedzieć się...

Głowa opadła jej na piersi, głos rozplynał się w westchnieniu. Przytaknął lekkim niecierpliwym ruchem.

— Tak! Tak! Bardzo dobrze... naturalnie. Pozbawiłaś się prawa — ach! Moralnego — jedynie moralnego... jeśli mam ci wierzyć...

Aż drgnął, tak żywo się zerwała.

— Wierzę, wierzę — wyrzekł pospiesznie, a ona tak nagle usiadła, jak powstała z krzesła. Ciągnął dalej posępnie: —

— Cierpiałem — cierpię i teraz. Nie możesz pojąc jak bardzo. Tak bardzo, że gdy proponujesz mi rozstanie się, myślę prawie... Ale nie. Pozostaje mi obowiązek. Zapomniałaś o nim, a ja nigdy. Bóg świadkiem, nigdy. Lecz w chwili takiej strasznej próby — rozsądek schodzi na manowce — chwilowo przynajmniej. Widzisz, ty i ja — przynajmniej ja tak sądzę — ty i ja stanowimy jedność wobec świata. Tak, jak być powinno. Świat ma słuszość — naogół — inaczej nie mógłby — być tem, czem jest. A my stanowimy jego cząstkę. Mamy obowiązek względem bliźnich, którzy nie życzą sobie... aby... ę...

Zająknął się. Patrzyła na niego szeroko rozwartemi oczyma, rozchyliła lekko wargi. Ciągnął dalej przez zęby. —

— Ból... Oburzenie... Napewno nie zrozumianoby. Dosyć już cierpiałem. Ale jeśli nie zaszło nic niepowetowanego — jak mię zapewniasz... to...

— Alvaniel! — krzyknęła.

— Co? — zapytał zgryźliwie. Przypatrzył się jej przez chwilę posępnym wzrokiem, jakim się patrzy na ruiny, na spustoszenie sprawione przez jakiś kataklizm.

— Więc — ciągnął po krótkiej przerwie — najlepiej byłoby... najlepiej dla nas... dla wszystkich... Tak... najmniej bólu — najmniej egoizmu... — Głos mu się załamał i usłyszała tylko oderwane słowa... — Obowiązek... Brzemie... My sami... Milczenie.

Nastąpiła chwila zupełnej ciszy.

— Zwracam się z tem wezwaniem do twego sumienia, — przemówił nagle tonem objaśniającym — abyś nie dodawała smutku do smutku, abyś lojalnie spróbowała pomóc mi do przejścia ponad tem w jakiś

sposób. Pamiętaj, bez żadnych zastrzeżeń. Lojalnie. Nie możesz zaprzeczyć, że stała mi się okrutna krzywda, i że — pominąwszy wszystko... moje przywiązanie zasługuje... — Urwał z widocznym pragnieniem usłyszenia jej odpowiedzi.

— Nie robię żadnych zastrzeżeń — odparła smutnie. — Jakżebym mogła? Zbadałam samą siebie i powróciłam do — oczy jej na sekundę błysnęły gniewem... — do tego — tego, co proponujesz. Widzisz... można mi... zaufać... teraz.

Słuchał każdego słowa z głęboką uwagą, a gdy skończyła, zdawał się oczekiwać dalszego ciągu.

— Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? — zapytał.

Ton jego zadziwił ją; odparła po cichu: —

— Powiedziałam prawdę. Cóż więcej powiedzieć mogę?

— Mogłaś była powiedzieć coś bardziej ludzkiego, do diabła! — wybuchnął. — To nie nazywa się prawdą — jeśli chcesz wiedzieć. Ani słowa dowodzącego, że rozumiesz swoje położenie i — moje. Ani jednego słowa uznania, żalu — skruchy... czegokolwiek.

— Słowa! — szepnęła tonem, który go podrażnił.

— To jest niesłychane! — zawołał. — Słowa? Tak, słowa. Słowa mają znaczenie — tak — mają — pomimo całej tej przekłętej afektacji. Znaczenie dla mnie — dla każdego — dla ciebie. Czemże innem posługiwałaś się dla wyrażenia tych sentymentów — sentymentów — ph! — kóre kazały ci zapomnieć o mnie, o obowiązku, o wstydzie!... — Zapienił się, aż lęk ją zdjął na widok tej raptownej furji. — Rozmawialiście tylko oczyma? — bluzgnął. Wstała.

— Tego znieść nie mogę, — rzekła, trzęsąc się od stóp do głów. — Odchodzę.

Stali naprzeciw siebie, mierząc się oczyma.

— Ani mi się waż,—odparł, świadomie przybierając szorstki ton i począł chodzić po pokoju. Przez chwilę stała nieruchoma, jakby wsłuchując się w bicie własnego serca, a potem powoli osunęła się na krzesło i westchnęła, jakby zaniechawszy zadania ponad siły.

— Bierzesz naopak wszystko, co mówię — począł spokojnie — wolę jednak przypuszczać, że — obecnie nie odpowiadasz za siebie. — Znow stanął przed nią. Straciłaś równowagę umysłową — rzekł z namaszczeniem.—Odejść teraz, znaczyłoby przypieczętować szaleństwo zbrodnią. Nie dopuszczę do skandalu w mojem życiu — wszystko jedno za jaką cenę. A dlaczego? Z pewnością źle mnie zrozumiesz — ale ci powiem. Ze względu na obowiązek. Tak. Ale ty z pewnością źle mnie zrozumiesz—z całą lekkomyślnością. Kobiety zawsze źle rozumieją, — bo mają — umysł za... za ciasny.

Poczekał chwilę, ale ona milczała, nawet nie spojrzała na niego. Zrobiło mu się niemiło, bardzo niemiło, jak zwykle, gdy podejrzewamy, że budzimy niesłuszną nieufność. Aby pokonać to nieznośne uczucie, zaczął znow mówić bardzo szybko. Dźwięk własnych słów podniecał go, a z toku rwących myśli wyłaniała mu się chwilami niedostępna opoka jego przekonań, górująca w swem szczytnem osamotnieniu ponad jałową pustacją błędów i namiętności.

— Gdyż jest oczywiste, — mówił z nerwowem ożywieniem — jest oczywiste, że stojąc na najwyższym poziomie, nie mamy prawa — nie, nie mamy prawa narzucać naszej biedy tym — którzy z natury rzeczy spodziewają się od nas czegoś lepszego. Każdy pragnie, aby jego własne życie i życie dokoła niego było piękne i czyste. Tymczasem skandal w środowisku ludzi o stanowisku naszym jest klęską dla moralności — wywiera fatalny wpływ — czy nie rozumiesz tego — na ogólny ton całej klasy — bardzo

ważnej — twierdę z całym przekonaniem — najważniejszej wśród społeczeństwa. Wierzę w to najmocniej. To jest szeroki pogląd na rzeczy. Z czasem przyznasz mi... gdy staniesz się znów kobietą, którą kochałem — i której wierzyłem...

Urwał, jakby go coś zdusiło za gardło, a potem rzekł całkowicie innym tonem: — Bo kochałem cię i wierzyłem ci prawdziwie — i znów umilkł na chwilę. Przyłożyła chustkę do oczu.

— Uznasz słuszność moich pobudek. Zgrzeszyłaś przeciw lojalności względem poziomu naszego życia ty — ty właśnie! Nie jest to naturalnie sposób, w jaki się zwykle przemawia — ale w tym razie przyznasz... I zważ — niewinny cierpi wraz z winowajcą. Świat jest niemiłosierny w swych sądach. Na nieszczęście zawsze znajdują się na nim tacy, co najchętniej źle rozumieją. Wobec ciebie i własnego sumienia jestem bez winy, lecz niech choć słówko wydostanie się najaw — a wpływ mój poniesie wielki uszczerbek w sferach, w których... spodziewam się wkrótce... Sądzę, że całkowicie podzielałaś moje zapatrywania w tej kwestji — nie chcę więcej rozwodzić się... na... na ten temat, lecz, wierząc mi, że wówczas nie jest się egoistą, gdy znosi się krzyż swój — w milczeniu. Trzeba ideały zachować nietknięte — przynajmniej dla ludzi. To jest jasne jak słońce. Jeśli mię trawi obrzydliwy ukryty wrzód — dobrowolnie odkrywać go byłoby — wstrętne — wstrętne! Częstość w życiu — pojętem w najszczytniejszy sposób — niezachowanie milczenia w niektórych razach równa się zbrodni. Bo, widzisz, pokusa nie usprawiedliwia nikogo. W rzeczywistości niema jej, jeśli człowiek stale dba o swoje dobro — oparte na obowiązku. Lecz są ludzie słabi... — Na chwilę ton jego roznamiętnił się gniewem. — ...I są głupcy i zazdrośni, zwłaszcza względem ludzi na naszym stanowisku. Ja nie zawiniłem

w tem strasznem... odchyleniu z prawej drogi, ale jeśli nie zaszło nic niepowetowanego... — Chmurny cień przesunął mu się po twarzy — ...nic niepowetowanego — widzisz, że nawet teraz gotów jestem zaufać ci bez zastrzeżeń — jasnym jest, gdzie leży nasz obowiązek.

Spojrzał w dół. W wyrazie twarzy jego zaszła zmiana i bezpośrednio od potoku wymowy przeszedł do ckliwej kontemplacji pojednawczych prawd, które nie bez niejakiemu zdziwieniu odkrył niespodzianie w swej duszy. Podczas tego głębokiego i kojącego zlania się z najtajniejszą swą jaźnią wpatrywał się w dywan z twarzą uroczyście smętną i wyrazem próżni w oczach, które zdawały się spozierać w ziejący pustką otwór. A potem, nie zmieniawszy pozy, ciągnął:

— Tak. To jest zupełnie jasne. Zostałem wystawiony na ostateczną próbę,—i nie chcę udawać, że na chwilę dawne uczucia — dawne uczucia... — Westchnął. — Ale przebaczam ci.

Poruszyła się zlekką, nie odkrywając oczu. Nie zauważył tego, pochłonięty kontemplacją dywanu. Nastąpiła cisza, w domu i nazewnątrz, jakby słowa jego zatrzymały puls otaczającego życia, i jakby dom ten stał się samotny — niby jedyny przybytek mieszkalny na opustoszałej ziemi.

Podniósł głowę i powtórzył uroczyście:

— Przebaczam ci... przez poczucie obowiązku i — w nadziei...

Usłyszał śmiech i ten śmiech nietylko przerwał mu przemowę, ale zniweczył spokój zapamiętania się w sobie, tak jak nikczemna bolesna rzeczywistość wdarcie się swem niweczy przepiękny sen. Nie mógł zrozumieć, skąd ten dźwięk pochodzi. Widział w skrócie mokrą od łez, zbolałą twarz tej kobiety, wpółleżącej z głową odrzuconą na oparcie krzesła. Przyszło mu na myśl, że ten świdrujący krzyk był złu-

dzeniem. Lecz nowy ostry napad śmiechu, po którym nastąpiło łkanie, a potem znów przeraźliwy wybuch wesołości dosłownie poderwał go z miejsca, na którym stał. Skoczył ku drzwiom. Zakręcił kluczem i pomyślał: to na nic... — Przestań! — krzyknął i z przerażeniem spostrzegł, że ledwie dosłyszał własny głos wpośród jej krzyku. Zawrócił z impetem, zamierzając własnymi rękami zagłuszyć ten wrzask nie do zniesienia, lecz zatrzymał się oszołomiony, czując taką niemożliwość dotknięcia jej, jakby stała w ogniu. — Dosyć tego! — wrzasnął z twarzą nabiegłą krwią i wysadzonemi oczyma, jak ludzie krzyczą w zamieszaniu bójkii, a potem, jakby zmieciony nowym wybuchem śmiechu, zniknął w mgnieniu oka z trzech luster, przepadł nagle z przed jej oczu. Przez czas jakiś kobieta szlochała i śmiała się samotna w ciszy jasnego pustego pokoju.

Pojawił się znów, zdążając ku niej wielkimi krokami ze szklanką wody w ręce. Wyjąkał: — Histerja — Przestań — Usłysz — Napij się. — Śmiała się w sufit. — Przestań! — zawołał. — Ach! —

Chlusnął jej wodą w twarz, wbrew woli w ruch ten wkładając całą swą wewnętrzną brutalność, a jednak czuł, że byłoby zupełnie usprawiedliwione — u każdego — posłanie szklanki w ślad za wodą. Poha-mował się, lecz jednocześnie był tak przekonany, że nic nie jest w możności powstrzymania tego warjaciego krzyku, że gdy nastąpiło pierwsze wrażenie ulgi, nie wątpił ani na chwilę, że ogłuchł nagle. Gdy w następnej chwili upewnił się, że usiadła i była naprawdę bardzo spokojna, zdawało mu się, że wszystko się uspokoiło — i ludzie, i rzeczy, i uczucia. Gotów był czuć wdzięczność. Nie mógł oderwać od niej oczu; lękał się, choć nie chciał nawet dopuścić możliwości, że znów wybuchnie śmiechem, gdyż scena poprzednia, choć usiłował traktować ją pogarliwie, pozosta-

wiła mu wrażenie tajemnej trwogi. Twarz jej ociekała wodą i łzami, na czoło zsunął się kosmyk włosów, a drugi przylepił się do policzka; kapelusz miała śmiesznie przekrzywiony na bakier, mokra woalka wyglądała na czole jak brudny łachman. Wygląd jej nacechowany był ostatecznym zapomnieniem o sobie, zaniedbaniem wszelkiej bacności, tą brzydota prawdy, którą usuwa się z codziennego życia tylko za cenę nieustannej dbałości o zachowanie pozorów. Nie wiadomo dlaczego, gdy patrzył na nią, przyszło mu na myśl jutro. Czemu myśl ta wywołała uczucie głębokiego, niewypowiedzianego zniechęcenia — lęk przed korowodem następujących po sobie dni? Jutro! Było ono tak odległe, jak wczoraj. Bywa czasem, że pomiędzy dwiema jutrzniami upływają wieki. Badał jej twarz, jak zapomnianą okolicę. Nie zmieniła się — rozpoznawał punkty wytyczne — rzecz można; odnalazł jednak tylko podobieństwo do tej kobiety z dnia wczorajszego, nie ją samą. A może coś więcej niż kobietę z wczorajszego dnia? Kto wie? Czy było w niej coś nowego? Nowy wyraz — czy też nalot nowego wyrazu? coś głębokiego—objawiona odwieczna prawda, zasadnicza a ukryta prawda — jakiś niepotrzebny, przeklęty pewnik? Spostrzegł, że trząśł się cały, że miał w ręce pustą szklanę — i że czas mijał. Nie odrywając od niej wciąż jeszcze nieufnego wzroku, sięgnął ku stołowi, chcąc postawić szklanę, i zdziwił się, uczuwszy, że jakby przeszła na wskroś przez drzewo. Nie trafił na brzeg. Zdziwienie i lekki brzęk, spowodowany przez ten wypadek, wyprowadziły go zupełnie z równowagi. Zwrócił się do niej z irytacją —
— Co to ma znaczyć? — zapytał gniewnie.

Przeciagnęła ręką po twarzy i chciała wstać.

— Chyba nie zaczniesz znów warjować — rzekł.
— Słowo daję, nie przypuszczałem, że możesz zapomnieć się do tego stopnia.—Nie starał się ukrywać fi-

zycznego wstrętu, gdyż miał go za czysto moralne potępienie wszelkiego pozwalania sobie, wszystkiego, co leży w naturze „sceny”. — Wiesz, że to było oburzające, — ciągnął dalej. Popatrzył na nią przez chwilę. — Doprawdy — pozbawione wszelkiej godności — dodał z naciskiem.

Poderwała się z miejsca, jak podrzucona sprężyną i zachwiała. Instynktownie rzucił się ku niej. Uchwyciła za poręcz krzesła i odzyskała równowagę. To powstrzymało go w zapędzie i stali, patrząc na siebie rozwartymi oczyma, niepewni, a jednak powracający zwolna do rzeczywistości z ulgą i ciekawością, jakby zbudzeni po długiej nocy gorączkowych snów.

— Proszę cię, nie zacznij znów — rzekł z pośpiechem, widząc, że otwiera usta. — Należą mi się pewne względy — a takie nieobliczalne zachowanie się jest mi przykre. Spodziewam się czegoś lepszego... Mam do tego prawo...

Przycisnęła skronie obiema rękami.

— Och, głupstwo! — rzekł ostro. — Możesz śmiało zejść na obiad. Nikt nie powinien domyślać się czegokolwiek, nawet służba. Nikt! Nikt!... Pewien jestem, że możesz.

Ręce jej opadły, przez twarz przebiegło drżenie. Patrzyła mu prosto w oczy, niezdolna wymówić ani słowa. Zmarszczył brwi.

— Życzę sobie tego, — rzekł despotycznie. — Ze względu na ciebie również... — Zamierzał nie oszczędzać jej na tym punkcie. Dlaczego milczała? Obawiał się biernego oporu. Ona musi... Trzeba ją zmusić. Zmarszczka na czole jego pogłębiła się i począł już rozmyślać o jakimś skutecznym przymusie, gdy zupełnie niespodzianie odezwała się opanowanym głosem: — Tak, mogę — i znów chwyciła za poręcz krzesła. Odetchnął z ulgą i odrazu sposób jej zachowania przestał go interesować. Najważniejszym było,

że życie ich miało rozpocząć się na nowo od codziennej czynności — od czegoś co nie pozostawia żadnej wątpliwości, co, dzięki Bogu, nie ma żadnego moralnego znaczenia, nie wprowadza żadnych zawikłań — a jednak symbolizuje nieprzerwaną ich spójnię w przeszłości — w całej przeszłości. Tego ranka, przy tym samym stole jedli razem śniadanie, a teraz zasiądą do obiadu. Już po wszystkim! To, co zaszło w międzyczasie, musi pójść w niepamięć, jak wypadki, które zachodzą raz tylko — na przykład śmierć.

— Poczekam na ciebie—rzekł, idąc ku drzwiom. Miał z nimi pewen kłopot, bo nie pamiętał, że przekręcił klucz w zamku. Zły był na tę zwłokę i gdy manipulował przy zamku, świadomy obecności jej poza plecami, ta przeszkoda w niecierpliwej chęci opuszczenia pokoju przyprawiła go prawie o chorobę. Dał sobie nareszcie radę z drzwiami, a potem, wychodząc, obejrzał się przez ramię, mówiąc: — Wiesz — już późno — i zobaczył ją stojącą na tem samem miejscu z twarzą kredowo białą i nieruchomą jak w transie.

Obawiał się, że każe mu czekać na siebie, lecz zanim się obejrzał, znalazł się przy stole wraz z nią. Postanowił jeść, rozmawiać, być naturalnym. Wydało mu się konieczne zacząć oszukiwanie od własnego domu. Służba nie powinna nic wiedzieć — nic podejrzawać. To gwałtowne pragnienie zachowania tajemnicy, tajemnicy niewyjawionej, pochłaniającej, głębokiej, dyskretnej jak grób, opanowało go niby halucynacja—nawet w stosunku do martwych przedmiotów, codziennych towarzyszków jego życia. Pragnienie to nadawało piętno wrogości każdej poszczególnej rzeczy wśród wiernych ścian, które miały dzielić na zawsze bezwstyd faktów od oburzenia ludzkości. Nawet, gdy zdarzyło się parę razy, że obie służące wyszły razem z pokoju, usiłował pozostać naturalny, niesłychanie

głodny, wyszukanie swobodny, jakgdyby pragnął przekonać o swem niezamaconem szczęściu kredens z czarnego dębu, ciężkie kotary i sztywne krzesła. Niedowierzał żonie, że potrafi nad sobą zapanować, nie miał ochoty ani patrzeć na nią, ani z nią rozmawiać, bo trudno mu było przypuścić, aby mogła nie zdradzić się choćby jakimś lekkim ruchem lub pierwszym wymówionem słowem. Potem przyszło mu do głowy, że milczenie zalegające pokój staje się niebezpieczne i tak przesadne, że aż sprawia wrażenie hałasu nie do zniesienia. Zapragnął położyć mu koniec, jak się pragnie przerwać niedyskretne wyznania, lecz, pamiętając ten nieszczęsny śmiech na górze, nie śmiał dać jej sposobności do otwarcia ust. Nagle usłyszał jej głos, wypowiadający spokojnie jakąś błahą uwagę. Oderwał oczy od środka talerza i poczuł takie podniecenie, jakby miał spojrzeć na cud jakiś. A nic nie graniczyło bardziej z cudem, niż jej opanowanie się. Patrzył na jasne oczy, czyste czoło, na to, co latami widywał na tem miejscu, słuchał głosu, który zwykł był słyszeć codzień w ciągu lat pięciu. Może była trochę bledsza — lecz zdrowa bladość stanowiła dla niego zawsze jeden z głównych jej powabów. Może twarz miała zanadto nieruchomą — lecz ta marmurowa obojętność, ta wspaniała ociążałość niby cudownego posągu wykutego przez rzeźbiarza, nad którym zawisła klątwa bogów, ta imponująca bezmyślna nieruchomość jej rysów odzwierciadlały dla niego dotychczas spokojne dostojeństwo duszy, za której niezaprzeczonego władcę uważał się z całym przekonaniem. Były to zewnętrzne cechy, odróżniające ją od nikczemnej tłuszczy, co cierpi, upada, błądzi, lecz nie posiada żadnej innej wyraźnej wartości dla świata, prócz tej jednej, że stanowi kontrast moralny z pomyślnością wybranych. Był zwykle dumny z jej wyglądu, który miał w sobie szczerą właściwą doskonałość — a teraz uczuł się

zgorzony, spostrzegłszy, że wygląd ten nie uległ żadnej zmianie. Patrzyła tak i mówiła zupełnie tak samo—przed rokiem, przed miesiącem—wczoraj za ledwie, gdy... Wszystko jedno, co się działo w jej wnętrzu. O czym myślała? Co wyrażała ta bladość, ta łagodna twarz, czyste czoło, jasne oczy? Co myślała w przeciągu tych ubiegłych lat? Co myślała wczoraj — dziś, co myśleć będzie jutro? Musi się dowiedzieć... Ale jak? Postępowała obłudnie z nim, z tamtym człowiekiem, z sobą samą, gotowa była do obłudy — przez wzgląd na niego. Zawsze obłudna. Patrzyła kłamliwie, oddychała kłamstwem, żyła kłamstwem — kłamać będzie — zawsze — aż do końca życia! A on nigdy nie pozna jej myśli. Nigdy! Nigdy! Nikt. Niepodobna ich przeniknąć.

Raptownie opuścił nóż i widelec, jakgdyby mocą nagłego objawienia natchniony ujrzał truciznę na talerzu i doznał nieprzewyciężonego wrażenia, że póki życia już nie przełknie ani kęsa strawy. Obiad ciągnął się dalej w pokoju, w którym niewiedomo dla czego robiło się stopniowo goręcej niż w piecu. Musiał pić. Pił co chwila, aż opamiętawszy się nareszcie, przeraził się wypitą ilością i dopiero wówczas spostrzegł, że to, co pił z dwóch różnych szklanek do wina, była woda. Ten brak świadomości własnych uczynków dotknął go niemile. Skonstatowanie u siebie tak nie-normalnego stanu umysłowego wyprowadziło go z równowagi. Nadmierna uczuciowość — nadmierna uczuciowość, a jednym z jego artykułów wiary było, iż wszelka nadmierna uczuciowość jest niezdrowa — ujemna moralnie, jest skazą na męskości. To jej wina. Jej tylko. Jej zdrożne zapomnienie było zaraźliwe. Nasunęło mu myśli, których przedtem nigdy nie miał, myśli znieprawiające, dręczące, toczące jaźń do samego jądra, myśli, w których legła się trwoga przed

powietrzem, słońcem, ludźmi — jak w szeptem rozgłoszanej wieści o zarazie.

Dziewczęta obsługiwały ich bez hałasu. Chcąc uniknąć potrzeby spojrzenia na żonę, a pogrążony w myślach, wodził oczyma za jedną, potem za drugą, nie mogąc ich odróżnić. Poruszały się w milczeniu niewiedomo jakim sposobem, gdyż suknie ich brzegiem dotykały dywanu; sunęły tu i tam, oddalały się, zbliżały, sztywne w swej czerni i bieli, niby para marjonetek w żałobie. Kamiennie obojętny ich wygląd uderzył go jak coś nienaturalnego, podejrzanego, nieprzejednanie wrogiego. Nigdy poprzednio nie przeszło mu przez myśl, aby można pod jakimkolwiek względem liczyć się z uczuciami lub sądami takich ludzi. Miał przekonanie, że nie posiadają żadnych zapatrywań, żadnych zasad—żadnej subtelności i żadnej władzy. Obecnie jednak, upadł tak nisko, że nawet nie próbował ukrywać przed samym sobą, iż pragnie poznać tajne myśli swej służby. Parokrotnie spojrzał ukradkiem w twarze dziewcząt. Niepodobna nic z nich wyczytać. Służące zmieniały talerze, całkowicie ignorując jego istnienie. Co za nieprzenikniona obłuda. Dokoła niego kobiety, same kobiety. Niepodobna dowiedzieć się czegokolwiek. Ogarnęło go nurtujące, żrące uczucie niebezpiecznego osamotnienia, jakie czasami wystawia na próbę odwagę samotnego wędrowca w niezbadanym kraju. Wydało mu się, iż odetchnąłby z ulgą na widok męskiej twarzy — czyjejkolwiek aby męskiej. Wówczas mógłby dowiedzieć się czegoś — zrozumieć... Postanowił mieć służbę męską. W jak-najkrótszym czasie zgodzi lokaja. Wreszcie obiad się skończył — obiad, który zdawał się ciągnąć kilka godzin, a chwila ta zaskoczyła go tak zniecka, jakby spodziewał się, iż naturalnym biegiem rzeczy bez końca siedzieć będzie przy tym stole.

Na górze jednak, w salonie, ogarnął go niepokój, który żadną miarą nie dał mu spocząć. Żona jego osunęła się na fotel i, wzięwszy z podręcznego stolika wachlarz z kości słoniowej, zasłoniła nim twarz od ognia. Węgiel żarzył się bez płomienia, a na tle czerwonego żaru pionowe pręty kraty odcinały się u jej stóp niby czarne, pogięte, osmalone żebra ofiary całopalnej. W oddaleniu pod szkarłatnym abażurem paliła się lampa, stojąca na smukłym pręcie mosiężnym — stanowiąc gorejący ośrodek wśród cieniów rozległego pokoju, wśród gorącego półmroku, który w swem ciepłym zabarwieniu miał coś delikatnego, subtelnego i piekielnego zarazem. Odgłos jego cichych kroków i stłumione cykanie zegara na kominku odpowiadały sobie rytmicznie — jakgdyby czas i on, stanąwszy do miarowych zawodów, kroczyli wspólnie poprzez piekielny półmrok ku tajemniczemu celowi. Chodził z jednego końca pokoju w drugi bez przerwy, niby podróżny, który z uporem dąży nocą w jakąś drogę bez końca. Od czasu do czasu spoglądał na żonę. Niepodobna nic się dowiedzieć. Ścisłe ujęty całokształt tej myśli wyrażał dla jego praktycznego umysłu coś nieograniczonego i nieskończonego głębokiego, jakieś subtelne wszechogarniające uczucie, wieczyste źródło jego bólu. Ta kobieta przyjęła go, opuściła — powróciła do niego. A prawdy o tem nie dowie się nigdy. Nigdy. Do samej śmierci — po śmierci — ani w dzień sądu, kiedy wszystko stanie się wiadome, myśli, uczynki, nagroda i kara, tylko jedyna tajemnica serc powróci, na wieki nieznana, do Niezbadanego Stwórcy dobra i zła, do Pana zwątpień i odruchów.

Zatrzymał się, by spojrzeć na nią. Odchylona w tył z twarzą odwróconą od niego — siedziała nieruchomo, jakby uśpiona. O czem myślała, co czuła? I wobec bezwzględnej jej nieruchomości, wśród niezamąconej ciszy, poczuł się małym i bezsilnym niby

więzień w kajdanach. Wściekłość z powodu swej bezsilności przywołała mu przed oczy ponure obrazy, zbudziła w nim tę dręczącą zdolność wyobraźni, która w bolesnej chwili doznania krzywdy skłania człowieka do gróźb lub groźnych gestów w samotności pustego pokoju. Lecz napad szału minął natychmiast, pozostawiając tylko lekkie drżenie i trochę zaciekawienia i wyrozumowanego lęku, jak u człowieka, który zatrzymał się na samym progu samobójstwa. Pogodę prawdy i spokój śmierci osiągnąć można jedynie, wzgardziwszy wszelkimi korzystnymi więzami życiowymi. Doszedł do wniosku, że nie chce wiedzieć. Lepiej nie. Już minęło. Tak jakby nic nie zaszło. A dla nich obojga bardzo było potrzebne, należało im się moralnie, aby nikt się nie dowiedział.

Odezwał się nagle, jakby kończąc dyskusję.

— Najlepiej dla nas będzie zapomnieć o tem.

Drgnęła zlekka i ze szczękiem zamknęła wachlarz.

— Tak, przebaczyć — i zapomnieć — powtórzył jakby do siebie.

— Ja nie zapomnę nigdy — rzekła drżącym głosem. — I nigdy sobie nie przebaczę...

— Ale ja, co nie mam sobie nic do wyrzucenia... — zaczął, podchodząc ku niej. Zerwała się.

— Nie po przebaczenie twoje wróciłam — zawołała namiętnie, jakby odpierając krzywdzącą potwarz.

Wymówił tylko — och — i zamilkł. Nie mógł zrozumieć tej agresywności bez powodu i zaprawdę daleki był od zdania sobie sprawy, że bezwiedny odcień wzruszenia w ostatnich jego słowach wywołał ten nieopanowany wybuch szczerości. Dopełniło to miary jego zdumienia, lecz nie rozgniewało teraz wcale. Jakby to wszystko, czego nie pojmował, rzuciło nań znieczulający urok. Stała przed nim wysoka i niewyraźna, niby czarne widmo w czerwonym półmroku.

Wreszcie nie zdając sobie zupełnie sprawy, co może nastąpić, gdy otworzy usta, szepnął:

— Lecz jeśli miłość moja jest dosyć silna... — i zawahał się.

Wśród głuchoj ciszy usłyszał jakiś głośny trzask. To ona złamała wachlarz. Dwa cieniutkie kawałki kości słoniowej jeden po drugim bez szelestu upadły na gruby dywan; instynktownie schylił się, aby je podnieść. Gdy szukał ich po omacku u jej stóp, przyszło mu do głowy, że w dłoniach tej oto kobiety spoczywa niezbędny dar, którego nikt inny na świecie prócz niej dać nie może; a gdy wyprostował się znów, ogarnęła go nieprzeparta wiara w jakąś zagadkę; wiara, że oto na odległość ręki stoi przed nim tajemnica istnienia— pewnik bezcielesny i bezcenny, a nieuchwytny zarazem! Żona jego skierowała się ku drzwiom, a on szedł tuż przy niej, biedząc się nad wynalezieniem jakiegoś magicznego słowa, któreby rozwiązało zagadkę i zmusiło do poddania się ten czarodziejski dar. Zagadkę rozwiązuje się tylko przez poświęcenie, a niebiański dar dany jest do rąk każdemu. Lecz oni żyli w świecie, który ma odrazę do zagadek, a dba jedynie o te dary, które otrzymać może na ulicy. Zbliżyła się do drzwi. Rzekł pospiesznie:

— Daję ci słowo, że kochałem cię — i Kocham cię teraz. —

Zatrzymała się na prawie nieuchwytną chwilę, aby rzucić mu spojrzenie pełne oburzenia i znów szła dalej. Kobięca przenikliwość — mądra i zabarwiona odwiecznym instynktem samoobrony, tak gotowa widzieć przedewszystkiem zło w tem, czego nie rozumie — napełniła ją gorzką urazą do obydwu mężczyzn, którzy wobec duchowej tragicznej walki jej uczuć umieli zdobyć się jedynie na gruby wstrętny materjaлизм. W gniewie swym na niedołączną próbę oszukania samej siebie znajdowała dosyć nienawiści dla obydwu.

Czego chcieli od niej? Czego ten chciał jeszcze? I gdy znów znalazła się twarzą w twarz z mężem, który stał, trzymając rękę na kłamce, zadała sobie pytanie, czy on jest nie do darowania głupi, czy nikczemny po prostu.

Przemówiła nerwowo i bardzo szybko:

— Oszukujesz sam siebie. Nigdy mię nie kochałeś. Potrzeba ci było żony — kobiety — jakiegokolwiek kobiety, któraby myślała, mówiła, postępowała w pewien określony sposób — w sposób uznany przez ciebie. Kochałeś sam siebie.

— Nie wierzysz mi? — zapytał powoli.

— Gdybym wierzyła, że kochasz mnie — zaczęła namiętnie, poczem głęboko zaczerpnęła powietrza, a podczas tej przerwy jemu krew pulsowała w uszach, — gdybym wierzyła — nigdy nie byłabym wróciła — dokończyła z całą bezwzględnością.

Stał patrząc w dół, jakby nie słyszał. Czekwała. Po chwili otworzył drzwi i na podeście ukazała się niewidoma marmurowa niewiasta, spowita w draperję aż do podbródka, wyciągająca ku nim naoslep pęk świateł.

Zdawał się zatopiony w tak głębokiem rozmyślaniu, że, wychodząc, przystanęła, by przyjrzeć mu się ze zdziwieniem. Podczas gdy mówiła, zszedł na szlak zagadki, przeniósł się ze świata zmysłowego w krainę uczuć. Czy nie wszystko jedno, co zrobiła, co powiedziała, jeśli za cenę raniących jej czynów i słów osiągnął rozwiązanie zagadki! Niema życia bez wiary i miłości — wiary w serce ludzkie, miłości dla ludzkiej istoty! Tchnienie łaski, którego raz jedyny w życiu dostępują nawet najmniej zasłużeni, rozwarło przed nim wrota zaświatów; zapatrzony w bezcielesny drogocenny pewnik zapomniał o błahych wydarzeniach życiowych: o błogości korzystania z darów, o rozkoszy użycia, o wszelkich proteuszowo zmiennych i podnie-

cających formach pożądania rządzących zmysłowym światem błazeńskich uciech i marnych trosk. Wiara! — Miłość! — niezachwiana, czysta wiara w prawdziwość duszy — ogromna czułość, głęboka jak ocean, pogodna i wieczysta jak bezkresny spokój przestrzeni hen w górze ponad krótkotrwałymi ziemskimi burzami. Oto czego pragnął przez całe życie — lecz uświadomił sobie dopiero teraz po raz pierwszy. Osiągnął tę świadomość przez ból jej utraty. Ona rozporządzała tym darem! Tylko ona! I na całym świecie ona była jedyną istotą, która tym darem mogła nasycić jego bezgraniczne pragnienie. Postąpił krok naprzód, wyciągając ramiona, jakby chciał przyciągnąć ją do piersi, lecz podniósłszy głowę, spotkał się z wyrazem takiej szczerzej konsternacji, że ramiona opadły mu jak przetrącone. Odskoczyła od niego, potknęła się o próg i, znalazłszy się na podeście, skulona, odwróciła się szybko. Tren sukni z szelestem owinął się koło jej stóp. Dyszała, odsłaniając zęby i cała nienawiść do siły, pogarda dla słabości, odwieczny konflikt płci wydarł się z niej na jaw, jak djablik z pudełka za pociśnięciem sprężyny.

— To ohydne! — krzyknęła.

Nie poruszył się z miejsca, lecz wygląd jej, niespokojne jej ruchy i dźwięk głosu wytworzyły niby gęstniejącą mgłę faktów pomiędzy nim a jego wizją miłości i wiary. Mgła rozplynęła się — i patrząc na tę twarz triumfującą i gniewną, na tę białą twarz podstępną i nieoczekiwaną, jakby znieacka spoglądającą z zasadzki, zaczął powoli wracać do świata rzeczywistości. Pierwsza jasna myśl jego była: jestem mężem tej kobiety; następna: nie da mi nic prócz tego, co oczy zobaczą. Zapragnął nie chcieć widzieć. Lecz wspomnienie wizji, utrwalone na wieki w pamięci, zmusiło go do zwrócenia się do żony z naiwną surowością neofity, pozostającego pod grozą nowej wiary: — Ty

nie masz tego daru. — Odwrócił się od niej, pozostawiając ją zupełnie ogłupiałą. Poczęła powoli wstępować na schody, walcząc z niemiłym podejrzeniem, że postawiono ją wobec czegoś subtelniejszego niż ona sama—głębszego niż źle zrozumiany a tragiczny konflikt jej uczuć.

Zamknął drzwi od salonu i począł błędzić samotny wpośród gęstych i gorących mroków niby w eleganckim przybytku wiecznego potępienia. Ona nie miała tego daru—nikt go nie miał... Postawił nogę na książce, co spadła z jednego z przepełnionych stolików. Podniósł tomik i trzymając go w ręce, podszedł do szkarłatnej lampy. Gorąca barwa pogłębiła się na okładce i powykręcane złote litery, rozsiane po niej, wystąpiły, połyskując krwawo. „Ciernie i Arabeski”. Przeczytał po dwakroć „Ciernie i Ar...”. Tom poezji tamtego. Upuścił go, lecz nie uczuł najłżejszego drgnienia ządźrości czy oburzenia. Czy on wiedział?... Czy wiedział?... Stos rozżarzonych węgli osunął się w kominiku; obrócił się, by spojrzeć na nie. Ach! Tamten gotów był porzucić wszystko, co posiadał, dla tej kobiety — która nie przyszła, która nie miała na tyle wiary, miłości, odwagi, aby przyjść. Czego tamten oczekiwał, czego się spodziewał, czego pragnął? — Kobiety — czy tego pewnika bezcielesnego a drogocennego! Pierwszą nieegoistyczną myśl, jaką kiedykolwiek poświęcił istocie ludzkiej, zwrócił ku temu człowiekowi, który chciał mu wyrządzić straszliwą krzywdę. Nie czuł gniewu. Przygniatał go smutek nieosobisty, jakby bezbrzeżna melancholja całej ludzkości roz tęsknioniej za czemś, co się nie da osiągnąć. Poczul się bratem każdego człowieka —nawet tamtego —zwłaszcza tamtego. Co tamten myślał teraz? Czy przestał czekać — zaniechał nadziei? Czy przestanie kiedy czekać i spodziewać się? Czy zrozumie, że kobieta, która nie miała odwagi, nie miała i daru tego — nie miała daru!

Zegar zaczął bić i głębokie wibrujące dźwięki napełniły pokój niby odgłosem potężnego dalekiego dzwonu. Policzył uderzenia. Dwanaście. Zaczął się nowy dzień. Nadeszło jutro, tajemnicze i kłamliwe, co wabi ludzi, gardzących miłością i wiarą, wciąż dalej i dalej, poprzez ważne błahostki życia ku należynej zapłacie grobu. Policzył uderzenia i, wpatrzony w kominiek, zdawał się oczekiwać na więcej, a potem — jakby na czyjeś wezwanie — energicznym krokiem wyszedł z pokoju.

Znalazłszy się za drzwiami, usłyszał kroki w przedsionku i przystanął. Zasunięto jedną zasuwę, potem drugą. Zamykano na noc — odgradzając jego pożądanie i zawód od tchnącej oburzeniem krytyki świata, pełnego szlachetnych darów dla tych, co mienią się być bez skazy i zarzutu. On był bezpieczny, a wszędzie wokół jego domu służalcze lęki i służalcze nadzieje spały, śniąc o powodzeniu, za surową dyskrecją drzwi, równie nieprzeniknioną dla prawdy wewnątrz zawartej, jak granit grobowców. Szczęknięła zamek — zabrzączał łańcuch. Nikt się nie dowiel

Czemu ta pewność bezpieczeństwa cięższa mu była niż brzemień lęku i czemu dzień, co się rozpoczęła, uporczywie nasuwał się jako ostatni ze wszystkich dni — jak dziś bez jutra? A jednak nic się nie zmieniło, bo nikt się nie dowie, wszystko iść będzie jak dawniej, branie od życia, rozkosz używania, radość głodu nasycanego codziennie, szlachetne bodźce niezaspokojonej ambicji. Wszelkie — wszelkie radości życia. Wszelkie — prócz pewnika bezcielesnego a drogocennego — pewnika miłości i wiary. Wierzył, że cień tego pewnika towarzyszył mu odkąd mógł tylko sięgnąć pamięcią, że niewidzialna obecność kierowała jego życiem. A teraz, gdy cień ten pojawił się i zniknął, nie mógł ugasić w sobie tęsknoty za prawdą jego treści. Jego pożądanie tej

prawdy było naiwne, — równie potężne jak pragnienie dobrobytu, na którem opiera się istnienie, lecz w przeciwieństwie do tegoż — nie do przeciężenia. Był to subtelny despotyzm idei nieznoszącej współzawodnictwa, samotnej, niepocieszonej i groźnej. Wchodził wolno po schodach. Nikt się nie dowie. Dni iść będą za dniami, a on zajdzie daleko — bardzo daleko. Jeśli nie można ujarzmić idei — to można ujarzmić los — ludzi — świat cały. Wielkość tej perspektywy olśniła go; brutalny zmysł praktyczny krzyczał w nim, że tylko to warto posiadać, co się da osiągnąć. Zwolnił kroku na stopniach. W przedsionku światła pogasły i tylko mały żółty płomyk migał gdzieś na dole. Poczul dla siebie nagłą pogardę i to dodało mu bodźca. Ruszył znów naprzód, lecz u drzwi wspólnego pokoju, wyciągnąwszy już rękę do klamki, zawahał się. Poniżej na biegu schodów ukazała się głowa służącej, która skończyła zamykanie domu. Ręka mu opadła. Pomyślał: — Poczekam, aż przejdzie, — i cofnął się pomiędzy pionowe fałdy portjery.

Widział ją wynurzającą się stopniowo, jakby wznosiła się ze studni. Za każdym krokiem płomyk świecy chwiał się przed jej zmęczoną młodą twarzą, a ciemność przedsionka zdawała się czepiać jej czarnej sukni, postępować za nią, wznosząc się niby milczący przypływ, niby wielka noc świata zewnętrznego, która wdarła się przez dyskretną przegrodę murów, zamkniętych drzwi i zasłoniętych okien. Wstępowała po schodach, skakała na ściany, jak gniewna fala, zalewała błękitne niebiosy, żółte piaski, słoneczne światło krajobrazów i wdzięczny patos niewinności w łachmanach i zrezygnowanej głodowej śmierci. Pochłoneła rozkoszną idyllę na łódce i okaleczała nieśmiertelne płaskorzeźby. Napływała zzewnątrz, wspinała się coraz wyżej, niosąc milczą-

ce zniszczenie. A ponad nią niewiasta z marmuru, stateczna i ślepa na swym wysokim piedestale zdawała się odpędzać zachłanną noc pękiem światła.

Z niecierpliwością śledził napływającą falę nieprzeniknionych mroków, jakby spragniony nadejścia nocy tak czarnej, aby skryła sromotną porażkę. Ciemności nadchodziły coraz bliżej. Pęk światła zagasł. Służąca wchodziła po schodach twarzą zwróconą ku niemu. Za jej plecami cień olbrzymiej niewiasty kołysał się zlekka po ścianie. Hervey powstrzymał oddech, gdy służąca mijała go bez szelestu z ociążałemi powiekami. Nadbiegający wśląd za nią przyływ morza ciemności napełnił dom, zdawał się zalewać mu stopy i, nie znajdując tamy po drodze, w milczeniu zawarł się nad jego głową.

Chwila oczekiwana nadeszła, lecz Hervey nie otworzył drzwi. Wśród panującej ciszy zamiast poddać się rozsądnym wymaganiom życiowym, z buntem w sercu ruszył w ciemności zalegające dom. Dom zaś stał się przybytkiem nieprzeniknionej nocy, jakby zaprawdę ostatni dzień nadszedł i minął, pozostawiając go samotnego w mrokach, co nie mają jutra. A w dole niewyraźnie majaczyła marmurowa niewiasta, blada i nieruchoma, jak cierpliwe widmo i wyciągała w ciemność pęk zagasłych lampek.

Posłuszna myśl kreśliła mu obraz nieprzerwanego pasma życia, dostojeństw i korzyści płynących ze stałego powodzenia, buntownicze zaś serce biło w piersi, jakby oszalałe pragnieniem pewnika bezcielesnego a drogocennego — pewnika miłości i wiary. Cóż z tego, że dom jego noc zalega, gdy na świecie jest słońce, w promieniach którego ludzie sieją i zbierają! Nikt się nie dowie. Dni, lata przemina i... Wspomniał, że niegdyś kochał ją. Lata przemina... I znów pomyślał o niej, jak się myśli o umarłej—z czułością bezbrzeżnego żalu, z namiętą tęsk-

notą za utraconym ideałem. Kochał ją — kochał — a nigdy nie poznał prawdy... Lata mijać będą wśród dręczących wątpliwości... Wspomniał jej uśmiech, oczy, głos, milczenie, jakgdyby utracił ją na zawsze. Lata przeminą, a on zawsze niedowierząc będzie jej uśmiechowi, podejrzewać spojrzenie, zawsze wątpić będzie w jej głos, nigdy nie da wiary milczeniu. Nie miała tego daru — nie miała! Czem była? Kim była?... Lata przeminą, wspomnienie tych chwil się zatrze — a ona dzielić z nim będzie materialny spokój nieskazitelnego żywota. Nie miała miłości ani wiary dla nikogo. Poświęcać jej myśli, okazywać wiarę równało się szeptaniu wyznań ponad krawędzią świata. Nic nie powracało — nawet echo.

W bólu, którym go ta myśl napełniła, zrodziło się jego sumienie; nie ten strach przed wyrzutami, który rośnie powoli i powoli słabnie wpośród skomplikowanych wydarzeń życiowych, lecz Mądrość Boża w pełni rozwoju, uzbrojona i sroga, z głębi doświadczanego serca wydostająca się na świat, gotowa do walki z tajoną niskością pobudek. Jak błyskawica spadła nań świadomość, że moralność nie jest drogą do szczęścia. Straszliwe to było objawienie. Zrozumiał nagle nicość swej mądrości. Marność uczynków ludzkich, powodzenia, upokorzeń, godności, upadku — marność wszystkiego. Nie była to sprawa mniejszego lub większego bólu, tej radości lub tamtej troski, lecz prawdy lub kłamstwa — życia lub śmierci.

Stał wśród nocy - objawicielki — w ciemności, co doświadcza serca, nocy bezużytecznej dla pracy ludzkiej, lecz wśród której wzrok nieoślepiiony blaskiem słonecznym zachłannego dnia, wędruje czasami hen, aż do gwiazd. Niezamacona otaczająca go cisza miała w sobie coś uroczystego, lecz on wie-

dział, że była to kłamliwa powaga świątyni przeznaczonej na odprawianie obrzędów upodlającego kultu. Milczenie wśród tych dyskretnych ścian wymownie świadczyło o bezpieczeństwie, lecz jemu wydało się podniecające i ponure niby dyskrecja korzystnej sromoty; był to przezornie zachowany spokój jaskini fałszerzy pieniędzy — domu niesławyl! Lata przemianą — i nikt się nie dowie. Nigdy! Aż do śmierci — ni potem...

— Nigdy! — przemówił głośno do nocy - objawicielki.

I zawahał się. Tajemnica serc, za straszna dla lękliwych oczu ludzkich, powróci, nieodgadniona, do Nieprzeniknionego Twórcy dobra i zła, do Pana zwątpień i odruchów. Sumienie jego narodziło się — usłyszał głos jego i zawahał się, nieświadom swej mocy, potęgi silnej jak los, tajemnicy własnego serca. Straszliwa to ofiara rzucić życie całe na stos nowej wiary. Potrzebował pomocy przeciw samemu sobie, przeciw okrutnemu wyrokowi zbawienia. Nawyk wieloletni przeważał, potrzeba zwrócenia się do cichego sprzymierzeńca, który nigdy dotychczas nie zawiódł. Może ona pomoże... Otworzył drzwi i wpadł, jakby pogoń miał za sobą.

Znalazł się pośrodku pokoju, zanim zdołał dostrzec cośkolwiek prócz oślepiającego blasku, a potem ukazała się głowa kobiety, jakby odcięta od tułowia i unosząca się na poziomie jego oczu. To żona zerwała się, gdy wpadł do pokoju.

Przez chwilę przypatrywali się sobie nawzajem, jakby oniemieli ze zdumienia. Włosy jej, spływające wzdłuż ramion, lśniły jak polerowane złoto. Spojrzał w bezdenną głębię niewinnych jej oczu. Nic w nich niema — nic — nic.

Wyjąkał nieprzytomnie —

— Chciałbym... chciałbym... wiedzieć...

Przez jasność tych niewinnych oczu przemknął cień; cień wątpliwości, podejrzliwości, tej zawsze czujnej cechy niewygasającego antagonizmu, bezlitosnego niedowierzania, właściwego odwiecznemu instynktowi samoobrony; nienawiści, głębokiej wystraszonej nienawiści do wszystkiego, co niezrozumiałe — do tej wstrętnej czułości, narzucającej swój gruby materializm duchowemu, tragicznemu konfliktowi jej uczuć.

— Alvanie... ja tego nie zniosę... — Zaczęła nagle dyszeć. — Ja mam prawo — prawo — do — do samej siebie...

Podniósł rękę i miał wygląd tak groźny, że urwała przestraszona i cofnęła się trochę.

Stał z podniesioną ręką... Lata mijać będą — a on będzie musiał żyć z tą bezdenną głębią niewinności, po której migają cienie podejrzeń i nienawiści... Lata mijać będą, a on nigdy się nie dowie — nigdy nie zaufa... Lata przeminą bez wiary i miłości...

— Możesz tak żyć? — krzyknął, jak gdyby mogła słyszeć jego myśli.

Miał wygląd groźny. Przez myśl przemknęła jej możliwość gwałtu, niebezpieczeństwa i na jedno mgnienie ogarnęła ją wątpliwość, czy na ziemi istnieją takie wspaniałości, których ceną możnaby okupić taką brutalną scenę. Krzyknął po raz drugi — Możesz tak żyć? — i patrzył na nią jak obłąkany. W jej oczach także zapaliły się błyski. Nie słyszała przerażającego zgiełku jego myśli, podejrzewała więc nawrót żalu, nowy atak zazdrości, nieuczciwe pragnienie wykrętu. W odpowiedzi krzyknęła z gniewem:

— Mogę!

Zatrząsł się, jakby szamocząc się i rwąc niewidzialne więzy. Ona dygotała od stóp do głów.

— A ja — nie mogę! Wyrzucił ramiona przed siebie, jakby chciał ją odepchnąć i wielkimi krokami wyszedł z pokoju. Drzwi zawarły się z trzaskiem. Postąpiła szybko trzy kroki naprzód i stanęła wpatrzona w białe tafle ze złoceniami. Żaden dźwięk nie dobiegał z poza nich, żaden szept, żadne westchnienie, nawet stąpania żadnego nie było słychać na grubym dywanie poza drzwiami. Zdało się, że Alvan zaraz po wyjściu skończył nagle — że umarł za progiem i ciało jego rozwiało się natychmiast wraz z duszą. Nasłuchiwała z rozchyłonymi ustami i niepewnym wzrokiem. Aż tam na dole, gdzieś głęboko, niby w trzewiach ziemi, jakieś drzwi zawarły się ciężko i spokojny dom zadrżał od dachu aż do fundamentów silniej niż od huku pioruna.

Nie powrócił nigdy.

L A G U N A

Biały, wsparty oburącz o dach małego domku na rufie łodzi, odezwał się do sternika:

— Przenocujemy na polance Arsata. Późno już.

Malajczyk mruknął coś w odpowiedzi i sterował z oczami utkwionemi w rzekę. Biały oparł brodę na skrzyżowanych ramionach i wpatrzył się w szlak wodny, ciągnący się za łodzią. U krańca prostej drogi, wyciętej wśród lasów jaskrawym blaskiem rzeki, bezchmurne, olśniewające słońce ważyło się nisko nad wodą, gładką i połyskliwą jak metalowa wstęga. Ciemny, posępny las stał w ciszy i spokoju z obu stron szerokiej rzeki. U stóp wielkich, wyniosłych drzew bezpienne palmy nipa wyrastały z nadbrzeżnego mułu w pękach ogromnych, ciężkich liści, zwisających nieruchomo nad brunatnemi kręgami wirów. W cichem powietrzu każde drzewo, każdy liść, każda gałązka, najcieńsze pędy ljan i płatki najdrobniejszego kwiecia zdawały się zakłute w spokój kamienny i ostateczny. Nic się nie poruszało na rzece prócz ośmiu wiosel, które błyskały, wznosząc się i opadając miarowo z pojedynczym pluskiem; sternik zagarniał wodę to na prawo, to na lewo, a pióro steru kreśliło nagłym i rytmicznym ruchem błyszczące półkole nad jego głową. Rozbełtana woda pieniała

się naokoło z głuchym szumem. Łódź sunęła w górę rzeki wśród przelotnego zamętu, wznieconego przez nią samą i wstępowała, zda się, w granice kraju, skąd nawet samo wspomnienie ruchu uleciało na zawsze.

Biały, odwróciwszy się od zachodzącego słońca, objął spojrzeniem pusty i rozległy obszar morza. Rzeka — wahająca się i niepewna w ciągu długiej wędrówki — przez ostatnie trzy mile swojego biegu płynie wprost ku morzu, jakby znęcona swobodą szerokiego horyzontu, płynie prosto na wschód — na wschód, który mieści w sobie i światło i ciemność. Wtyle za łodzią rozległ się kilkakrotnie zew jakiegoś ptaka — zgrzytliwy i słaby — prześlizgnął się po gładkiej wodzie i zatracił w głuchej ciszy świata, nie sięgnąwszy przeciwległego brzegu.

Sternik wbił wiosło w toń i przytrzymał je mocno w wyprężonych ramionach, pochylając się naprzód. Woda głośno zabulgotała; wydało się naraz, że długi, prosty obszar rzeki obraca się naokoło swej osi, lasy zatoczyły półkole, a ukośne promienie zachodu padły ognistym żarem na bok łodzi, rzucając wydłużone, potworne cienie wioślarzy na pręgownicy blask rzeki. Biały odwrócił się, aby spojrzeć naprzód. Czółno płynęło teraz pod kątem prostym do prądu i rzeźbiona głowa smoka, umieszczona na dziobie, skierowała się w stronę szczeliny dzielącej nadbrzeżne zarośla. Prześlizgnęła się przez nie, otarłszy się o zwisające gałęzie i zniknęła z rzeki niby jakieś smukłe, ziemnowodne stworzenie, opuszczające wodę dla leśnego legowiska.

Wąska zatoka wyglądała jak kręty, przepaściasty rów, pełen mroku pod skrawkiem czystego, jasnego błękitu nieba. Olbrzymie drzewa, niewidzialne za strzępiastymi draperjami ljan, wznosiły się wysoko. Gdzieś — tuż nad połyskliwą czer-

nią wody — skręcony korzeń jakiegoś wielkiego drzewa sterczał z pośród koronek drobnych paproci, czarny i ponury, skłębiony i nieruchomy, jak zastygły wąż. Krótkie słowa wioślarzy odbijały się głośno od zwartych ścian roślinnych. Mrok sączył się z pomiędzy drzew, przesiewał się przez pogmatwany labirynt pnączy, wypełzał z pod fantastycznie wielkich, nieruchomych liści — tajemniczy i nieodparty, wonny i jadowity mrok nieprzebytych lasów.

Ludzie popychali łódź żerdziami w płytkiej wodzie. Przesmyk rozbiegł się w rozległy obszar stojących wód. Lasy cofnęły się od bagnistego brzegu, zostawiając gładki pas jasnozielonej, trzciniastej trawy, niby ramę dla odbicia błękitnego nieba. Wełnista, różowa chmurka płynęła wysoko w górze, wlokąc delikatny, barwisty swój wizerunek wśród pływających liści i srebrzystych kwiatów lotosu. Woddali zaczerniał domek, osadzony na wysokich palach. Tuż przy nim dwie smukłe palmy nibong, zbiegłe, zda się, z okólnych lasów, kłoniły się lekko nad postrzępionym dachem z wyrazem tkliwego smutku i pieszczoty w pochyleniu głów liściastych i wyniosłych.

Sternik rzekł, wskazując wiosłem:

— Arsat jest w domu. Widzę jego czółno, uwiązane między palami.

Wioślarze przebiegali wzdłuż brzegów łodzi, spoglądając przez ramię ku celowi całodziennej podróży. Byliby woleli spędzić noc gdziekolwiek, byle nie na tej dziwacznej lagunie, kędy straszło po nocach. A przytem nie lubili Arsata, jako obcego przybysza i osobnika mocno podejrzanego; bowiem człowiek, który naprawia walący się dom i w nim zamieszkuje, stwierdza jawnie, że nie boi się żyć wśród duchów, nawiedzających miejsca opuszczone przez ludzi. Taki człowiek mocen jest spaczyć bieg prze-

znaczenia spojrzeniem lub słowem, a przygodnym wędrowcom trudno jest pozyskać domowe duchy samotnika, które czyhają na podróźnych, chcąc wyrzucić na nich zemstę za złośliwość swego ludzkiego władcy. Białych te sprawy nic nie obchodzą, ponieważ są niewierzący i pozostają w zмовie z Ojcem Zła, który osłania ich od szwanku i wiedzie przez ukryte niebezpieczeństwa tej ziemi. Na przestrogi prawowiernych biali odpowiadają z lekceważeniem i niedowiarstwem. Cóż na to poradzić?

Tak rozmyślali wioślarze, kładąc się całym ciężarem na końce długich żerdzi. Wielka łódź sunęła prędko, gładko i bezszelestnie ku polance Arsata. Wreszcie rozległ się łoskot tyk rzuconych na dno łodzi, zabrzmiał głośny pomruk: „Chwała Allahowi!” i łódź uderzyła lekko o pokręcone pale przed domkiem.

Wioślarze zadarli głowy i krzyknęli zgrzytliwym chórem: „Arsat! hej, Arsat!” Nikt się nie pokazał. Wówczas biały jał wspinać się po niezdarnie sklejonej drabinie, prowadzącej na bambusową platformę. Juragan łodzi rzekł kwaśno:

— Wieczerzę ugotujemy w sampanie i przenocujemy na wodzie.

— Podajcie mi derki i kosz — rozkazał krótko biały.

Klęknął na brzegu platformy aby odebrać zawiniątko. Potem łódź odpłynęła, a biały powstał i znalazł się naprzeciw Arsata, który wyszedł właśnie z niskich drzwi szałas. Był to człowiek młody, potężnie zbudowany, o szerokiej piersi i ramionach muskularnych. Odziany był tylko w sarong; na głowie nic nie miał. Wielkie, łagodne jego oczy potrzywały żarliwie w białego, ale głos i obejście były spokojne, gdy spytał bez słowa przywitania:

— Czy masz lekarstwo, tuanie?

— Nie — odrzekł gość z niepokojem. — Nie. Dlaczego? Czy jest kto chory w domu?

— Wejdz i zobacz — odparł Arsat tym samym spokojnym tonem i, odwróciwszy się nagle, znikł w niskim przejściu. Biały zostawił swoje pakunki i poszedł za nim.

W przyćmionem świetle wnętrza rozróżnił na bambusowym tapczanie kobietę wyciągniętą nawznak pod szerokiem przykryciem z czerwonego perkalu. Leżała bez ruchu, jak martwa, tylko jej wielkie, szeroko rozwarte oczy, utkwione w smukłych krokwiach, połyskiwały w mroku, nieruchome i niewidzące. Miała wielką gorączkę i widać było, że jest nieprzytomna. Policzki jej były zlekka zapadnięte, usta rozchylone, a młoda twarz przybrała wyraz nieruchomy i złowróźbny, zapatrzony i nieobecny wyraz ludzi nieprzytomnych, stojących w obliczu śmierci. Obaj mężczyźni patrzyli na nią w milczeniu.

— Dawno już choruje? — zapytał podróżny.

— Nie spałem przez pięć nocy — odrzekł spokojnie Malajczyk. — Z początku słyszała głosy nawołujące ją z wody i mocowała się ze mną, gdy nie chciałem jej puścić. Ale od chwili, gdy wstało dzisiejsze słońce, nic już nie słyszy — nawet mnie nie słyszy. Nic już nie widzi. Nawet mnie nie widzi — nawet mnie!

Zamilkł na chwilę, poczem zapytał cicho:

— Tuanie, czy ona umrze?

— Lękam się tego — rzekł smutno biały. Znał Arsata przed laty w dalekim kraju, w czasach niepokojnych i groźnych, gdy żadną przyjaźnią gardzić nie należy. A odkąd malajski jego przyjaciel osiadł niespodzianie z obcą kobietą w szałasie na lagunie, biały spędził tu wiele nocy, podróżując wgórę i wdół rzeki. Lubił tego człowieka, który umiał być

wiernym doradcą i walczyć nieustraszenie u boku białego przyjaciela. Lubił go — może nie do tego stopnia, jak się lubi wiernego psa — jednak lubił go dostatecznie, aby służyć mu pomocą o nic nie pytając, aby w nawale zajęć wspomnieć niekiedy przelotnie i mglisto samotnego mężczyznę i długowłosą kobietę o śmiałej twarzy i oczach jaśniejących triumfem — dwoje ludzi, żyjących razem w leśnej kryjówce — samotnych i trwożnie unikanych.

Biały wyszedł z szałasu w chwili, gdy olbrzymia łuna zachodu gasła, zdmuchnięta przez szybkie, skradające się cienie, które wypełzły jak czarna, nieuchwytna mgła z pomiędzy szczytów drzew i rozsnuły się po niebie, chłonąc szkarłatny żar obłoków i wspaniałą purpurę uchodzącego dnia. Po chwili wszystkie gwiazdy zabłysły nad głęboką czernią ziemi i wielka laguna zajaśniała nagle odbitemi światłkami, niby owalny szmat gwiazdzistego nieba, ciśnięty w beznadziejną, przepastną noc dzikiej głuszy. Biały posilił się zapasami, wyjętymi z koszyka, poczem zebrał kilka patyków leżących na platformie i rozpalił małe ognisko — ale nie dla ciepła; chodziło mu o dym, chroniący przed moskitami. Otułił się w koce i siedział, wsparty o trzciniową ścianę domku, paląc w zamyśleniu papierosa.

Arsat wyszedł z chaty bez szelestu i przykucał przy ogniu. Biały poruszył zlekka wyciągniętymi nogami.

— Oddycha — rzekł cicho Arsat, uprzedzając pytanie, którego się spodziewał. — Oddycha i goreje wielkim ogniem. Nie mówi nic; nie słyszy nic; i gorzej!

Urwał i zapytał po chwili spokojnym, obojętnym głosem:

— Tuanie... czy ona umrze?

Biały poruszył się niespokojnie i mruknął niepewnym tonem:

— Jeśli tak chce jej przeznaczenie.

— Nie, tuanie — odpowiedział spokojnie Arsat.
— Jeśli tak chce moje przeznaczenie. Słucham, patrzę, czekam. I wspominam... Tuanie, czy pamiętasz dawne dni? Czy pamiętasz mego brata?

— Tak — odrzekł biały. Malaj powstał nagle i wszedł do chaty. Podróżny, siedząc nieruchomo na platformie, posłyszał jego głos. Arsat mówił:—Usłysz mnie! Przemów! — Po tych słowach nastąpiła głucha cisza. — O Diamelen! — krzyknął nagle, poczem głębokie westchnienie doszło do uszu białego. Arsat ukazał się we drzwiach i przysiadł znów na dawnym miejscu.

Siedzieli, milcząc, przy ogniu. Cisza panowała w chacie i wszędzie wokoło; tylko zdaleka dochodziły od czasu do czasu głosy wioślarzy, niosące się wyraźnie po spokojnej wodzie. Ognisko rozpalone w rufie sampanu jaśniało słabo woddali, otoczone mglistą, czerwoną aureolą. Wreszcie zgasło. Głosy ucichły. Łąd i woda spały niewidzialne, nieporuszone i nieme. Zdawało się, że ze świata nic nie pozostało prócz migotliwego blasku gwiazd, spływającego nieustannie i daremnie w głuchą czerń nocy.

Biały patrzył przed siebie w ciemność szeroko rozwartemi oczami. Groza i urok, natchnienie i tajemnica śmierci — śmierci bliskiej, nieuniknionej i niewidzialnej — stłumiły gorączkową ruchliwość jego rasy, budząc w nim najmniej świadome, najistotniejsze myśli. Czujna podejrzliwość, upatrująca wszędzie coś złego, żrąca podejrzliwość, która czyha w naszych sercach, wypełzła w otaczającą go ciszę — głęboką i głuchą — nasycając ją fałszem i ohydą — aż cisza ta wydała mu się spokojną, nieprze-

niknioną maską, kryjącą potworny jakiś gwałt. Przelotne a potężne wzburzenie targnęło całą istotą białego i ziemia spowita w gwieździsty spokój zamajaczyła przed nim niby mroczna widownia nie ludzkich walk, bojowisko duchów strasznych i czarujących, wzniosłych i ohydnych, walczących zapamiętałe o władzę nad naszymi bezbronnymi sercami — niby niespokojna i tajemnicza kraina niewyczerpanych pragnień i lęków.

Żaloszny szept wysnuł się z mroku, szept smutny i przerażający, jak gdyby wielka samotnia okolnych lasów usiłowała wsaczyć do uszu białego mądrość swej niezmiernej i wyniosłej obojętności. Niepewne i nieuchwytnie dźwięki krążyły wokół niego w powietrzu, kształtując się zwolna w słowa i wreszcie spłynęły szmerzącym strumieniem cichych, monotonicznych zdań. Wzdrygnął się jak człowiek nagle ze snu zbudzony i zmienił nieznacznie pozę. Arsat, nieruchomy i niewyraźny jak cień, siedział z pochyłoną głową pod migotaniem gwiazd i mówił cichym, sennym głosem.

—... bo gdzież złożyć ciężar swej troski, jeśli nie w sercu przyjaciela? Mężowi przystoi mówić o wojnie i o miłości. Ty wiesz, tuanie, czym jest wojna i patrzałeś na mnie, gdy w chwili niebezpieczeństwa szukałem śmierci, jak inni szukają życia. Słowa napisane mogą zaginać; można napisać kłamstwo; ale to, co oglądały nasze oczy, jest prawdą i pozostaje w pamięci.

— Pamiętam — rzekł spokojnie biały.

Arsat ciągnął dalej z ponurym spokojem.

— Dlatego będę ci mówił o miłości. Będę mówił głuchą nocą. Będę mówił, póki noc i miłość nie przeminą i póki spojrzenie dnia nie padnie na moją żalność i moją hańbę; na moją poczerniałą twarz; na moje zgorzałe serce.

Krótkie, nikłe westchnienie powstrzymało na mgnienie oka jego słowa, które płynęły niepodkreślone żadnym gestem, żadnem poruszeniem.

— Gdy minął czas wojny i zamieszek i gdy opuściłeś mój kraj w pogoni za swemi pragnieniami, których my, wyspiarze, zrozumieć nie możemy — mnie i memu bratu przypadło znów w udziale nosić miecz za władcą, jak to czyniliśmy i dawniej. Wiesz, że pochodzimy z wielkiego rodu i rasy królewskiej i że bardziej niż ktokolwiek byliśmy godni piastować znamię władzy na prawem ramieniu. A w czasach pomyślności Si Dendring zaszczycał nas swoją łaską, tak jak my w czasach smutku staliśmy przy nim wiernie i nieustraszenie. Nastął czas pokoju. Czas łowów na jelenie i walk kogucich; częściej gadaniny i głupich swarów między mężami, których brzuchy są pełne a broń rdzewieje. Lecz siewca śledził bez trwogi wzrost młodych pędów ryżu, a kupcy snuli się ciągle; wyruszali chudzi i powracali utuczeni na wody naszej spokojnej rzeki. Przywozili także wieści. Przywozili kłamstwa i prawdę razem zmieszane, tak, że żaden mąż nie wiedział kiedy się radować, a kiedy smuć. Słyszeliśmy także i o tobie, tuanie. Widziano cię tu i widziano cię ówdzie. A ja cieszyłem się, że o tobie słyszę, bo nasze burzliwe czasy żyły w mej pamięci i wspominałem cię zawsze — aż nadszedł czas, gdy oczy moje nic już w przeszłości widzieć nie mogły, bo ujrzały tę, która umiera tam w chacie.

Urwał i wyszeptał przejmującym głosem: — O Mara Bahia! O dolo! — Po chwili ciągnął znów nieco głośniej.

— Niema gorszego wroga i niema lepszego przyjaciela nad brata, tuanie, gdyż brat wie wszystko o drugim, a w doskonałej wiedzy leży i dobra i zła siła. Kochałem mego brata. Poszedłem więc do nie-

go i wyznałem mu, że patrzeć mogę tylko na jedno oblicze, że słuchać mogę tylko jednego głosu. Poradził mi: „Otwórz przed nią serce, aby ujrzała co się w niem dzieje — i czekaj. Cierpliwość jest mądrością. Może się zdarzyć, że Inchi Midah umrze — a może nasz władca otrząśnie się z lęku przed niewiastą“. Czekałem więc!... Pamiętasz, tuanie, kobietę o zakwefionej twarzy — pamiętasz trwogę naszego władcy przed jej przebiegłością i wybuchami gniewu. Nie chciała puścić od siebie swojej służebnicy — i cóż na to mogłem poradzić? Lecz syciłem głód mego serca krótkimi spojrzzeniami i słowami rzucanemi ukradkiem. Za dnia wałęsałem się po ścieżce wiodącej do kąpieli, a gdy słońce zapadło za lasy, skradałem się wzdłuż jaśminowego żywopłotu, otaczającego dziedziniec kobiet. Mówiliśmy do siebie, nie widząc się nawzajem — przez woń kwiatów, przez zasłonę liści, przez źdźbła wysokiej trawy, stojącej bez ruchu przed naszemi ustami—tak wielka była nasza ostrożność, tak cichy szept naszej wielkiej tęsknoty. Czas mijał szybko... a wśród kobiet leży się plotki — a nasi wrogowie czuwali. — Brat mój spochmurniał, ja zaś zacząłem myśleć o zabijaniu i okrutnej śmierci. Ludzie z mego plemienia biorą to, czego pożądamy, tak jak i wy, biali. Bywa niekiedy, że wojownik musi zapomnieć o wierności i szacunku. Potęga i władza jest w ręku panujących, ale wszyscy ludzie mają prawo do miłości, do siły i do odwagi. Mój brat powiedział: „Zabierzesz ją z pośród nich. Otośmy obaj jak jeden mąż“. A ja odrzekłem: „Niech się to prędko stanie, bo nie masz dla mnie ciepła w promieniach słońca, które na nią nie padają“. Nadeszła wreszcie nasza godzina, kiedy władca otoczony możnymi wyruszył ku ujściu rzeki na połów ryb przy świetle pochodni. Zebrały się tam setki łodzi, a na białym piasku między wodą a lasem zbudowano szła-

sy z listowia dla dworu radży. Dymy z ognisk snuły się jak niebieska mgła wieczorna, a wśród niej wiele głosów tryskało weselem. Gdy przygotowano łodzie, aby ruszyć na wypłaszanie ryb, brat podszedł do mnie i rzekł: „Dzisiaj!” Opatrzyłem broń, a gdy czas nadszedł, łódź nasza zajęła miejsce w kręgu czółen z pochodniami. Światła jaśniały nad wodą, lecz za kołem czółen panowała ciemność. Gdy zaczęły się krzyki i podniecenie upoiło ludzi do szaleństwa, wysunęliśmy się cichaczem. Woda pochłonęła naszą pochodnię i ruszyliśmy zpowrotem do brzegu, kędy panował mrok, rozświetlony gdzieniegdzie żarem dopalających się ognisk. Od strony szałasów dochodziły nas rozmowy niewolnic. Znaleźliśmy nakoniec miejsce ustronne i ciche. Czekaliśmy. Zjawiała się wreszcie. Ujrzelśmy, jak biegła chyżo i lekko wzdłuż brzegu, śladów za sobą nie zostawiając, jak liść gnany wiatrem do morza. Mój brat rzekł posępnie: „Idź i weź ją. Zanieś ją do naszego czółna”. Uniosłem ją w ramionach. Dyszała ciężko. Serce jej biło o moją pierś. Powiedziałem jej: „Zabieram cię od tych ludzi. Przybiegłaś na krzyk mego serca i ramiona moje unoszą cię do łodzi wbrew woli władców”. „Tak być musi” — powiedział mój brat. „Jesteśmy ludźmi, którzy biorą to, czego pożądamy i umiemy bronić swej zdobyczy przeciw wielu wrogom. Powinniśmy byli porwać ją w jasny dzień”. „Ruszajmy”, — rzekłem, gdyż odkąd znalazła się w mej łodzi, zacząłem myśleć o mnogich wojownikach władcy. „Tak, ruszajmy”, odrzekł mój brat. „Jesteśmy wygnańcami i od tej chwili łódź jest nam ojczyzną, a morze schronieniem”. — Zawahał się z nogą opartą o brzeg, a ja nagliłem do pośpiechu, gdyż pamiętałem uderzenia jej serca o moją pierś i uprzytomniłem sobie, że dwóch ludzi nie może stać czoła setce. Ruszyliśmy, płynąc z prądem wzdłuż

brzegu. Kiedy mijaliśmy zatokę, gdzie odbywał się połów, wielka wrzawa przycichła, lecz szmer głosów rozbrzmiewał jak brzęczenie owadów o południu. Łódki, zbite w gromadę, płynęły w czerwonym świetle pochodni pod czarnym dachem z dymu, a mężowie rozprawiali o rybołówstwie. Mężowie, którzy chętni się i wychwalali jeden drugiego i szydzili z siebie nawzajem — mężowie, którzy jeszcze rano byli naszymi przyjaciółmi, ale tej nocy stali się naszymi wrogami. Minęliśmy ich szybko. Nie mieliśmy już przyjaciół w kraju, gdzieśmy się urodzili. Diamelen siedziała w środku czółna z twarzą zakrytą, milcząca jak i teraz, nie wiedząca nic jak i teraz, a ja rzucałem wszystko bez żalu, ponieważ słyszałem blisko siebie jej oddech — tak, jak go słyszę w tej chwili.

Zamilkł i nasłuchiwał zwrócony ku drzwiom; po chwili potrząsnął głową i ciągnął dalej.

— Brat mój pragnął krzyknąć wyzwanie — krzyknąć raz jeden — aby oznajmić, że jesteśmy wolnymi grabieżcami, którzy zawierzili swoim ramionom i szerokiemu morzu. I znów zakląłem go, aby milczał w imię naszej miłości. Czyż nie słyszałem jej oddechu tuż przy sobie? Wiedziałem, że pogoń rozpocznie się i tak zbyt prędko. Mój brat kochał mnie. Zanurzył wiosło bez plusku. Powiedział tylko: „Teraz jest w tobie pół męża; druga połowa jest w tej kobiecie. Mogę zaczekać. Gdy staniesz się znów całym mężem, wówczas powrócisz tu ze mną, aby krzyknąć wyzwanie. Jesteśmy synami tej samej matki”. — Nic nie odpowiedziałem. Wszystkie siły i wszystką energję skupiłem w rękach, które trzymały wiosło, gdyż spieszo mi było znaleźć się z nią w bezpiecznym miejscu, poza obrębem męskiego gniewu i zemsty kobiecej. Miłość moja była niezmierna i wierzyłem, że jeśli tylko zdolam ująć wściekłości Inchi Midah i mieczowi naszego władcy, miłość zawiedzie nas do krainy, gdzie śmierć

jest nieznaną. Wiosłowaliśmy śpiesznie, oddychając przez zaciśnięte zęby. Pióra wiosła zanurzały się głęboko w gładką wodę. Wypłynęliśmy z koryta rzeki; pomykaliśmy przezrzystymi kanałami wśród mielizn. Minęliśmy czarne wybrzeże i piaszczyste ławy, gdzie morze szeptem mówi do ładu, a nasza łódź tak szybko niosła się po wodzie, że biel piasków migąta tylko, uciekając wtył. Milczeliśmy. Odezwałem się do niej raz tylko: „Śpij, Diamelen, gdyż wkrótce potrzebne ci będą wszystkie siły“. Usłyszałem słodycz jej głosu, ale głowy nie odwróciłem ani razu. Słońce wzeszło, a my wiosłowaliśmy bezustanku. Woda spływała mi z twarzy jak deszcz z chmur. Gnaliśmy przez blask i żar. Nie spojrzałem wtył ani razu, ale wiedziałem, że brat mój patrzy spokojnie naprzód, gdyż łódź biegła prosto jak grot leśnego osadnika, wypadający z sumpitanu. Nie było wiosłarza, nie było sternika nad mego brata. Ileż razy wygrywaliśmy razem wyścigi w tej samej łodzi. Ale nigdy nie wyczerzyliśmy sił naszych tak jak wówczas—wówczas, gdy wiosłowaliśmy razem po raz ostatni. Nie było w naszym kraju męża równego memu bratu siłą lub odwagą. Nie chciałem marnować czasu na odwrócenie głowy, choć słyszałem, że oddech jego staje się z każdą chwilą głośniejszy. Ale wciąż nic nie mówił. Słońce stało wysoko. Upał płomieniem ogarnął mi plecy. Myślałem, że pękna mi zebra i nie mogłem już zaczerpnąć powietrza. Poczuliśmy, że musimy krzyknąć resztką tchu: „Odpocznijmy!“ „Dobrze!“ — odrzekł mój brat. Był silny. Był mężny. Nie wiedział co to strach i zmęczenie. Mój brat!

Potężny i łagodny szelest, rozległy a słaby — szelest rozedrganych liści i chwiejących się gałęzi — wydarł się ze skłębionego gąszczu lasów i przebiegł po gwiazdzistej toni laguny, aż woda między palami pluśnięła nagle, liżąc śliską powierzchnię drzewa. Powiew ciepłego powietrza musnął twarze mężczyzn i popły-

nał dalej z ponurym szumem — powiew głośny i krótki, niby niespokojne westchnienie ziemi w śnie pożązonej.

Arsat mówił dalej spokojnym, cichym głosem:

— Wpędziliśmy czółno na biały brzeg zatoczki, obok długiego języka łądu, który zdawał się zagradzać drogę; był to wydłużony, lesisty przylądek, wstępujący daleko w morze. Mój brat znał to miejsce. Za przylądkiem leży ujście rzeki, a przez dżunglę biegnie wąska ścieżka. Rozpaliliśmy ognisko i ugotowaliśmy trochę ryżu. Potem legliśmy spać na miękkim piasku w cieniu naszego czółna, a ona czuwała. Ledwie zdążyłem zamknąć oczy, gdy rozległ się jej krzyk ostrzegawczy. Zerwaliśmy się. Słońce zdążyło już przebiec pół nieba a u wjazdu do zatoki ujrzeliśmy prao pełne wioślarzy. Poznaliśmy je odrazu; było to prao naszego radzy. Załoga opatrywała brzeg: ujrzeli nas. Uderzyli w gong i skierowali prao do zatoczki. Poczułem, że serce zamiera mi w piersi. Diamelen siadła na piasku i ukryła twarz w dłoniach. Niepodobna było uciec morzem. Mój brat zaśmiał się. Miał strzelbę, którą dałeś mu, tuanie, zanim od nas odszedłeś — ale została nam tylko garść prochu. Rzekał prędko: „Uciekaj z nią tą ścieżką. Ja ich zatrzymam, gdyż broni palnej nie mają, a lądowanie w obliczu wroga zbrojnego w strzelbę jest pewną śmiercią dla wielu. Uciekaj z nią. Po drugiej stronie lasu jest domek rybaka — i łódź. Wystrzelę wszystkie ładunki i pobiegnę za wami. Umiem biec bardzo szybko i, zanim zdążą się zbliżyć, będziemy już daleko. Powstrzymam ich jak najdłużej, bo przecież ona jest tylko kobietą, która nie umie ani biec, ani walczyć — a jednak trzyma w słabych dłoniach twoje serce”. Przycisnął się za czółnem. Korab się zbliżał. Bieglśmy oboje, a biegnąc ścieżką, posłyszeliśmy strzały. To brat mój strzelił raz i drugi — i gong przestał dźwięczeć. Za nami

uczyniła się cisza. Przylądek był wąski; zanim brat mój zdążył strzelić po raz trzeci, ujrzałem znów piaszczyste ławice wybrzeża i wodę; ujście szerokiej rzeki. Przebiegliśmy płat rzadkiego lasu zarosłego trawą i dopadliśmy wody. Ujrzałem niską chatkę nad czarnym mułem i wyciągnięte na brzeg czółenko. Za nami rozległ się jeszcze jeden strzał. Pomyślałem: „To już ostatni nabój”. Rzuciliśmy się do czółna; jakiś człowiek wypadł z chaty, ale skoczyłem na niego i obaj potoczyliśmy się w błoto. Potem podniosłem się, a on leżał bez ruchu u moich nóg. Nie wiem, czy go zabiłem, czy nie. Zepchnęliśmy czółno na wodę. Wtem wrzaski rozległy się za nami i ujrzałem brata pędzącego przez rzadki las nadbrzeżny. Wielu ludzi sadziło za nim. Porwałem ją w ramiona i wrzuciłem do łodzi, zaczem wskoczyłem sam. Obejrawszy się, ujrzałem, że brat mój upadł. Upadł i podniósł się znowu, ale już go dopędzali. Krzyknął: „Jestem!” Dopędzali go już. Spojrzałem. Tylu ludzi! Potem spojrzałem na nią. Tuanie — pchnąłem czółno. Pchnąłem je na głęboką wodę. Klęczała na przedzie, patrząc we mnie, a ja rzekłem: „Bierz się do wiosła” — i zanurzyłem w wodę moje wiosło. Tuanie, usłyszałem jego krzyk. Usłyszałem jak krzyknął dwakroć moje imię; i usłyszałem głosy wrzeszczące: „Bij! Zabij!” Nie odwróciłem się wcale. Usłyszałem jak jeszcze raz krzyknął moje imię wielkim głosem, jak gdyby życie uchodziło zeń z tym krzykiem — a ja nie odwróciłem głowy. Moje własne imię!... Mój własny brat! Krzyknął trzy razy — ale ja nie bałem się życia. Czyż nie była w czółnie wraz ze mną? Czy nie mogliśmy dostać się razem do krainy, gdzie zapomina się o śmierci — gdzie śmierć jest nieznana!

Biały poruszył się i wyprostował. Arsat podniósł się; niewyraźna, niema jego sylwetka zaczerśniała nad gasnącym żarem ogniska. Niska mgła wpelzła na la-

gunę, zacierając powoli migotliwe wizerunki gwiazd. Wkrótce tuman białych oparów spowił ziemię; kołował się w mroku, zimny i szary, zataczał bezszelestne wiry naokoło pni i snuł się wokół platformy, a chata zdawała się pływać po niespokojnej i nieuchwytniej złudzie morza. Tylko hen woddali szczyty drzew znaczyły się na migotliwym niebie, niby jakieś wybrzeże ponure i beznadziejne — kraina złudna, czarna i bezlitosna.

Głos Arsata zabrzmiał donośnie w głębokiej ciszy.

— Miałem ją tutaj! Miałem ją! Dla zdobycia jej byłbym stanął do walki z całym światem. Moja była — a teraz...

Słowa jego zagasty, pochłonięte przez odległą pustkę. Urwał i zdawał się nasłuchiwać jak zamierają gdzieś daleko — bezradne i nieodwołalne. Potem rzekł spokojnie:

— Tuanie, kochałem mego brata.

Chłodny powiew przejął Arsata dreszczem. Wysoko nad jego głową, wysoko nad niemem morzem mgły, zwisające listowie palm odezwało się żalobnym, konającym łopotem. Biały wyprostował nogi. Nie podnosząc głowy, wyszeptał smutno z brodą wspartą o pierś:

— Każdy kocha swojego brata.

Arsat wybuchnął nagle gwałtownym, namiętym szepciem:

— Czyż mogłem dbać o to, kto ginie? Pragnąłem spokoju dla swego serca.

Wydało mu się, że coś zaszeleściło w chacie; nasłuchiwał przez chwilę a potem wszedł do środka. Biały podniósł się. Nadpływał powiew w kapryśnych podmuchach. Gwiazdy zbladły, jakby cofnąwszy się w mroźne głębie nieskończonej dali. Chłodny powiew ustał; zupełny spokój i głucha cisza panowały przez chwilę. Nagle z za czarnej, falistej linii lasów słup

złotego światła strzelił w niebo i rozsypał się nad półkolem wschodniego horyzontu. Słońce wzeszło. Mgła wzniosła się i podarła na ruchliwe strzępy, rozpraszając się w zwiewnych girlandach, a odsłonięta laguna ukazała się — gładka i czarna — w głębokim cieniu pod zwartą ścianą drzew. Biały orzeł wzleciał nad wodą ukośnym, ciężkim lotem, wznosił się w jasność słoneczną i promieniał przez chwilę olśniewającym blaskiem, wreszcie — wzbijając się coraz wyżej — stał się czarną, nieruchomą plamą, aż rozplynał się w błękicie, jak gdyby ziemię na zawsze porzucił. Biały stał przed drzwiami, patrząc w niebo i usłyszał wewnątrz chaty pomruk bezładnych, szalonych słów, zakończonych głośnym jękiem. Nagle Arsat wyszedł, potykając się, z wyciągniętymi ramionami; zatrząsł się i stał nieruchomo jak osłupiały. Wreszcie wyrzekł:

— Już nie goreje.

Naprzeciw niego ukazał się rąbek słońca nad wierzchołkami drzew i wznosił się spokojnie coraz wyżej. Powiew ochłodził; wspaniały blask spłynął na lagunę i roziskrzył się na pomarszczonej wodzie. Las wyszedł z ранnego półcienia i zarysował się wyraźnie, jak gdyby przybiegł bliżej i zatrzymał się wśród wielkiego poruszenia rozdygotanych liści, chwiejących się gałęzi, rozkołysanych konarów. W bezlitosnym blasku słońca szept nieświadomego życia potężniał wciąż i przemawiał niezrozumiałymi głosami, które snuły się wokoło niemego mroku tej ludzkiej niedoli. Oczy Arsata jęły zwolna błądzić, wreszcie utkwily we wschodzącem słońcu.

— Nic nie widzę — rzekł do siebie półgłosem.

— Niema też nic do zobaczenia — rzekł biały i, podszedłszy do brzegu platformy, skinął na łódź. Słaby okrzyk przyplynał z laguny i sampan skierował się ku chacie przyjaciela duchów.

— Jeśli chcesz ze mną wyruszyć, poczekam na ciebie przez cały ranek — rzekł biały, patrząc w dal na wodę.

— Nie, tuanie, — odpowiedział łagodnie Arsat. — Nie będę jadł ani spał w tym domu, póki nie zobaczę mojej drogi. Teraz nie widzę nic—nic! Niema na świecie jasności ani spokoju, ale jest śmierć—śmierć dla wielu. Byliśmy synami jednej matki, a ja odbiegłem go otoczonego przez wrogów; ale teraz powrócę.

Odetchnął głęboko i mówił dalej sennym głosem:

— Za chwilę będę widział dość jasno, aby móc uderzyć—uderzyć... Ale ona nie żyje i... teraz... tylko ciemność.

Rozpostarł szeroko ramiona, potem opuścił je bezwładnie i stał bez ruchu z twarzą zmartwiałą i wzrokiem kamiennym, utkwionym w słońcu. Biały zeszedł do łodzi. Wioślarze przebiegali żywo wzdłuż jej boków, spoglądając przez ramię ku początkowi mozolnej podróży. Wysoko na rufie siedział markotny sternik z głową omotaną w białe gałgany i puścił wiosło, które wlokło się po wodzie. Biały, wsparty oburącz o strzechę z traw, służącą za dach małej kabiny, spoglądał wtył na świetlisty, pomarszczony szlak łodzi. Podniósł oczy, zanim sampan zdążył opuścić lagunę. Arsat stał wciąż nieruchomo. Stał samotny w przenikliwym blasku słońca i, skroś wielką jasność bezchmurnego dnia, patrzył w mroczną krainę złudzeń.



SPIS RZECZY:

	str.
Przedmowa	
Karain - - - - -	1
Idjoci - - - - -	55
Placówka postępu - - - - -	85
Powrót - - - - -	120
Laguna - - - - -	189

RAJ INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PARYŻ
 Biblioteka
 ul. Nowy Świat Nr 72
 Tel. 00-330 Warszawa
 Tel. 25-03-83, 25-52-31 w. 42

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE
WACŁAW CZARSKI i S-ka

W WARSZAWIE
MARSZAŁKOWSKA 113

POLECA:

NASTĘPUJĄCE WYDAWNICTWA:

POWIEŚĆ I NOWELA:

BANDROWSKI-KADEN J. — MIASTO MOJEJ MATKI
CONRAD-KORZENIOWSKI J. — KORSARZ
IWASZKIEWICZ J. — KSIĘŻYC WSCHODZI
NAŁKOWSKA R. ZOFJA — DOM NAD ŁĄKAMI
STRUG A. — POKOLENIE MARKA ŚWIDY

POEZJA I PROZA POETYCKA:

BRONIEWSKI W. — WIATRAKI
IWASZKIEWICZ J. — KASYDY
LIEBERT J. — DRUGA OJCZYŻNA.

RÓŻNE:

ŁOZA WŁ. — ORDERY I ODZNACZENIA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
SHAW B. — ŚWIĘTA JOANNA (Z PRZEDMOWĄ AUTORA)

F
498